

JACK HIGGINS

AUTOR **BESTSELLERÓW** ZABÓJCZA ZIEMIA I ORZEŁ WYLĄDOWAŁ

ZDRAJCA

 Fabryka
sensacji

JACK HIGGINS

ZDRAJCA

(The White House Connection)

Tłumaczenie Zbigniew Królicki

TMN

Wydanie polskie: 2011

Wydanie oryginalne: 1998

Mojej teściowej, Sally Palmer.

Dzięki za pomysł

Dla mojej Mani od Misia..

PROLOG

NOWY JORK

Manhattan, smagany wschodnim wiatrem niosącym śnieg z deszczem po Park Avenue, był ponury i odpychający, jak większość wielkich miast po północy, szczególnie w marcu. Jeśli nie liczyć przejeżdżających z rzadka limuzyn lub taksówek, ruch uliczny prawie zamarł, czemu trudno było się, dziwić, zważywszy na późną porę i paskudną pogodę.

W cieniu bramy jednego z budynków, w których mieściły się i liczne biura, i apartamenty, czekała kobieta. Kapelusz z szerokim rondem i postawiony kołnierz prochowca skrywały jej twarz. Z nadgarstka lewej ręki zwisała parasolka. Kobieta nie miała żadnej torby ani torebki.

Sięgnęła do prawej kieszeni płaszcza, wyjęła pistolet i wprawnie przeładowała go, nie patrząc. Była to niezwykła broń: półautomatyczny colt 25, ośmiostrzałowy, stosunkowo niewielki, lecz śmiercionośny, zwłaszcza z tłumikiem na końcu lufy. Niektórzy uważali go za kobiecą broń, ale nie wtedy, kiedy strzelano z niego pociskami z wydrążonymi czubkami. Kobieta schowała pistolet do kieszeni i rozejrzała się na boki.

Nieco na prawo, po drugiej stronie Park Avenue, stał wspaniały dom. Jego właścicielem był senator Michael Cohan, biorący właśnie

udział w przyjęciu dobroczynnym w hotelu „Pierre”, które miało skończyć się o północy. Dlatego czekała tu w mroku, żeby w dogodnych warunkach zabić go.

Usłyszała głosy, pijackie okrzyki, a potem zza rogu po przeciwnej stronie ulicy wyszli dwaj młodzi ludzie. Mieli identyczne wełniane czapeczki, żeglarskie kurtki, dżinsy i popijali piwo z puszek. Jeden z nich, wysoki i brodaty, wszedł do pełnego wody rynsztoka i ochlapał drugiego, który tylko się otrząsał. Dostrzegłszy wylot uliczki, opróżnił puszkę i rzucił ją na chodnik.

– Tutaj, człowieku! – zawołał do towarzysza i skręcił w zaułek.

– Cholera! – zaklęła cicho kobieta. Przy tej uliczce stał dom Cohana.

Nic nie mogła na to poradzić. Tamci znikli w ciemności, ale wyraźnie słyszała ich śmiechy. Niecierpliwie czekała, aż sobie pójda, gdy zza tego samego rogu wyszła młoda kobieta. Była drobna i nieodpowiednio ubrana na taką pogodę. Wprawdzie miała parasol, lecz czółenka i czarna garsonka z krótką spódniczką nie chroniły jej przed wiatrem i chłodem. Usłyszała głośny śmiech, zawahała się, a potem ruszyła naprzód.

– Hej, dokąd to, mała? – zawołał brodaty mężczyzna, wyłaniając się z bocznej uliczki.

Jego towarzysz wyszedł za nim. Dziewczyna przyspieszyła kroku, a brodaty podbiegł do niej i chwycił ją za ramię. Upuściła parasol i usiłowała się wyrwać, a wtedy mężczyzna uderzył ją w twarz.

– Możesz się szarpać, ile chcesz, słodziutka. Ja to lubię.

Jego kompan złapał ją za drugą rękę.

– Dalej, wciągnijmy ją tu.

Dziewczyna krzyknęła z przerażenia, a brodaty ponownie uderzył ją w twarz.

– Bądź grzeczna!

Powlekli ją do zaułka. Kobieta w bramie zawahała się, ale po chwili usłyszała przeraźliwy krzyk.

– Do licha! – powiedziała znowu, wyszła w deszcz i przeszła na drugą stronę ulicy.

W zaułku zalegał mrok, ledwie rozpraszany blaskiem palącej się na ulicy latarni. Dziewczyna usiłowała wyrwać się trzymającemu ją od tyłu napastnikowi, lecz brodaty miał w prawej ręce nóż i przycisnął ostrze do jej policzka. Popłynęła krew. Dziewczyna krzyknęła z bólu, a nożownik warknął:

– Mówiłem ci, żebyś była grzeczna. – Chwycił za skraj jej spódniczki i rozciął ją jednym cięciem noża. – Ty pierwszy, Freddy. Bierz się do dzieła.

– Nic z tego – zabrzmiał chłodny głos.

Freddy spojrzał przez ramię kompana i na jego twarzy pojawiło się zdumienie.

– Jezu! – powiedział.

Brodaty odwrócił się i zobaczył stojącą u wylotu zaułka kobietę. W prawej ręce trzymała kapelusz przeciwdeszczowy. Jej włosy były srebrzystosiwe, podświetlone blaskiem ulicznej latarni. Mogła mieć ponad sześćdziesiąt lat, lecz ciemność zacierała rysy jej twarzy.

– Czego chcesz, do diabła? – zapytał mężczyzna trzymający dziewczynę.

– Puść ją!

– Nie wiem, czego chce, ale mogę ci powiedzieć, co dostanie – powiedział brodaty do kompana. – To samo, co ta suka. Masz dziś ochotę na towarzystwo, babciu?

Zrobił krok naprzód, a kobieta strzeliła mu prosto w serce. Kapelusz przeciwdeszczowy dodatkowo stłumił huk strzału. Brodacz poleciał na mur, odbił się od niego i upadł na plecy.

Dziewczyna była tak przerażona, że nie odezwała się słowem. Za to trzymający ją mężczyzna jęknął:

– Jezu! O Boże!

Wyjął z kieszeni nóż sprężynowy i otworzył go.

– Poderżnę jej gardło – powiedział do kobiety. – Przysięgam.

Kobieta stała, trzymając colta w prawej, teraz luźno opuszczonej ręce. Kiedy się odezwała, jej głos nadal był chłodny i opanowany.

– Ty nigdy niczego się nie nauczysz, prawda?

Błyskawicznie poderwała rękę i strzeliła mu między oczy.

Runął na wznak. Dziewczyna oparła się o mur. Ciężko oddychała i miała krew na twarzy. Kobieta zdjęła cienki wełniany szalik i podała jej, a dziewczyna przycisnęła go do policzka. Kobieta pochyliła się najpierw nad brodatym, i potem nad jego kompanem.

– Żaden z tych panów już nie będzie nikogo napastował.

– Dranie! – wybuchła dziewczyna. Kopnęła brodacza. – Gdyby nie pani... – Zadrżała. – Mam nadzieję, że będą się smażyć w piekle.

– To bardzo prawdopodobne – przytaknęła kobieta. – Mieszkasz w pobliżu?

– Kilka przecznic stąd. Jadłam kolację w restauracji za rogiem, pokłóciłam się z chłopakiem i wyszłam, mając nadzieję, że złapię taksówkę.

– Nigdy nie można żadnej złapać, kiedy pada. Pozwól, że obejrzę tę ranę.

Podprowadziła dziewczynę bliżej wylotu uliczki.

– Powiedziałałabym, że trzeba założyć dwa lub trzy szwy. Szpital St. Mary znajduje się dwie przecznice stąd, w tym kierunku – pokazała.

– Zgłoś się do izby przyjęć. Powiedz, że miałaś wypadek. Poślizgnęłaś się, rozciąłaś policzek i rozdarłaś spódniczkę.

– Uwierzą mi?

– To bez znaczenia. Twoja sprawa. – Kobieta wzruszyła ramionami. – Chyba że chcesz iść na policję.

– Wielki Boże, nie! – przestraszyła się dziewczyna. – To ostatnia rzecz, jaką chciałabym zrobić.

Kobieta wyszła na ulicę, podniosła upuszczony parasol i podała jej.

– A więc idź, moja droga, i nie oglądaj się. To się nigdy nie wydarzyło, pamiętaj. – Cofnęła się i podniosła upuszczoną przez napadniętą torebkę. – To twoje.

Dziewczyna wzięła torebkę.

– I nie zapomnę pani.

Kobieta uśmiechnęła się.

– Prawdę mówiąc, wolałabym, żebyś zapomniała.

Dziewczyna zdobyła się na nikły uśmiech.

– Rozumiem, co pani ma na myśli.

Odwróciła się i pospiesznie odeszła, ściskając parasol. Starsza pani popatrzyła za nią, obejrzała dziurę w kapeluszu, włożyła go na głowę, a potem otworzyła swoją parasolkę i poszła w przeciwną stronę.

Kierując się na północ, minęła dwie przecznice i znalazła zaparkowanego przy krawężniku lincolna. Kiedy zbliżała się do limuzyny, siedzący za kierownicą człowiek wysiadł i otworzył jej drzwi. Był dobrze zbudowanym czarnoskórym mężczyzną w szarej liberii szofera.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Przecież tu jestem, prawda?

Usiadła na przednim siedzeniu. Zamknął drzwi, obszedł samochód i usiadł za kierownicą. Kobieta zapięła pas i trąciła go w ramię.

– Hedley, gdzie ta twoja butelka z whisky?

Ze schowka na rękawiczki wyjął srebrzystą piersiówkę, odkręcił zakrętkę i podał kobiecie flaszkę. Pociągnęła jeden łyk, drugi, a potem oddała mu ją.

– Cudowna.

Wyjęła srebrną papierośnicę, wzięła papierosa i zapaliła go samochodową zapalniczką, wydmuchując długie pasmo dymu.

– Wszystkie niezdrowe nałogi są takie przyjemne.

– Nie powinna pani tego robić. To pani szkodzi.

– Czy to ma jakieś znaczenie?

– Proszę tak nie mówić – rozgniewał się. – Dostała pani tego drania?

– Cohana? Nie, coś mi przeszkodziło. Wracajmy do hotelu.

Opowiem ci po drodze.

Skończyła relację, zanim przejechali połowę drogi.

– Mój Boże, co pani próbuje zrobić? – mruknął ze zgrozą. – Oczyszczyć cały świat ze zła?

– Rozumiem. Chcesz powiedzieć, że powinnam stać i spokojnie

patrzeć, jak te dwie bestie gwałcą dziewczynę i podrzynają jej gardło?

– Dobrze, dobrze! – westchnął i pokiwał głową. – A co z senatorem Cohanem?

– Jutro polecimy z powrotem do Londynu. Pojawi się tam za kilka dni, udając, że przybywa na polecenie prezydenta. Wtedy go dostanę.

– A co potem? Kiedy to się skończy? – mruknął Hedley. – To wszystko wydaje się nierealne.

Podjechał pod hotel, a ona uśmiechnęła się łobuzersko, jak urwis.

– Wiem, jakim jestem dla ciebie utrapieniem, Hedley, ale co ja bym bez ciebie poczęła? Zobaczmy się rano.

Wysiadł, otworzył jej drzwi i patrzył, jak wchodziła po schodach.

– A co ja bym począł bez pani? – mruknął pod nosem, a potem wsiadł do wozu i odjechał.

Na szczycie schodów czekał nocny portier.

– Lady Helen! – powiedział. – Jakże miło panią widzieć. Słyszałem, że pani przyjechała.

– Witaj, George – powiedziała i pocałowała go w policzek. – Jak się ma twoja mała córeczka?

– Wspaniale, po prostu wspaniale.

– Rano wracam do Londynu. Zobaczmy się wkrótce.

– Dobranoc, lady Helen.

Weszła do środka, a czekający na taksówkę mężczyzna w płaszczu przeciwdeszczowym zapytał:

– Hej, kto to jest?

– Lady Helen Lang. Przyjeżdża tu od lat.

– Lady? Zabawne, ale nie ma angielskiego akcentu.

– To dlatego, że pochodzi z Bostonu. Wieki temu wyszła za angielskiego lorda. Mówią, że jest milionerką.

– Naprawdę? No cóż, wygląda całkiem nieźle.

– Ma pan rację. To jedna z najmiłszych osób, jakie znam.

POCZĄTEK – LONDYN

NOWY JORK

1

Helen Darcy urodziła się w 1933 roku w jednej z najbogatszych bostońskich rodzin. Jej matka umarła, rodząc swe jedyne dziecko. Na szczęście ojciec bardzo kochał córkę, a ona w pełni odwzajemniała to uczucie. Pomimo rozlicznych interesów związanych z hutnictwem, przemysłem stoczniowym i naftowym, zawsze znajdował dla niej czas, a ona była tego warta. Niezwykle inteligentna, chodziła do najlepszych szkół, a później do Vassar, gdzie przekonała się, że ma wybitne zdolności do języków obcych.

Jej ojciec, który uważał, że tylko najlepsze jest dostatecznie dobre, a sam za młodu otrzymał stypendium Rhodesa¹, posłał ją do Anglii, aby ukończyła studia w St. Hugh's College w Oxfordzie.

Liczni londyńscy znajomi ojca przyjęli ją z otwartymi ramionami i stała się bardzo popularna w tamtejszym towarzystwie. Miała dwadzieścia cztery lata, kiedy poznała sir Rogera Langa, baroneta i podpułkownika rezerwy Gwardii Szkockiej, prezesa banku handlowego prowadzącego interesy z jej ojcem.

Natychmiast zakochała się w nim, a on odwzajemniał to uczucie. Był jednak pewien problem. Chociaż lord nie był żonaty, to jednak dzieliła

¹ Stypendium ufundowane przez C. J. Rhodesa dla wyróżniających się studentów ze Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych, umożliwiające dwu – lub trzyletnie studia w Oxfordzie (przyp. tłum.).

ich duża różnica wieku, piętnastoletnia, która wówczas wydawała się Helen zbyt wielka.

Wróciła do Ameryki, nie wiedząc, co robić i czym się zająć, gdyż interesy jej nie pociągały, a miała dość akademickiego życia. Oczywiście, zawsze otaczał ją rój młodzieńców, których wabił choćby ogromny majątek ojca, ale żaden jej nie odpowiadał, bo nie mogła zapomnieć Rogera Langa, z którym raz w tygodniu rozmawiała przez telefon.

W końcu podczas pewnego weekendu w ich letniskowym domu na Cape Cod powiedziała przy śniadaniu do ojca:

– Tato, nie złość się na mnie, ale chyba wrócę do Anglii... i wyjdę za mąż.

Ojciec wyprostował się i uśmiechnął.

– Czy Roger Lang o tym wie?

– Do licha, wiedziałeś.

– Od kiedy wróciłaś z Oxfordu. Zastanawiałem się tylko, kiedy pójdziesz po rozum do głowy.

Nalała do filiżanek herbaty – był to zwyczaj przywieziony z Anglii.

– Właściwie... On jeszcze o tym nie wie.

– A zatem proponuję, żebyś poleciała do Londynu i powiedziała mu – rzekł ojciec i wrócił do lektury „New York Timesa”.

W ten sposób Helen Darcy, obecnie lady Helen Lang, rozpoczęła nowe życie, które dzieliła między dom przy South Audley Street i wiejską posiadłość nad morzem w północnym Norfolk, zwaną Compton Place. I tylko jedno mąciło jej szczęście. Mimo wszelkich starań, roniła kolejne ciężce. Gdy więc w wieku trzydziestu trzech lat urodziła syna, Petera, zakrawało to po prostu na cud.

Peter okazał się kolejną radością jej życia i zatroszczyła się o jego wykształcenie tak samo, jak ojciec zadbał o jej edukację. Mąż zgodził się, by ich syn przez kilka lat uczęszczał do amerykańskiej szkoły, ale później, jako przyszły sir Peter, musiał ukończyć Eton oraz akademię

wojskową w Sandhurst. Tak nakazywała rodzinna tradycja, a Peter nie miał nic przeciwko temu, bo marzył tylko o jednym: chciał zostać żołnierzem, jak wszyscy z rodu Langów.

Po Sandhurst wstąpił do Gwardii Szkocekiej, dawnego pułku ojca, a po kilku latach został przeniesiony do SAS², gdyż odziedziczył matczyne uzdolnienia lingwistyczne. Służył w Bośni i podczas wojny w Zatoce, gdzie odznaczono go Krzyżem Zasługi za tajną operację na tyłach irackich oddziałów. A także w Irlandii, gdzie posyłano go raz po raz. Talent do języków pozwalał mu bez trudu opanować lokalne dialekty. Peter nie mówił z udawanym irlandzkim akcentem, ale tak, jakby pochodził z Dublina, Belfastu lub South Armagh, dzięki czemu oddawał nieocenione usługi w nieustającej walce ze skrzydłem tymczasowym IRA.

Taki tryb życia nie sprzyjał trwałym związkom z kobietami. Przelotne znajomości to wszystko, na co miał czas. Niebezpieczeństwo było realne i kładło się ciężkim brzemieniem na barki Helen, lecz ona dźwigała je jak żona i matka żołnierzy, aż do tej strasznej niedzieli w marcu 1996 roku, kiedy w domu przy South Audley Street jej mąż odebrał telefon, a potem powoli odłożył słuchawkę i odwrócił się z twarzą szarą jak popiół.

– Nie ma go – powiedział po prostu. – Nie ma Petera. A potem osunął się na krzesło i zapłakał, podczas gdy ona trzymała go za rękę i spoglądała w przestrzeń.

Jeśli był ktoś, kto rozumiał jej ból tego deszczowego dnia na cmentarzu przy wiejskim kościółku Najświętszej Marii i Wszystkich Świętych w Compton Place, to osobą tą był stojący za nią i za sir Rogerem szofer lady Helen Lang, ubrany w elegancki szary uniform i trzymający nad nimi parasol.

Hedley Jackson miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu i pochodził z Harlemu. Mając osiemnaście lat, zaciągnął się do piechoty morskiej

² SAS – Spccial Air Service – jednostka powietrzno-desantowa wojsk specjalnych (przyp. wyd.).

i pojechał do Wietnamu, skąd wrócił ze Srebrną Gwiazdą³ i dwoma Szkarłatnymi Sercami⁴. Przydzielony do ochrony ambasady amerykańskiej w Londynie, poznał dziewczynę z Brixton, która była gospodynią Langów w domu przy South Audley Street. Pobrali się, Hedley odszedł z wojska i został zatrudniony jako szofer Langów. Mieszkali z żoną w dużym mieszkaniu na parterze i mieli dziecko, synka. W małżeństwie układało im się wspaniale, aż wydarzyła się tragedia: żona i dziecko Jacksona zginęli na miejscu w karambolu, do którego doszło we mgle na North Circular Road.

Lady Helen trzymała go za rękę w krematorium, a kiedy zniknął z South Audley Street, przetrząsała wszystkie bary, aż znalazła go w Brixton, kompletnie pijanego i bliskiego samobójstwa. Zabrała go do Compton Place i powoli, cierpliwie przywróciła mu chęć do życia.

Powiedzenie, że był jej oddany, nie oddawało – łagodnie mówiąc – istoty rzeczy. Współczuł jej całym sercem, tym bardziej że słowa Rogera Langa, mówiącego „nie ma Petera”, kryły w sobie straszliwą prawdę. Bomba, którą IRA podłożyła w samochodzie Petera, wybuchła z taką siłą, że nie pozostał po nim żaden ślad. Stojąc tam na deszczu, mogli patrzeć tylko na jego imię, wykute w marmurze rodzinnego grobowca.

Major Peter Lang, odznaczony Krzyżem Zasługi
Gwardia Szkocka, Pułk SAS
1966-1996
Spoczywaj w pokoju

³ Srebrna Gwiazda – spiszowa gwiazda z małą srebrną gwiazdką w środku, medal przyznawany w armii Stanów Zjednoczonych za waleczność na polu bitwy (przyp. wyd.).

⁴ Szkarłatne Serce – medal przyznawany w armii Stanów Zjednoczonych za rany odniesione w bezpośredniej walce z wrogiem (przyp. wyd.).

Helen ścisnęła dłoń męża. Przez kilka ostatnich dni postarzał się o dziesięć lat. Ten niegdyś ruchliwy i energiczny mężczyzna teraz wyglądał jak starzec, który nigdy nie był młody. Spoczywaj w pokoju – pomyślała. Przecież właśnie o to mu chodziło. O pokój w Irlandii, a ci dranie zabili go. Nie pozostał po nim żaden ślad. Jakby go nigdy nie było – rozmyślała, marszcząc brwi, nie mogąc płakać. Tak nie powinno być. Nie ma sprawiedliwości na tym oszalałym świecie. Ksiądz zaintonował: „Jam jest zmartwychwstanie i życie, mówi Pan”.

Helen pokręciła głową. Nie, nic podobnego. Nic podobnego. Już w to nie wierzę, skoro zło bezkarnie kroczy po tej ziemi.

Odwróciła się i opuściła zaskoczonych żałobników. Odeszła razem z mężem. Hedley poszedł za nimi, osłaniając ich parasolem.

Jej ojciec, który z powodu choroby nie mógł przyjechać na pogrzeb, zmarł kilka miesięcy później i zostawił jej wielomilionowy majątek. Zarząd nadzorujący rozmaite przedsiębiorstwa wchodzące w skład korporacji był całkowicie godny zaufania, a jego prezesem był kuzyn Helen, z którym zawsze się lubili, tak więc wszystko pozostało w rodzinie. Mogła opiekować się mężem, który zupełnie się załamał i zmarł rok po śmierci syna.

Helen zajęła się działalnością charytatywną i spędzała sporo czasu w Compton Place, chociaż tysiąc akrów tamtejszej ziemi zostało wydzierżawione pod uprawę.

Compton Place w pewnym sensie było jej zbawieniem, ze względu na swe fascynujące położenie. Kilometr od brzegu Morza Północnego, w tej części Norfolk, która wciąż pozostaje typowo wiejskim hrabstwem, pełnym krętych i wąskich dróg oraz takich miejscowości jak Cley-next-the-Sea, Stiffkey czy Blakeney – wioszek niespodziewanie wyłaniających się przy drodze i zaraz znikających. Ponadczasowych.

Od kiedy po raz pierwszy pojechała tam z Rogerem, była oczarowana słonymi moczarami spowitymi ciągnącą z nad morza mgłą, kamienistymi plażami, wydmmami i rozległymi łachami mokrego piasku,

odslanianymi przez odpływ.

Jako dziecko wychowane na Cape Cod kochała morze i ptaki, których w tej części Norfolk było mnóstwo: syberyjskie bernikle obrożne, biegusy, brodźce krwawodziobe i najróżniejsze gatunki mew. Uwielbiała spacerować lub jeździć na rowerze po groblach, które miały co najmniej dwa metry wysokości i ciągnęły się wśród gęstych trzcin. Za każdym razem, gdy wciągała w płuca słone morskie powietrze lub czuła na twarzy krople deszczu, budziły się w niej nowe siły.

Dom został zbudowany w czasach Tudorów, lecz w stylu georgiańskim z kilkoma późniejszymi dodatkami. Wielka kuchnia powstała po wojnie, z wyczuciem zaprojektowana w wiejskim stylu. Jadalnia, hol, biblioteka i olbrzymi salon miały dębową boazerię. Poza tym w domu było teraz tylko sześć sypialni, gdyż pozostałe w przeszłości przerobiono na łazienki lub gotowalnie.

Większość ziemi dzierżawili okoliczni farmerzy. Pozostało jej tylko sześć akrów wokół domu, z czego większość porośnięta lasem, a także dwa wielkie trawniki i trzeci, pełniący rolę boiska do krykieta. Od czasu do czasu z pobliskiej wioski przychodził emerytowany farmer, który zajmował się nimi, a ilekroć Helen była w rezydencji, brała kosiarkę i sama kosiła trawę.

Miała gospodynię, niejaką panią Smedley, a w razie potrzeby inna kobieta z wioski pomagała jej sprzątać. To wystarczało. Była to spokojna i uporządkowana egzystencja, która pozwalała Helen odzyskać chęć do życia. Pomogli jej też w tym mieszkańcy wioski.

Brytyjska arystokracja rządzi się dziwnymi prawami. Helen, jako żona Rogera Langa, oficjalnie nosiła tytuł lady Lang. Jedynie córkom wysoko urodzonych wolno było używać imion, lecz mieszkańcy tej części Norfolk to ludzie niezwykle uparci. Dla nich była lady Helen, i koniec. Interesujące, że ten sam zwyczaj panował w kręgach londyńskiej śmietanki towarzyskiej.

Lady Helen pomagała wszystkim potrzebującym. Co niedzielę chodziła rano do kościoła, a Hedley siedział w tylnych ławkach, zawsze ubrany w nieskazitelny uniform szofera. Nie wzdragała się przed

wieczorną wizytą w pubie, gdzie wypijała drinka lub dwa i gdzie Hedley także zawsze jej towarzyszył. Chociaż wydaje się to niewiarygodne, ci małomówni ludzie całkowicie zaakceptowali go po pewnym niezwykle wydarzeniu, które miało miejsce kilka lat wcześniej.

Niezwykle wysoki przyptyw w połączeniu z ulewnym deszczem sprawił, że woda wezbrała w wąskim kanale biegnącym przez wioskę od nieczynnego młyna. Wkrótce przelewała się na ulicę i groziła zalaniem domów. Wszystkie próby otwarcia śluzy blokującej kanał okazały się bezskuteczne. Dopiero Hedley wszedł z łomem w rękę do sięgającej mu po szyję wody i nurkując raz po raz, zdołał poluzować stare rygle. Od tego czasu w pubie nigdy nie pozwolono mu zapłacić za drinka.

I tak, chociaż życie straciło dla niej urok, mogło być znacznie gorzej. A potem lady Helen odebrała nieoczekiwany telefon, którego konsekwencje okazały się równie katastrofalne, jak telefonu sprzed dwóch lat, zawiadamiającego o śmierci jej syna.

- Helen, czy to ty? – usłyszała słaby, a jednak dziwnie znajomy głos.
- Tak, kto mówi?
- Tony Emsworth.

Dobrze pamiętała to nazwisko: młodszy oficer służący wiele lat temu pod rozkazami jej męża, później podsekretarz stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Nie widziała go od dawna. Teraz chyba dobiegał siedemdziesiątki. Przypomniała sobie, że nie było go ani na pogrzebie Petera, ani jej męża. Wówczas wydało jej się to dziwne.

- Witaj, Tony – powiedziała. – Gdzie jesteś?
- W swoim domu. Teraz mieszkam w Stukeley. To mała wioska w hrabstwie Kent. Zaledwie sześćdziesiąt kilometrów od Londynu.
- Jak się ma Martha? – zapytała Helen.
- Umarła przed dwoma laty. Chodzi o to, Helen, że muszę się z tobą zobaczyć. Można powiedzieć, że to sprawa życia i śmierci. – Zakaszła. – Mojej śmierci. Rak płuc. Nie zostało mi wiele czasu.

– Tony, tak mi przykro.

– Mnie też – spróbował zażartować, a potem powiedział z naciskiem: – Helen, kochanie, musisz do mnie przyjechać. Muszę wyznać ci coś, co powinnaś usłyszeć.

Znowu zaczął kaszeć. Zaczekała, aż przestanie.

– Dobrze, Tony, dobrze. Nie denerwuj się. Po południu pojedę do Londynu, zostanę tam na noc i przyjadę do ciebie wcześniej rano. W porządku?

– Cudownie. A zatem do zobaczenia.

Odłożył słuchawkę. Odebrała telefon w bibliotece. Stała tam trochę wzburzona, marszcząc brwi, a potem otworzyła srebrną papierośnicę, wyjęła papierosa i zapaliła go zrobioną z łuski po niemieckim pocisku zapalniczką, którą kiedyś dał jej Roger.

Tony Emsworth. Ten słaby głos, ten kaszel, głęboko nią wstrząsnęły. Pamiętała go jako przystojnego kapitana gwardii, bawidamka i namiętnego myśliwego. To przykre, że tak się postarzał. Prawdopodobnie niewiele czasu mu pozostało. Śmierć czaiła się tuż, tuż, a Helen miała, jej już dosyć.

Był jednak jeszcze inny, sekretny powód, o którym nawet Hedley nic nie wiedział. Dziwny ucisk w piersi i ramieniu dawał jej do myślenia. Niedawno pojechała sama do Londynu, gdzie skonsultowała się z jednym z najlepszych lekarzy z Harley Street i przeszła badania w klinice.

Przypomniała jej się wzmianka, jaką Scott Fitzgerald skwitował swój stan zdrowia: „Odwiedziłem gabinet wielkiego człowieka i wyszedłem z wyrokiem śmierci”. A przynajmniej coś w tym rodzaju. Jej wyrok nie był aż tak surowy. Oczywiście, kłopoty z sercem. Dusznica. Nie ma powodu do obaw, moja droga – powiedział profesor. Pożyj jęsz jeszcze wiele lat. Tylko zażywaj proszki i nie denerwuj się. Koniec z polowaniem z ogarami i tym podobnymi rzeczami.

– I koniec z paleniem – powiedziała cicho, z krzywym uśmiechem, gasząc papierosa, ponieważ powtarzała to sobie już od miesiący. Poszła poszukać Hedleya.

Stukeley było miłą miejscowością: domy po obu stronach wąskiej ulicy, pub, sklep spożywczy oraz posiadłość Emswortha, Rose Cottage, niedaleko kościółka. Lady Helen zadzwoniła do niego, zanim wyjechała z Londynu, i uprzedziła go o swojej wizycie, więc jej oczekiwał i sam otworzył im drzwi. Wysoki i kruchy, chudy jak szkielet, z czaszką obciągniętą cienką jak pergamin skórą. Pocałowała go w policzek.

– Tony, wyglądasz okropnie.

– Prawda? – zdołał się uśmiechnąć.

– Czy mam zaczekać w wozie? – zapytał Hedley.

– Miło znów cię widzieć, Hedley – rzekł Emsworth. – Czy mógłbyś zająć się kuchnią? Godzinę temu dałem wolne gospodyni. Zostawiła kanapki, ciastka i tak dalej. Gdybyś mógł zaparzyć herbatę...

– Z przyjemnością – powiedział Hedley i wszedł za nimi do domu.

Na kominku w salonie paliła się kłoda drewna. Niski sufit spoczywał na drewnianych krokwiach, pokój był umeblowany ze smakiem, a kamienną podłogę pokrywały indyjskie dywany. Emsworth usiadł w fotelu i położył na podłodze łaskę, którą się podpierał. Na stoliku obok leżała kartonowa teczka.

– Tam stoi fotografia twojego męża i moja z czasów, gdy byłem młodszym oficerem – powiedział.

Helen Lang podeszła do komody i obejrzała oprawione w srebrne ramki zdjęcie.

– Byliście bardzo przystojni, obaj.

Wróciła i usiadła naprzeciw niego.

– Nie byłem na pogrzebie Petera – powiedział. – Ani Rogera.

– Zauważyłam.

– Widzisz, za bardzo się wstydzilem, żeby się tam pokazać.

Ton jego głosu był tak dziwny, że zdrętwiała i zimny dreszcz przebiegł jej po krzyżu. Wszedł Hedley i postawił na stoliku tacę z herbatą.

– Nie przynoszę jedzenia – powiedziała. – Może później.

– Bądź tak miły – poprosił Emsworth – i przynieś tę karafkę z whisky, która stoi na komodzie. Nalej po szklaneczce dla mnie i dla

lady Helen.

– Będę potrzebowała wzmocnienia?

– Myślę, że tak.

Skinęła głową. Hedley napełnił szklaneczki i przyniósł im.

– Będę w kuchni, gdyby mnie pani potrzebowała.

– Dziękuję. Być może będę.

Hedley miał ponurą minę, ale wrócił do kuchni. Stał tam przez chwilę, zastanawiając się nad czymś, a potem zauważył drzwiczki okienka do podawania potraw i lekko je uchylił. Może nieładnie postąpił, ale kierowała nim wyłącznie troska o jej dobro. Usiadł na taborecie i słuchał.

– Przez całe lata okłamywałem przyjaciół – powiedział Emsworth. – Nawet Martha nie znała prawdy. Wszyscy myśleliście, że pracuję w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. No cóż, to nieprawda. Przez długie lata pracowałem w tajnym wywiadzie. Och, nie w terenie. Byłem tylko urzędnikiem, który posyłał dzielnych ludzi, aby wykonywali za niego brudną robotę i często przy tym ginęli. Jednym z nich był major Peter Lang.

Znów przeszedł ją dreszcz.

– Rozumiem – powiedziała ostrożnie.

– Pozwól, że ci wyjaśnię. Mój wydział był odpowiedzialny za tajne operacje w Irlandii. Zajmowaliśmy się nie tylko IRA, ale także członkami paramilitarnych organizacji lojalistycznych, którzy uniknęli sprawiedliwości, grożąc świadkom i zastraszając ich.

– Co robiliście?

– Grupy naszych tajnych agentów, głównie z SAS, eliminowały ich.

– Masz na myśli: mordowały?

– Nie, nie mogę zaakceptować tego określenia. Zbyt długo toczyliśmy wojnę z tymi ludźmi.

Nie naleła herbaty, tylko sięgnęła po szklaneczkę whisky i upiła łyk.

– Czy mam rozumieć, że mój syn wykonywał takie zadania?

– Tak, Peter był jednym z naszych najlepszych ludzi. Jego umiejętność naśladowania rozmaitych irlandzkich dialektów była

wprost nieocenia. Jeśli chciał, potrafił mówić jak robotnik budowlany z Derry. Był członkiem pięcioosobowego zespołu. Czterej mężczyźni plus kobieta.

– I?

– Wszyscy zginęli prawie jednocześnie. Trzej mężczyźni i kobieta zostali zastrzeleni...

– A Peter wysadzony w powietrze?

Emsworth wypił whisky, potem wstał, pokuszykał do komódki i drżącą ręką nalał sobie jeszcze jedną szklaneczkę.

– Niestety nie. Tak wam tylko powiedziano.

Wypił whisky; odrobina alkoholu pociekła mu po brodzie. Helen opróżniła swoją szklaneczkę, sięgnęła po srebrną papierośnicę, wyjęła papierosa i zapaliła go.

– Mów.

Emsworth dotarł do fotela i opadł nań. Ruchem głowy wskazał akta.

– Wszystko jest tam. Wszystko, co powinnaś wiedzieć. Łamię ustawę o tajemnicy państwowej, ale dlaczego miałbym się tym przejmować? Jutro mogę już nie żyć.

– Mów! – zażądała twardo. – Chcę to usłyszeć z twoich ust.

Nabrał tchu.

– Jeżeli chcesz... Jak wiesz, na irlandzkiej scenie politycznej występuje wiele ugrupowań, zarówno katolickich, jak i protestanckich. Jednym z najgorszych jest nacjonalistyczna organizacja zwana Synami Erin⁵. Przed laty kierował nią niejaki Frank Barry, prawdziwy kawał drania, a w dodatku co rzadko się zdarza – republikanin i protestant. W końcu został zabity, ale miał bratanka, Jacka Barry'ego, urodzonego w Ameryce. Ten wychował się w Nowym Jorku, a w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym roku, mając osiemnaście lat, znalazł się w Wietnamie, dokąd wysłano go na kilkumiesięczną służbę. Potem wybuchł jakiś skandal... Podobno zastrzelił kilku jeńców, więc po cichu pozbyli się go.

⁵ Erin – imię kobiece, a także dawne poetyckie określenie Irlandii (przyp. tłum.).

– I wstąpił do IRA?

– Właśnie. Zajął miejsce wuja. To psychopatyczny morderca, który od lat wymyka się nam z rąk. Och, i jeszcze niezwykle fakt: jednym z przodków Jacka był lord Barry. Na wybrzeżu koło Down w Ulsterze miał posiadłość zwaną Spanish Head. Teraz posiadłość należy do państwa. Ojciec Franka Barry'ego osierocił go w dzieciństwie, a on sam został zabity, zanim wujeczny dziadek umarł.

– A więc Jack dziedziczy tytuł?

Emsworth skinął głową.

– Nigdy jednak go nie przyjął, Gdyby to zrobił, można by go skazać jako zdrajcę Korony.

– Hm, nie wiem. Myślałam, że już od lat nie wykonuje się egzekucji na Tower Hill. No nic, Tony, mów dalej.

Zamknął oczy, a potem westchnął i podjął przerwana opowieść.

– Był taki człowiek, nazywał się Doolin, był kierowcą Barry'ego. Wylądował w więzieniu Maze, i umieściliśmy w jego celi informatora. Nasz człowiek miał spory zapas kokainy i w końcu wyciągnął z Doolina historię całego jego życia.

– Mój Boże! – powiedziała ze zgrozą.

– Wszystko dla dobra sprawy, moja droga. Doolin nie był w tym czasie z Barrym, ale twierdził, że kiedy wioził Barry'ego na północ do Stra-more, ten był naćpany prochami i whisky. Powiedział Doolinowi, że właśnie załatwili całą grupę brytyjskich agentów, dzięki nowojorskiej filii Synów Erin oraz dzięki pomocy kogoś, kogo nazywał Łącznikiem. Doolin zapytał, kto jest tym Łącznikiem, a Barry odparł, że tego nikt nie wie, ale to Amerykanin, a potem zmienił temat i zaczął opowiadać o detektywach, którzy działali w Dublinie za czasów Micka Collinsa.

– Z czego wynika, że ten Łącznik to ktoś wysoko postawiony? Jak? Gdzie?

– Brytyjski wywiad od wielu lat ma powiązania z Białym Domem, szczególnie od czasu rozpoczęcia procesu pokojowego w Irlandii Północnej. Wymieniano pewne niezbędne informacje.

– Włącznie z tymi o grupie mojego syna?

– Tak. Uważałem, że to zbyt daleko idąca współpraca, ale ważniejsi ode mnie ludzie, tacy jak Simon Carter, wicedyrektor służb specjalnych, przegłosowali mnie. A potem znaleziono Doolina powieszzonego w celi.

Podeszła do komody, nalała sobie drugą porcję whisky i odwróciła się.

– To coraz bardziej przypomina czasy Borgiów. A ponieważ wyraźnie nie chcesz mi wyjaśnić, co to znaczy, że Peter nie zginął w eksplozji, chyba będzie mi to potrzebne. – Upiła połowę trunku. – Mów dalej, Tony.

– No tak, Synowie Erin. Przekazali informacje uzyskane od Łącznika. Mieli kontakty w Dublinie i w Londynie. – Cierpiał męki i widziała to. – To jest w aktach. Wszystko tam jest, wszyscy biorący w tym udział, ich zdjęcia, wszystko. Skopiowałem ściśle tajne akta i...

– Opowiedz mi o Peterze.

– Porwali go, kiedy wychodził z pubu w South Armagh, Barry i jego ludzie. Torturowali go, a kiedy nic nie powiedział, zakatowali na śmierć. W pobliżu budowano drogę szybkiego ruchu do Republiki Irlandii. Stała tam jedna z tych wielkich betoniarek, które pracują przez całą noc. Wrzucili do niej ciało.

Siedziała tam, patrząc w przestrzeń, a potem nagle wypiła resztę whisky. Emsworth mówił dalej.

– Wyszadzili jego samochód silnym ładunkiem wybuchowym, pozorując śmierć w eksplozji. Chcieli, żebyśmy wiedzieli, że nie żyje, a nie zamierzali przysyłać nam pocztówki.

Był już lekko pijany. Helen krzyknęła, zasłoniła dłonią usta, zerwała się i pobiegła do drzwi. Dotarła do toalety w holu i zwymiotowała do umywalki. Kiedy w końcu wytarła twarz i wyszła, Hedley czekał na nią.

– Słyszałeś?

– Obawiam się, że tak. Jak się pani czuje?

– Bywało lepiej. Herbaty, Hedley, gorącej i mocnej.

Wróciła do salonu i usiadła.

– I co się stało? Dlaczego nic nie zrobiono?

– Postanowiono zachować to w tajemnicy, dlatego nie powiedziano

wam prawdy. Nasi agenci sprawdzili kręgi republikanów w Nowym Jorku i Waszyngtonie. Odkryliśmy, że w Nowym Jorku istotnie jest klub o nazwie „Synowie Erin”. Nazwiska wszystkich członków są w aktach, razem z ich zdjęciami. To szanowani biznesmeni, jeden z nich jest nawet senatorem. Wszystko się zgadza. Już wcześniej zdarzało się, że ściśle tajne informacje, przekazywane z Londynu do Waszyngtonu, przeciekały do IRA.

– I dlaczego nic nie zrobiono w tej sprawie?

Emsworth wzruszył ramionami.

– Polityka. Prezydent, premier. Nikt nie chciał kołysać łodzią. Pozwól, że powiem ci coś o pracy wywiadowczej. Myślisz, że CIA i FBI informują prezydenta o wszystkim? Do diabła, nie.

– I co z tego?

– Tak samo jest w Wielkiej Brytanii. MI5 i MI6 mają swe mroczne sekrety, a nienawidzą nie tylko siebie nawzajem, ale także członków brygady antyterrorystycznej Scotland Yardu i wywiadu wojskowego. Na dowód tego w aktach znajdziesz dwa interesujące dokumenty, jeden amerykański, a drugi brytyjski.

– Czego dotyczą?

– W Białym Domu pracuje niejaki Blake Johnson, około pięćdziesiątki, weteran z Wietnamu, prawnik, były pracownik FBI. Kieruje Wydziałem Spraw Ogólnych Białego Domu. Ponieważ ten wydział znajduje się w przyziemiu, nazywają go Piwnicą. Jego istnienie jest jedną z najpilniej strzeżonych tajemnic administracji, przekazywaną kolejnemu prezydentowi przez poprzedniego. Jest całkowicie niezależny od FBI, CIA czy Secret Service. Podlega tylko prezydentowi. Jest tak tajny, że niektórzy wręcz wątpią w jego istnienie.

– Jednak istnieje?

– Och tak, a nasz premier ma jego odpowiednik. To jest w aktach. Kieruje nim brygadier Charles Ferguson.

– Charles Ferguson? Znam go od lat.

– No cóż, nie wiem, za kogo go brałaś, ale jego sekcja jest znana w naszych kręgach jako prywatna armia premiera. Od lat sprawiają

poważne kłopoty IRA. Ferguson piastuje wysokie stanowisko w Ministerstwie Obrony i odpowiada wyłącznie przed premierem, za co nienawidzą go wszystkie pozostałe organizacje wywiadowcze. Jego prawą ręką jest były zamachowiec IRA, niejaki Sean Dillon, a lewą starszy inspektor Hannah Bernstein, wnuczka rabina, jeśli wierzyć aktom. Niezła paczka, co?

– A co to ma wspólnego z Peterem?

– Ma. SIS⁶ nie chciał wciągać w to Fergusona i jego ludzi, ponieważ Ferguson mógłby powiadomić o wszystkim premiera, a ponadto on ma prywatne kontakty z Blake’em Johnsonem, który z kolei poinformowałby prezydenta, a tego chciano uniknąć.

– I co się stało?

– Zaczęli przekazywać Białemu Domowi nieistotne i bezużyteczne, a nawet fałszywe informacje. Unikano jakichkolwiek wzmianek o członkach nowojorskiej filii Synów Erin. A potem dokumenty gdzieś się zapodziały. – Chwycił teczkę i podniósł ją. – Oprócz tej kopii. Nie wiem, dlaczego ją sporządziłem. Pewnie z obrzydzenia do siebie. Myślę, że powinnaś ją wziąć.

Zaczął kaszleć i Helen podała mu serwetkę. Kiedy odjął ją od ust, zobaczyła krew. – Mam wezwać lekarza?

– Wpadnie później. Chociaż to i tak nic nie da. – Uśmiechnął się do niej upiornie. – A więc teraz wiesz już wszystko. Lepiej pójdę się położyć.

Wstał, podniósł laskę i powoli wyszedł do holu.

– Przykro mi, Helen. Tak bardzo mi przykro.

– To nie twoja wina, Tony.

Z trudem szedł po schodach, a ona odprowadzała go wzrokiem. Obok niej wyrósł Hedley. W rękę trzymał teczkę.

– Pomyślałem, że zechce pani to wziąć.

– Niewątpliwie – odparła, biorąc ją od niego. – Ruszajmy, Hedley. Tu jest tylko śmierć.

⁶ SIS – Secret Intelligence Service – tajny wywiad (przyp. wyd.).

Kiedy mercedes jechał wąskimi drogami, przeczytała akta, notując w pamięci każdy szczegół, każde zdjęcie. To dziwne, lecz najdłużej przyglądała się fotografii Seana Dillona: jasne włosy, skupiona twarz człowieka, który uznał życie za kiepski żart. Zamknęła teczkę i oparła się wygodnie.

– Dobrze się pani czuje, łady Helen? – zapytał Hedley.

– Och, tak. Kiedy wrócimy na South Audley Street, też możesz przeczytać te akta.

Poczuła trzepotanie w piersi, otworzyła torebkę, wytrząsnęła na dłoń dwa proszki i połknęła je.

– Proszę, daj mi whisky, Hedley – powiedziała.

Podał jej srebrzystą butelkę.

– Co się dzieje? Nic pani nie jest?

– To tylko lekarstwo, które przepisał mi lekarz. – Wyciągnęła się i zamknęła oczy. – Nic takiego. Zawieź mnie na South Audley Street.

Jednak Hedley nie uwierzył jej ani trochę i miał bardzo zaniepokojoną minę.

Kiedy wrócili na South Audley Street, zasiadła w gabinecie i ponownie przejrzała akta, uważnie studiując każdy dokument i zdjęcie.

Klub Synów Erin miał bardzo interesujący skład. Należał do niego senator Michael Cohan, lat pięćdziesiąt, z bogatej rodziny właścicieli supermarketów i centrów handlowych. Martin Brady, lat pięćdziesiąt dwa, ważna figura w związku zawodowym transportowców. Czterdziestoosmioletni Patrick Kelly, milioner, przedsiębiorca budowlany, wreszcie Thomas Cassidy, lat czterdzieści pięć, który zbił majątek na sieci irlandzkich pubów. Wszyscy byli Amerykanami irlandzkiego pochodzenia. Zdumiewające, że do Synów Erin należał też dobrze znany londyński gangster, niejaki Tim Pat Ryan.

Przekazała akta siedzącemu w kuchni Hedleyowi, wzięła dzbanek z herbatą, wróciła do gabinetu i włączyła komputer – nowy nabytek, którym posługiwała się zadziwiająco sprawnie, dzięki pomocy uzyskanej z zupełnie nieoczekiwanej strony.

Poprosiła o radę londyńskie biuro swej korporacji, a ich dział informatyczny stanął na baczność i doskonale ją obsłużył. Szybko opanowała podstawy, ale wkrótce chciała wiedzieć więcej i ponownie skontaktowała się z biurem. W rezultacie na South Audley Street pojawił się dziwny młody człowiek na elektrycznym wózku inwalidzkim. Zobaczyła go przez okno salonu, ale zanim zeszła do holu,

Hedley już zdążył otworzyć mu drzwi.

Młody człowiek na chodniku miał włosy do ramion, jasnoniebieskie oczy i zapadnięte policzki. Miał również liczne blizny na twarzy, takie jakie zostają po oparzeniach.

– Lady Helen? – zapytał wesoło, gdy stanęła w drzwiach. – Nazywam się Roper. Powiedziano mi, że chciałaby pani, aby pani komputer wstał i zrobił kilka sztuczek. – Uśmiechnął się krzywo do Hedleya. – Obróć mnie, świetnie, a teraz wciągnij na te dwa stopnie. To jedna z tych rzeczy, których ten wehikuł nie potrafi.

Hedley obrócił wózek, a Helen powiedziała:

– Do gabinetu.

Kiedy tam dotarli, młodzieniec spojrzął na komputer i skinął głową.

– Ach, PK800. Wspaniale. – Zerknął na Hedleya. – Nie mogę jeść lunchu, ale przydałby mi się dzbanek herbaty do popicia tabletek, starszy sierżancie.

Na twarzy Hedleya powoli pojawił się uśmiech.

– Jak mam pana tytułować?

– No cóż, w wojskach inżynieryjnych dosłużyłem się stopnia kapitana. W saperach.

Podniósł ręce. Na dłoniach zobaczyli kolejne blizny. Hedley pokiwał głową i wyszedł.

– IRA? – zapytała Helen.

Roper przytaknął.

– Zręcznie radziłem sobie ze wszystkimi tymi bombami w Belfaście, a potem zaskoczyła mnie jedna, umieszczona w samochodzie. – Potrząsnął głową. – Co za nieostrożność. No cóż, skoro nie mogłem już zostać ojcem, musiałem zmienić plany. – Podjechał wózkiem do komputera. – Uwielbiam te rzeczy. Potrafią zrobić wszystko, jeśli tylko się wie, o co je poprosić. – Odwrócił się i spojrzął na nią. – Czy właśnie tego pani chce, lady Helen? Żeby robił wszystko?

– Och, chyba tak.

– Dobrze. No cóż, proszę mi dać papierosa i zobaczymy, co pani wie, a potem, czego mogę panią nauczyć.

Co też uczynił. Pokazał jej wszystkie paskudne sztuczki, jakie znał. Kiedy skończył, potrafiła włamać się do sieci Ministerstwa Obrony. I była bardzo zdolną uczennicą, aż do tego ranka, kiedy odebrała telefon (to już trzeci – pomyślała, nieszczęścia zawsze chodzą trójkami) i przekazano jej, że Roper leży w szpitalu z powodu niewydolności nerek. Zdołali go odratować, ale potem pojechał na leczenie do kliniki w Szwajcarii i już nigdy go nie zobaczyła.

Teraz, wystukując znane sobie polecenia, zaczęła przeglądać pliki, sprawdzać kolejne nazwiska. Niektóre dane były łatwo osiągalne. Inne, na przykład Fergusona, Dillona, Hannah Bernstein czy Blake'a Johnsona – nie. Natomiast kiedy sprawdziła listę najbardziej poszukiwanych przez Scotland Yard przestępców, znalazła na niej Jacka Barry'ego i jego opatrzone numerem zdjęcie.

– Już raz cię dopadli, draniu – mruknęła. – Może uda nam się to jeszcze raz.

Hedley przyszedł z kuchni i położył teczkę na jej biurku.

– Nowi barbarzyńcy.

– Wcale nie – odparła. – To stara historia, tylko że kiedyś potrafiliśmy sobie z nimi radzić.

– Mogę coś dla pani zrobić?

– Nie. Idź spać, Hedley Nic mi nie będzie.

Odszedł niechętnie. Nalała sobie następną porcję whisky. Alkohol trzymał ją na nogach. Szukając notatnika, otworzyła dolną szufladę biurka i znalazła colta 25. Peter przywiózł go z Bośni, razem z tłumikiem i pudełkiem zawierającym pięćdziesiąt naboji z wydrażonymi czubkami. Był to wysoce nielegalny prezent, ale Peter wiedział, że lubiła strzelać, zarówno z broni krótkiej, jak długiej. Często ćwiczyła na zaimprovizowanej strzelnicy w stodole Compton Place. Niemal machinalnie wyjęła broń, a potem otworzyła pudełko z nabojami, naładowała ją i przykręciła tłumik na końcu lufy. Przez chwilę trzymała colta w ręce, a potem położyła go na biurku i znów

zaczęła przeglądać pliki.

Ferguson zafascynował ją. Znała go tyle lat, a okazało się, że w ogóle go nie zna. I ta Bernstein, tak spokojnie wyglądająca w okularach w rogowych oprawkach, a tymczasem z akt wynikało, że zabiła cztery osoby, w tym kobietę, protestancką terrorystkę, która zasłużyła na śmierć.

I był jeszcze Sean Dillon. Urodzony w Ulsterze, wychowany przez ojca w Londynie. Z zawodu aktor, student Królewskiej Akademii Sztuk Teatralnych. Kiedy miał dziewiętnaście lat, jego ojciec pojechał z wizytą do Belfastu i zginął w przypadkowej strzelaninie, zabity przez brytyjskich spadochroniarzy. Dillon wrócił do domu i przyłączył się do IRA.

– Jak zrobiliby każdy dziewiętnastolatek – powiedziała cicho. – Zamienił teatr na ulicę.

Dillon stał się najgroźniejszym zamachowcem IRA. Zabijał wielokrotnie. Człowiek o tysiącu twarzy, jak nazywano go w raportach wywiadowczych, o oryginalnym sposobie myślenia. Trzeba przyznać, że nie miał nic wspólnego z podkładaniem bomb i mordowaniem niewinnych. Nigdy nie został aresztowany aż do dnia, gdy wylądował w serbskim więzieniu za przemyt lekarstw dla dzieci (choć prawdopodobnie chodziło również o rakiety Stinger). Ferguson uratował go od plutonu egzekucyjnego i szantażem nakłonił do współpracy.

Wróciła do Synów Erin i w końcu doszła do Tima Pata Ryana. Lista jego przestępstw była długa. Narkotyki, stręczycielstwo, wymuszanie haraczu. Podejrzewany o dostarczanie broni i materiałów wybuchowych członkom IRA działającym w Londynie, czego mu jednak nie udowodniono. Miał na nabrzeżu China Wharf w Wapping knajpę „Marynarz”. Helen wzięła z półki atlas Londynu, przekartkowała go i znalazła China Wharf.

Zapaliła papierosa i usiadła. Ryan był zwierzęciem, tak samo jak Barry i inni, winnym co najmniej współdziałania. Nie mogła zapomnieć o tym, co się stało z jej synem. Zgasiła papierosa, podeszła do kanapy i

położyła się.

Wielki psycholog Carl Jung mówił o czymś zwanym synchronicznością, twierdząc, że doniosłe skutki niektórych wydarzeń wykluczają zwykły przypadek i sugerują głębszy sens, a może nawet działanie sił wyższych. Coś takiego miało właśnie miejsce w mieszkaniu Fergusona przy Cavendish Square. Brygadier usiadł przy kominku w swoim elegancko urządzonej salonie. Naprzeciw niego siedziała inspektor Hannah Bernstein, trzymając na kolanach otwartą teczkę. Dillon stał przy szafce i nalewał sobie whisky. Miał na sobie lotniczą kurtkę z czarnej skóry, a na szyi biały szalik.

– Poczęstuj się moją whisky – zaproponował Ferguson.

– Zawsze to robię – uśmiechnął się Dillon. – Nie chciałbym pana rozczarować, brygadierze.

Hannah Bernstein zamknęła akta.

– To wszystko. W obecnej chwili w Londynie nie ma aktywnie działających grup IRA.

– Niechętnie godzę się z takim wnioskiem – powiedział. – A nasi politycy chcą, oczywiście, żebyśmy bagatelizowali niebezpieczeństwo. – Westchnął. – Czasem tęsknię do dawnych czasów, zanim ten przeklęty proces pokojowy tak bardzo skomplikował sprawy. – Hannah zmarszczyła brwi, a brygadier uśmiechnął się. – Tak, moja droga, wiem, że to obraża twoje poczucie moralności. W każdym razie przyjmuję, twój raport i przekażę go premierowi. W Londynie nie ma żadnych terrorystów IRA.

Dillon nalał sobie następną porcją whisky.

– Przynajmniej o ile nam wiadomo.

– Nie zgadzasz się z tym?

– To, że ich nie widzimy, wcale nie oznacza, że ich tu nie ma. Po stronie lojalistów mamy takie organizacje paramilitarne jak UVF i LVF, które są odpowiedzialne za wiele zamachów i zabójstw.

– Morderstw – poprawiła Hannah.

– To zależy od punktu widzenia. Oni uważają się za szlachetnych bojowników o wolność, jak Gang Sterna działający w czterdziestym ósmym roku w Jerozolimie – przypomniał jej Dillon. – A po stronie republikanów jest INLA i Synowie Erin Jacka Barry’ego.

– Znow ten drań – pokiwał głową Ferguson. – Oddałbym moją emeryturę, żeby go dostać w ręce.

– I po obu stronach jest Bóg wie ile pomniejszych grup – rzekł Dillon.

– A my niewiele możemy teraz zrobić – mruknęła Hannah Bernstein. – Jak powiedział brygadier, władze każą nam siedzieć beczynnje.

Dillon podszedł do okna na taras i wyjrzał. Łało.

– No cóż, mimo wszystko, są tam dranie gotowi urządzić jatki. Na przykład Tim Pat Ryan.

– Aresztowaliśmy go wielokrotnie – przypomniała mu Hannah. – Ma najlepszych prawników w Londynie. Z trudem zdołalibyśmy go wsadzić, nawet gdybyśmy złapali go z kostką semtekusu w dłoni.

– Och, pewnie – rzekł Dillon. – Wiemy jednak, że w przeszłości zaopatrywał terrorystów w materiały wybuchowe.

– Tylko nie możemy tego udowodnić.

– Chciałbyś znow zabawić się w kata, prawda? – spytał Ferguson.

Dillon wzruszył ramionami.

– Nikt by po nim nie płakał. W Scotland Yardzie otworzyliby szampana.

– Zapomnij o tym. – Ferguson wstał. – Mam ochotę wcześniej pójść dziś spać. Idźcie już, dzieci. Mój szofer czeka na panią w daimlerze, pani inspektor. Dobrej nocy.

Kiedy otworzyli drzwi, łało jak z cebra. Dillon wziął ze stojaka w holu parasol, otworzył go i odprowadził Hannah do daimlera. Usiadła z tyłu i opuściła boczną szybę.

– Martwię się o ciebie, kiedy jest tak spokojnie. Wtedy jesteś najbardziej niebezpieczny.

– Jedź, zanim zacznę podejrzewać, że to cię naprawdę obchodzi. –

Uśmiechnął się. – Zobaczymy się rano w biurze.

Trzymając nad głową parasol, odszedł rażnym krokiem. Po pięciu minutach dotarł do małego domku przy Stable Mews. Wchodząc frontowymi drzwiami, był dziwnie niespokojny. Mieszkanie było małe i bardzo wiktoriańskie: orientalne kilimy, podłoga z politurowanych desek, kominek z zawieszonym nad nim olejnym obrazem wielkiego wiktoriańskiego artysty, Atkinsona Grimshawa. Dillon miał trochę pieniędzy, przeważnie zdobytych nielegalnie w ciągu minionych lat.

Nalał sobie znowu szklaneczkę whisky Bushmills i stał, trzymając ją w dłoni, patrząc na obraz Grimshawa i myśląc o Timie Pacie Ryaniu. Zbyt rozpierała go energia, żeby iść spać. Spojrzał na zegarek. Jedenasta trzydzieści. Wrócił do szafki, wyjął korek i wlał whisky z powrotem do karafki.

Podszedł do stojącej w alkowie półki z książkami, wysunął trzy tomy i otworzył ukrytą za nimi klapkę, po czym wyjął ze schowka walthera PPK z przykręconym już tłumikiem. Odstawił książki na miejsce, sprawdził broń i wsunął ją za pasek spodni na plecach.

Wychodząc z domu, wziął parasol, gdyż nadal padał deszcz. Podniósł drzwi garażu, w którym stał stary minicooper w kolorze soczystej trawy. Idealny miejski samochód, mały, a jednak wyciągający sporo powyżej setki. Dillon wsiadł, podjechał na koniec uliczki i zatrzymał się, żeby zapalić papierosa.

– No dobrze, draniu, zobaczymy, jak ci leci – mruknął i odjechał.

W tej samej chwili drzemiąca na kanapie Helen Lang obudziła się, mając przed oczami twarz Tima Pata Ryana – ostatnie zdjęcie w teczce, jakie oglądała. Usiadła z twarzą mokrą od potu, bo we śnie ranił ją, szyderczo się przy tym śmiejąc. Wstała, podeszła do biurka i popatrzyła na otwarte akta, z których spojrzał na nią Tim Pat Ryan.

Podniosła colta i zważyła go w rękę. Ostatnie wydarzenia miały w sobie jakąś nieuchronność. Wyszła do holu, włożyła prochowiec i kapelusz przeciwdeszczowy, otworzyła wiszącą na wieszaku torebkę,

wyjęła z niej trochę pieniędzy, a potem włożyła do kieszeni colta, wzięła parasolkę i opuściła dom.

Parasol osłaniał ją przed deszczem, gdy pospiesznie szła South Audley Street, zamierzając dotrzeć do pobliskiego hotelu „Dorchester”. Tam zawsze stały taksówki, ale przypadkiem jedna z nich właśnie pojawiła się na końcu ulicy. Helen zatrzymała ją i podbiegła.

– Wapping High Street – powiedziała, wsiadając. – Może pan wysadzić mnie przy hotelu „George”.

Usiadła wygodnie, spięta i podekscytowana.

Hedley odszedł, ale wcale nie miał zamiaru kłaść się spać. Siedział na fotelu w ciemnościach swego mieszkania na parterze, z jakiegoś powodu bojąc się o nią. Usłyszał jej kroki w holu. Wstał i nasłuchiwał u stóp schodów. Gdy frontowe drzwi otworzyły się i zamknęły, chwycił kurtkę, wbiegł na górę i lekko je uchylił. Zobaczył, jak pospiesznie szła chodnikiem, osłaniając się parasolką, jak machnęła ręką na taksówkę. Mercedes stał zaparkowany przy krawężniku, więc w mgnieniu oka Hedley znalazł się w środku i włączył silnik. Kiedy taksówka minęła dom, pojechał za nią.

Dillon dotarł do Tower of London, St. Katherine’s Way, i wjechał w Wapping High Street. Minął hotel „George”, skręcił w labirynt bocznych uliczek i w końcu zaparkował w ślepych zaułku. Wysiadł, zamknął drzwi i szedł raźnie między wysokimi, zaniedbanymi magazynami, aż w końcu doszedł na China Wharf. Teraz cumowało tu niewiele statków, przeważnie rzeczne barki. Od dawna nieużywane dźwigi wznosiły się ku niebu.

„Marynarz” znajdował się na końcu starej przystani. Dillon spojrzał na zegarek. Północ. Dawno po godzinie zamknięcia. Kiedy przystanął w cieniu, kuchenne drzwi z boku otworzyły się, wypuszczając smugę światła. Tim Pat Ryan i jakaś kobieta.

– Do zobaczenia jutro, Rosie.

Pocałował ją w policzek, a ona szybko odeszła, mijając bezpiecznie skrytego w cieniu Dillona. Przesunął się do najbliższego okna i zajrzał do środka. Ryan siedział nad kuflem piwa przy barze, czytając gazetę,

zupełnie sam. Dillon otworzył kuchenne drzwi i wszedł.

Pub miał bardzo staromodny wystrój – mahoniowy bar i złoczone cherubinki po obu stronach zawieszzonego nad nim lustra – bo „Marynarz” pamiętał wiktoriańskie czasy, gdy każdego dnia tuziny żaglowców przyływały Tamizą, aby zacumować na przystani i wyładować towary. Na szklanych półkach stały rzędy butelek, a rączki dystrybutorów piwa miały rękojeści z kości słoniowej. Ryan był dumny ze swojego lokalu i utrzymywał w nim wzorowy porządek. Szczególnie lubił takie chwile jak ta, kiedy mógł samotnie i w spokoju poczytać sobie „The Standard”. Cicho zaskrzypiały zawiasy drzwi i przeciąg poruszył gazetą. Ryan odwrócił się i zobaczył wchodzącego Dillona.

– Cześć pracy – powiedział wesoło Dillon. – Jest jeszcze nadzieja dla tego świata. Umiesz czytać.

– Czego chcesz, Dillon? – zapytał z kamiennym wyrazem twarzy Ryan.

– Powinieneś odpowiedzieć „Niech żyje bezrobocie” skarcił go Dillon. – Jesteś Irlandczykiem, a nie wiesz.

– Nie masz tu nic do roboty. Jestem czysty.

– Nigdy w życiu nie byłeś czysty.

Ryan wstał i rozchylił marynarkę.

– Sprawdź. Nie noszę broni.

– Wiem. Jesteś na to za sprytny.

– Nie masz prawa mnie nachodzić. Nawet nie jesteś ze Scotland Yardu.

– Racja, ale jestem czymś więcej. Twoim najgorszym koszmarem.

– Wynoś się.

– Zanim mnie wyrzucisz? Chyba nie. – Dillon podniósł deskę, wszedł za bar, wziął butelkę Bushmills i szklanę, którą sobie napełnił. – Nie piłbym z takim gnojem jak ty, ale sam wychylę jednego. Jest zimno.

– Mógłbym wezwać policję – powiedział Ryan bez cienia emocji.

– I po co? Ja też nie noszę broni – skłamał Dillon. – Widzisz, stary, nadeszły nowe czasy. Sekretarz do spraw Irlandii Północnej, Sinn Fein i lojaliści wspólnymi siłami próbują w Belfaście rozpocząć proces

pokoju. Komu teraz jest potrzebna broń? Mój szef nie byłby zadowolony.

– Czego chcesz? – zapytał Ryan. – O co chodzi? Czepiacie się mnie od lat.

– Wybrałem się na obchód – odparł Dillon. – Chciałem ci tylko przypomnieć, że nie zapomniałem o tobie. Ten semteks, którego dostarczyłeś komórkom w Birmingham i Londynie... do ilu zamachów go użyto? Trzech? W centrum handlowym w Birmingham zginęły cztery gospodynie domowe. Wiemy, że to twoja robota, tylko nie możemy tego udowodnić. Na razie.

– Możesz sobie gadać. A ilu ty zabiłeś dla sprawy? Przez prawie dwadzieścia lat, dopóki nie zostałeś zdrajcą.

– Tylko że ja nigdy nie sprzedawałem narkotyków i nie stręczyłem młodych dziewcząt – rzekł Dillon. – Na tym polega różnica. – Przełknął resztę whisky i odstawił szklanę. – Na zewnątrz jest zimno i ciemno, a ja zawsze będę tam w mroku. Parafrazując stare powiedzenie 1RA, mój dzień nadejdzie.

Odwrócił się i ruszył do kuchennych drzwi, gdy Ryan eksplodował.

– Pieprzę cię, Dillon, pieprzę cię! Jestem Tim Pat Ryan! Jestem kimś. Nie możesz mnie tak traktować!

Jednak kuchenne drzwi już się zamykały.

Rozwścieczony Ryan z trzaskiem podniósł deskę, otworzył staroświecką kasę, sięgnął na sam koniec szuflady i wyjął naładowany rewolwer smith&wesson 38. Zawsze go tam trzymał. Odwrócił się i ruszył w kierunku kuchni.

Lady Helen Lang zapłaciła taksówkarzowi przed hotelem „George” na Wapping Street. Pamiętając z planu układ ulic, przeszła na drugą stronę i skręciła w boczny zaułek. Hedley, uwięziony między dwoma samochodami na czerwonym świetle, widział to. Zaklął cicho, przejechał, gdy zabłysło zielone światło, i wjechał w uliczkę. Jednak nigdzie nie dostrzegł śladu Helen, nawet kiedy włączył długie światła.

Wokół był labirynt rozsypujących się magazynów i krzyżujących się wąskich uliczek. Do diabła, co ona robiła w takim miejscu? Coraz bardziej zaniepokojony zaczął powoli krążyć po zaułkach.

Lady Helen, osłaniając się parasolem przed ulewnym deszczem, bez trudu znalazła China Wharf. W oknie pubu paliło się światło, a nad drewnianym szyldem z napisem „Marynarz” była przykręcona staroświecka latarnia gazowa, rzucająca słabe światło na nabrzeże i czarną toń rzeki. Helen zawahała się, nie wiedząc, co robić. Przed wejściem do pubu stał zaparkowany duży range rover, zapewne Ryana.

Stała tak, trzymając nad głową parasolkę, gdy otworzyły się kuchenne drzwi i wyszedł Dillon. Natychmiast go rozpoznała i zaskoczona cofnęła się w cień. Patrzyła, jak podszedł do brzegu rzeki i zapalił papierosa, gdy nagle kuchenne drzwi znów się otworzyły i wypadł z nich Tim Pat Ryan, którego też poznała.

– Dillon, ty skurwielu! – wrzasnął i w słabym świetle dojrzała w jego dłoni broń. – Mam coś dla ciebie.

Dillon roześmiał się.

– Nie trafiłbyś we wrota od stodoły. Nigdy nie umiałeś strzelać. Ktoś zawsze musiał to zrobić za ciebie.

Błyskawicznie wyrwał zza paska walthera i wycelował w tej samej chwili, gdy Ryan strzelił. Stając w klasycznej pozycji strzeleckiej, Dillon trafił nogą w kałużę rozlanego oleju, poślizgnął się, upadł i wypuścił pistolet. Ryan zaśmiał się triumfalnie.

– Teraz cię mam! – krzyknął i strzelił drugi raz.

Dillon przeturlał się po ziemi, za krawędź nabrzeża. Spadł w czarną, lodowato zimną wodę, a kiedy się wynurzył, zobaczył nad sobą Ryana.

– Tu jesteś.

Gangster wycelował, a wtedy Dillon usłyszał kobiecy głos:

– Panie Ryan.

Ryan odwrócił się. Dillon usłyszał stłumione kasznięcie, w którym rozpoznał odgłos strzału z pistoletu zaopatrzonego w tłumik. Ryan

zleciał z nabrzeża i runął w wodę obok Dillona, a potem wynurzył się z dziurą w czole. Dillon odepchnął go i chwycił się klamry w murze. Usłyszał kroki, ale nikt się nie pojawił. Głos przemówił ponownie, z irlandzkim akcentem.

– Nic się panu nie stało, panie Dillon?

– Jak zwykle, szanowna pani, a kim właściwie pani jest?

– Twoim aniołem stróżem. Uważaj na siebie, przyjacielu.

Słyszał odgłos jej kroków, gdy podpływał do drewnianej drabinki i wspinał się na górę. Kiedy wystawił głowę nad krawędź nabrzeża, zdążył jeszcze dojrzeć, jak znikła w cieniu: niewyraźny zarys sylwetki pod parasolką.

Dillon wgramolił się na nabrzeże i stał, ociekając wodą. Jego walther leżał tam, gdzie go upuścił, a rewolwer Ryana w pobliżu. Wepchnął walthera za pasek spodni, podniósł rewolwer, podszedł na brzeg, spojrzał na pływające w wodzie zwłoki gangstera i cisnął broń do rzeki.

– Udław się nią, ty draniu – mruknął i pospieszył do minicoopera.

W schowku na rękawiczki miał telefon komórkowy. Wyjął go i zadzwonił na Cavendish Square. Zgłosił się zirytowany Ferguson.

– Kto mówi?

– Ja.

– Dobry Boże, czy wiesz która godzina? Jestem w łóżku. Czy to nie może zaczekać do rana?

– Niestety. Właśnie odszedł nasz stary znajomy.

Ferguson natychmiast otrzeźwiał.

– Na zawsze?

– Jak najbardziej.

– No to lepiej tu przyjdź.

– Muszę najpierw wpaść do domu.

– Po co, do licha?

– Ponieważ pływałem w Tamizie. Dlatego.

Dillon rozłączył się i odjechał.

Ferguson zastanawiał się chwilę, a potem zadzwonił do Hannah Bernstein. Odebrała natychmiast.

– Jesteś w łóżku?

– Nie, czytam. To jedna z tych nocy. Nie mogłam zasnąć.

– Zadzwonź po dyżurny wóz i przyjeźdź tu. Wygląda na to, że nasz Sean narobił sobie kłopotów.

– Och! Poważnych?

– Śmiertelnie, a przynajmniej tak mi się zdaje. Zobaczmy się niebawem.

Odłożył słuchawkę, wstał, włożył szlafrok, a potem obudził swojego służącego, Ghurkę imieniem Kim, i polecił mu przygotować herbatę.

Hedley już prawie zrezygnował, gdy zobaczył ją idącą chodnikiem. Kiedy jechał w jej kierunku, zza rogu wyszli trzej młodzieńcy w wiatrówkach i dzinsach – młodzi chuligani, jakich można znaleźć wszędzie, od Nowego Jorku po Londyn. Hedley usłyszał ochryply śmiech, z jakim ją opadli. Jeden zerwał jej torebkę z ramienia. Hedleya ogarnął gniew. Zahamował i wyskoczył z samochodu.

– Oddaj to.

Jeden z napastników pchnął Helen na ścianę i wszyscy trzej odwrócili się. Ten z torebką rzekł:

– Hej, czarnuchu, wynoś się stąd. To nie twoja sprawa. Ruszyli na niego i nagle wszystko wróciło: Wietnam, Delta, wszystkie brudne sztuczki, jakich kiedykolwiek się nauczył. Złapał za przegub tego, który trzymał torebkę, wykręcił mu rękę i złamał ją jednym gwałtownym uderzeniem. Prawym łokciem wyrznął w twarz stojącego za nim mężczyznę, łamiąc mu nos, a kantem lewej stopy uderzył w nogę trzeciego, wybijając mu rzepkę.

Leżeli na chodniku, krzycząc z bólu. Podniósł torebkę i podał jej rękę.

– Możemy już jechać?

– Mój Boże, Hedley, nie bierzesz jeńców.

– Nie widziałem sensu.

– Co ty tu robisz?

– Usłyszałem, jak pani wychodzi, i wziąłem mercedesa. Potem panią zgubiłem, kiedy wysiadła pani z taksówki.

Przytrzymał jej drzwi, gdy wsiadała, a potem usiadł za kierownicą. Lekko zdyszana otworzyła torebkę, wyjęła fiolkę i wytrząsnęła na dłoń dwa proszki.

– Butelkę, Hedley.

– Lady Helen, nie powinna pani...

– Butelkę – powiedziała stanowczo, a on niechętnie podał jej piersiówkę. Popiła tabletki i poczuła przyjemne ciepło rozchodzące się w żołądku. – Teraz wrócimy na South Audley Street i spakujemy się. Rano pojedziemy do Compton Place.

Kiedy ruszali, zapytał niespokojnie:

– Dobrze się pani czuje?

– Nigdy nie czułam się lepiej. Widzisz, właśnie zastrzeliłam Tima Pata Ryana.

Wozem lekko zarzuciło, ale Hedley zaraz odzyskał nad nim kontrolę.

– Żartuje pani.

– Wcale nie. Pozwól, że opowiem ci o tym.

Kim otworzył drzwi i wpuścił Dillona, a kiedy Irlandczyk wszedł do salonu, zastał tam Hannah Bernstein, ubraną w garsonkę w paski i siedzącą naprzeciw Fergusonowi, który był w szlafroku narzuconym na piżamę.

– Boże błogosław wszystkim tu obecnym – rzucił Dillon.

– Przestań parodiować Irlandczyka, Dillon. Powiedz nam najgorsze – rzekł ze znużeniem Ferguson.

Dillon opowiedział wszystko w kilku zwięzłych zdaniach, a potem podszedł i poczęstował się whisky.

– Rany boskie, co ja mam z tobą zrobić? – warknął Ferguson. – Znasz

obecną sytuację polityczną. Mamy nic nie robić i unikać kłopotów, a tymczasem ty z perwersyjnym upodobaniem sam ich szukasz.

– Chciałem tylko trochę przycisnąć tego drania.

Hannah Bernstein niespodziewanie stanęła po jego stronie.

– To żadna strata, Ryan był parszywym draniem.

– Owszem, przyznaję to z pewną satysfakcją – rzekł Ferguson. – Tylko co z tym zrobi nasza pani geniusz z wydziału specjalnego?

– Nic nie robi, proszę pana. Wkrótce ktoś znajdzie Ryana pływającego przy nabrzeżu. Zajmie się tym wydział zabójstw Scotland Yardu. Spójrzmy prawdzie w oczy: taki śmieć jak Ryan miał więcej wrogów, niż można by zliczyć. To nie nasz problem.

– Zgadzam się – rzekł Ferguson.

Dillon potrząsnął głową.

– Jezu, ale z ciebie twarda baba. Co się stało z tą miłą żydowską dziewczyną, w której się zakochałem?

– To skutki przebywania w twoim towarzystwie. – Zwróciła się do Fergusona: – Nasz problem polega na czymś innym. Ta kobieta z irlandzkim akcentem oddała nam przysługę, ale chciałabym wiedzieć, co to za jedna. Za pańskim pozwoleniem przejrzę wszystkie raporty wywiadowcze w bazie danych Ministerstwa Obrony i spróbuję coś znaleźć.

– Bardzo proszę, pani inspektor. Może znajdziemy jakieś powiązanie z lojalistami.

– Nie sądzę – rzekł Dillon. – Większość lojalistów mówi z ulsterskim akcentem, tak jak ja. Jej był inny.

– Nieważne. – Ferguson wstał. – Może pani skorzystać z jednej z wolnych sypialni, pani inspektor. Nie chcę znów wyrzucać pani na deszcz o tej porze.

– Dziękuję.

– Ty, oczywiście, możesz iść do domu, Dillon. Wy, Irlandczycy, jesteście przyzwyczajeni do deszczu, prawda?

– Bóg zapłać, zacne z was panisko. Zdejmę buty za drzwiami, zawieszę je sobie na szyi i pójdę boso do Stable Mews, coby oszczędzić

zelówki.

Ferguson zaśmiał się.

– Idź już, łobuzie.

Dillon wyszedł.

W gabinecie przy South Audley Street lady Helen siedziała przy biurku i czytała akta, gdy Hedley przyniósł jej tacę z herbatą. Postawił tacę na biurku i nalał herbaty do filiżanki.

Dodała do niej mleka, jak większość Anglików, po czym upiła łyk.

– Cudowna. – Pochyliła się nad teczką. – Dziwne. Tim Pat Ryan był ostatni na liście, ale odszedł pierwszy.

– Lady Helen, musi pani z tym skończyć.

– O nie, nie mam zamiaru. Co mi po tych wszystkich pieniądzach, które mam? Ci dranie, co do jednego, ponoszą odpowiedzialność za zamordowanie mojego syna. W rezultacie mój mąż umarł przedwcześnie i niepotrzebnie, a powiem ci jeszcze coś, stary przyjacielu. Nie zostało mi wiele czasu. Te tabletki, które zażywam... Moje serce jest w kiepskim stanie.

Wstrząśnięty usiadł na fotelu.

– Nie wiedziałem.

– Teraz już wiesz, więc wybieraj, czy jesteś ze mną, czy przeciwko mnie? Mógłbyś zadzwonić do doktora Ingrama i powiedzieć mu, że zwariowałam. Albo do Scotland Yardu i aresztowano by mnie za morderstwo. Wybór należy do ciebie, prawda?

Wstał.

– Pani była dla mnie dobra, lepsza niż ktokolwiek w moim życiu. – Westchnął. – Nie podoba mi się to, ale jedno jest pewne. Potrzebuje pani kogoś, na kim można polegać, a ja będę przy pani tak samo, jak pani kiedyś była przy mnie.

– Niech cię Bóg błogosławi, Hedley. Prześpij się trochę, a rano pojedziemy do Compton.

Wyszedł, a ona siedziała za biurkiem, zastanawiając się, co teraz

robi Dillon. Potem położyła się na kanapie i otuliła kocem.

LONDYN

WASZYNGTON

ULSTER

LONDYN

3

Wszystkie wysiłki Hannah Bernstein, która w Ministerstwie Obrony starała się wycisnąć coś z komputera, okazały się bezskuteczne. Hannah próbowała nawet znaleźć coś w Dublinie i w głównej kwaterze armii brytyjskiej w Lisburn, w Irlandii Północnej, ale na próżno. Tak więc sprawa miała powędrować na półkę. Śmierć Ryana była siedmiodniową sensacją: w gazetach pisano o porachunkach między gangami z East Endu i innych części Londynu. W Scotland Yardzie nikt po nim nie płakał, informatorzy z półświatka nic nie wiedzieli i sprawę odłożono na półkę. Pozostała otwarta, rzecz jasna, ale nikt się nią nie zajmował.

W Compton Place Helen jadła solidne posiłki, odbywała długie spacery i dużo przebywała na świeżym powietrzu. Ćwiczyła też strzelanie z pistoletu w starej stodole, przy czym Hedley niechętnie udzielił jej kilku dobrych rad. Nie miała pojęcia, jakim dobrym jest strzelcem, dopóki pewnego popołudnia nie wziął do ręki browninga – jednego z wielu pistoletów, jakie jej mąż zgromadził przez lata – i załadował. W głębi stodoły stało siedem kartonowych tarcz z namalowanymi sylwetkami chińskich żołnierzy, będących jedną z pamiątek przywiezionych z wojny w Korei przez pułkownika.

– Niech pani patrzy.

Stał prawie dziesięć metrów od tarcz. Błyskawicznie poderwał broń i opróżnił magazynek, trafiając każdą sylwetkę w głowę. Była zdumiona

i dała temu wyraz, gdy przebrzmiało echo strzałów.

– Niewiarygodne.

– Jestem byłym żołnierzem. Pani jest niezła, ale broń krótka jest zawodna, jeśli nie podejdzie się blisko.

– Jak blisko?

Wsunął nowy magazynek w kolbę browninga i wręczył jej pistolet.

– Proszę ze mną – podprowadził ją do środkowej tarczy. – A teraz proszę przyłożyć lufę do tarczy i nacisnąć spust.

Zrobiła, jak kazał.

– Właśnie tak blisko.

– Ryana trafiłam z czterech metrów.

– Jasne, ale mogła pani chybić i wtedy on mógł być górą.

– Rozumiem, ale mimo to wolałabym wrócić do stołu i strzelać stamtąd.

– Bardzo proszę.

Zadzwoił telefon komórkowy leżący na stole.

Hedley otworzył aparat i podał go lady Helen, która powiedziała:

– Helen Lang. – Po chwili skinęła głową. – Dziękuję. Przykro mi. – Zamknęła aparat i spojrzała na Hedleya. – Przed chwilą zmarł Tony Emsworth.

– Jaka szkoda. Kiedy pogrzeb?

– W środę.

– Pojedziemy?

– Oczywiście. – Była spokojna, lecz w jej oczach widniał ból. – Mam dość, Hedley. Wróć do domu – powiedziała i odeszła.

Pogrzeb odbył się w piękny słoneczny ranek. Stukeley leżało niecałą godzinę jazdy od Londynu, kościół był pełny, a Helen Lang, siedząc w bocznej nawie, niemal z rozbawieniem zobaczyła Fergusona w towarzystwie Hannah Bernstein i Dillona. Wychodząc, zatrzymała się, żeby uścisnąć dłoń siostrzeńca Emswortha i jego żony, którzy zorganizowali pogrzeb.

– Jak to miło z pani strony, lady Helen, że pani przyszła – powiedzieli chórem. – Zapraszamy na stypę w hotelu „Country” na końcu wioski. Proszę koniecznie przyjść.

Tak też zrobiła. Hol hotelowy był zatłoczony. Przyjęła kieliszek zwietrzałego szampana, a potem Charles Ferguson dostrzegł ją i precyzyjnie się do niej przez tłum.

– Droga Helen – rzekł i ucałował ją w oba policzki. – Mój Boże, nadal wyglądasz najwyżej na pięćdziesiąt lat, i to kiedy masz zły dzień. Jak ty to robisz?

– Zawsze byłeś pochlebcą, Charles, zręcznym, ale niepoprawnym. Uważaj na niego, moja droga – zwróciła się do towarzyszącej mu Hannah. – Pamiętam, że kiedyś miał romans z żoną urugwajskiego ambasadora, który wyzwiał go na pojedynek.

– No, Helen, to nieładnie. Ta cudowna istota to moja asystentka, starszy inspektor Hannah Bernstein, a ten irlandzki zbój to niejaki Sean Dillon, który bardzo dobrze znał Tony’ego. Lady Helen Lang.

Dillon nosił dopasowany granatowy garnitur od Armaniego. Wymienili uścisk dłoni, a Helen Lang natychmiast poczuła do niego sympatię. W tym momencie ktoś zawołał Fergusona, który przeprosił i odszedł. Dillon i Hannah poszli za nim.

Brygadier przywitał się ze znajomym, który go wołał, a Dillon trącił go w ramię.

– Kim jest ta lady Lang?

– Och, walczyłem razem z jej mężem w Korei. Jej syn, major Peter Lang, był w Gwardii Szkockiej i SAS. Jeden z naszych najlepszych agentów wieszgdzie. Potem IRA dobrała się do niego i wyleciał w powietrze. Bomba w samochodzie.

Hannah Bernstein rozmawiała z kimś, a Fergusona znów ktoś zawołał. Helen Lang nagle poczuła, że ma wszystkiego dość i z trudem łapiąc oddech, wyszła na taras, na lutowe słońce. Dillon zauważył to. Ta kobieta miała coś w sobie, coś, czego nie potrafił nazwać... Podążył za nią.

Kiedy wszedł na taras, właśnie połykała dwie tabletki.

- Mogę przynieść pani kieliszek szampana?
- Szczerze mówiąc, wolałabym szklaneczkę whisky.
- Ja również. Może być irlandzka?
- Czemu nie.

Po chwili wrócił z dwiema szklaneczkami. Opróżniła swoją, wyjęła srebrną papierośnicę i podsunęła mu.

- Oddaje się pan temu zgubnemu nałogowi?
- Jezu, pani jest cudowna.

Zapalił swoją starą zippo i podał jej ogień.

– Czy mogę coś powiedzieć, panie Dillon? – spytała. – Nosi pan gwardyjski krawat.

- No cóż, chciałem zrobić przyjemność Fergusonowi.

Skorzystała z okazji.

– Muszę przyznać, że słyszałam o panu, panie Dillon. Mój stary przyjaciel, Tony Emsworth, opowiedział mi o wszystkim, z pewnych szczególnych powodów.

– Ach tak, pani syn, lady Helen – skinął głową Dillon. – Dziwię się, że pani chce ze mną rozmawiać.

– Uważam, że wojna powinna toczyć się według pewnych reguł, a z tego, co mi mówił Tony, wynika, że okazał się pan człowiekiem honoru, chociaż bezlitosnym i, jeśli wolno mi tak powiedzieć, zagubionym.

– Od tego czasu trochę się poprawiłem – odrzekł, kłaniając się z udawaną pokorą.

– Ty łobuzie – powiedziała. – Teraz możesz przynieść mi szampana, tylko upewnij się, że otworzą nową butelkę.

- Jestem na pani rozkazy.

Przy barze natknął się na Fergusona.

- Dla lady Helen – wyjaśnił. – Co za kobieta.

- Mało powiedziane.

Barman nalał szampana do dwóch kieliszków.

– Ona ma coś w sobie, coś szczególnego. Nie potrafię jej rozszyfrować.

– Nawet nie próbuj, Dillon – ostrzegł go Ferguson. – Jest dla ciebie o wiele za dobra.

Tydzień później odlecieli jednym ze służbowych gulfstreamów jej firmy z Gatwick do Nowego Jorku. Zatrzymali się w hotelu „Plaza”. Teraz już znała na pamięć całą zawartość teczek, wszystkie fakty dotyczące opisanych w niej osób, a ponadto sprawdziła wszystkie dostępne bazy danych. Miała przy sobie colta 25. Od lat latała gulfstreamami i ani razu jej nie kontrolowano.

Wiedziała już wszystko. Na przykład Martin Brady, urzędnik związku zawodowego transportowców, trzy razy w tygodniu bywał w związkowej sali gimnastycznej w pobliżu nowojorskich doków i zwykle wychodził z niej około dziesiątej wieczorem. Hedley wysadził ją przecnicę wcześniej, a dalej poszła pieszo. Brady jeździł rzucającym się w oczy czerwonym mercedesem. Zaczekała w zaułku opodal miejsca, gdzie zaparkował samochód, a potem wyszła i strzeliła mu w kark, gdy pochylił się, żeby otworzyć.

Ten pomysł podsunął jej Hedley. Słyszał, że mafia używa do egzekucji małokalibrowych pistoletów, zazwyczaj kalibru 22, ale dwudziestka piątka też mogła być. W ten sposób policja uzna, że chodziło o konflikt między mafią a związkiem zawodowym.

Thomas Cassidy, który zbił fortunę na irlandzkich pubach, był łatwym celem. Niedawno otworzył nowy lokal w Bronksie i parkował wóz w zaułku na tyłach. Sprawdziła to przez dwa kolejne wieczory, a potem dostała go o pierwszej w nocy, również w chwili, gdy otwierał samochód. „New York Times” podawał, że w tej okolicy wymuszano haracze, a Cassidy skarżył się na to policji. Obie informacje Helen znalazła w internecie.

Patrick Kelly, właściciel firmy budowlanej, kosztował ją jeszcze mniej zachodu. Mieszkał w Ossining, w wiejskiej okolicy. Miał zwyczaj wstawać o szóstej rano i przebiegać kilka kilometrów. Ustaliła jego zwykłą trasę, a potem zaczęła na niego, kiedy biegł w deszczu,

z głową nakrytą kapturem bluzy. Stała pod drzewem i kiedy się zbliżył, strzeliła mu dwa razy w serce, a potem – znów zgodnie z sugestią Hedleya – zdjęła mu z ręki złotego rolexa i łańcuszek z szyi. Zwykły napad rabunkowy, nic więcej.

Wszystko szło gładko. Nie musiała zbyt często łykać proszków, a Hedley, pomimo dręczących go wątpliwości, okazał się prawdziwą opoką. Czy naprawdę jestem zła? – zadawała sobie pytanie. Potem przechodziło jej przez myśl, że zgodnie z tym, co czytała, Jehowa osobiście nie brał udziału w licznych rzeziach. Miał od tego anioły, na przykład anioła śmierci.

Czy to ja? – pytała sama siebie. Jednak, szukając sprawiedliwości, nie mogła roztkliwiać się nad sobą. Tak więc nadał robiła swoje, aż do tej deszczowej nocy na Manhattanie, kiedy czekała, aż senator Michael Cohan wróci z hotelu „Pierre”, ale przeszkodziły jej napastujące dziewczynę męty.

W tym samym czasie, gdy Helen Lang wracała do hotelu „Płaza”, pocieszając się myślą, że dostanie Cohana w Londynie, zaszły wydarzenia, które miały wywrzeć ogromny wpływ nie tylko na jej życie, ale także na życie wielu znanych jej osób.

Kilka godzin po tym, jak lady Helen poszła spać, Hannah Bernstein weszła do gabinetu Charlesa Fergusona w Ministerstwie Obrony. Towarzyszył jej Dillon.

– Przepraszam, że niepokoiimy, brygadierze, ale to pilna sprawa.

– Naprawdę? – uśmiechnął się. – Mówcie.

Skinęła na Dillona, który wyjaśnił:

– Mam starego kumpla, Tommy’ego McGuire’a. To Amerykanin irlandzkiego pochodzenia. Od lat handluje bronią. Zeszłej nocy zatrzymano go w Kilburn z powodu zepsutego światła hamowania, a bystra młoda praktykantka uparła się, żeby zajrzeć do bagażnika jego samochodu.

– No i co za niespodzianka – dodała Hannah Bernstein. – Dwadzieścia pięć kilo semteksu i dwa kałasznikowy.

– Cudownie – rzucił Ferguson. – Z jego rejestrem przestępstw, na

pewno długim, powinien dostać dziesięć lat.

– Może nie – powiedziała Hannah. – Mówi, że chce się dogadać.

– Doprawdy.

– Twierdzi, że może nam wydać Jacka Barry’ego – dodał Dillon.

Ferguson zastygł, marszcząc brwi.

– Gdzie jest teraz McGuire?

– Wandsworth – odparła Hannah; wymieniła nazwę jednego z cięższych więzień w Londynie.

– No to jedźmy tam i posłuchajmy, co ma do powiedzenia. – Charles Ferguson wstał.

Więzienie Wandsworth należało do najcięższych w kraju. Ferguson odwiedził dyrektora i wręczył mu pisemny rozkaz, na widok którego ten zacny człowiek wyprężył się jak struna. Oprócz osób wyznaczonych przez Fergusona nikt nie miał prawa widywać się z McGuire’em, nawet funkcjonariusze brygady antyterrorystycznej Scotland Yardu, a już zdecydowanie nie ludzie z wywiadu wojskowego w Irlandii Północnej czy z Królewskiej Ulsterskiej Policji. Za jakiegokolwiek odstępstwo od tej reguły dyrektor mógł wylądować w więzieniu, oskarżony o złamanie ustawy o tajemnicy państwowej.

Ferguson, Hannah Bernstein i Dillon czekali w pokoju przesłuchań, gdy strażnik więzienny przyprowadził McGuire’a i wyszedł, odprawiony ruchem głowy przez brygadiera. McGuire wytrzeszczył oczy na widok Dillona.

– Jezu, Sean, to ty!

– Jak zawsze. – Dillon poczęstował go papierosem i powiedział do pozostałych: – Tommy i ja znamy się od dawna. Bejrut, Sycylia, Paryż.

– IRA, oczywiście – mruknął Ferguson.

– Niezupełnie. Tommy nigdy nie lubił awantur, lecz jeśli nadarzyła się okazja do zarobienia funta czy dwóch, mógł dostarczyć wszystko. Broń automatyczną, semteks, wyrzutnie rakiet. Wiele rzeczy uchodziło mu na sucho ze względu na amerykański paszport i stanowisko

przedstawiciela handlowego zagranicznych firm zbrojeniowych. Niemieckich i francuskich. – Podał McGuire’owi ogień. – Na pewno nadal pracujesz dla starego Joberta z Marsylii. Popiera go Unia Korsykańska. – Zwrócił się do Hannah z wyjaśnieniem: – To taka mafia, tylko gorsza.

– Wiem, co to za organizacja, Dillon. – Z pogardą spojrzała na McGuire’a. – Zeszłej nocy w twoim samochodzie znaleziono dwa AK47 i dwadzieścia pięć kilo semteksu. Zapewne próbki? Z kim miałeś się spotkać?

– Nie, mylicie się – powiedział jej McGuire. – Chcę powiedzieć, że nic o tym nie wiedziałem. Powiedziano mi, że kiedy wyląduję na Heathrow, będzie tam czekał na mnie samochód. Kluczyki pod wycieraczką. Wrobiono mnie.

– Wychodzimy – rzekł zimno Ferguson.

– Dobrze, dobrze – powiedział McGuire. – Mieliście rację, że ten towar w wozie to były próbki. Jobert przysłał je Timowi Patowi Ryanowi. Kiedy przyleciałem, zadzwoniłem, żeby umówić się na spotkanie, a wtedy dowiedziałem się, że on nie żyje.

– Istotnie – przytaknął Ferguson. – Była mowa o Jacku Barrym. McGuire zawahał się.

– Tim Pat Ryan był człowiekiem Barry’ego w Londynie. To Ryan załatwiał mu różne rzeczy. Mogę wam wydać Jacka Barry’ego. Przysięgam. Tylko posłuchajcie.

– Mów.

– A więc znasz Jacka Barry’ego? – spytała Hannah.

– Nie, nigdy go nie spotkałem.

– No to czemu zajmujesz nam czas?

– Ja z nim porozmawiam – rzekł Dillon i poczęstował McGuire’a następnym papierosem. – Nigdy nie spotkałeś Jacka Barry’ego? To dobrze, bo ja tak. On obciąłby ci jaja, gdybyś mu wszedł w drogę. Niech zgadnę. Jack odziedziczył Synów Erin po drogim starym Franku Barrym, który opuścił nas, niestety. Synowie Erin zabiliby nawet papieża, czemu trudno się dziwić, skoro Jack jest jednym z nielicznych

protestantów w IRA. Jednakże obraził się na Dublin i Sinn Fein za proces pokojowy. Pewnie uważa ich za bandę starych ciot.

– Tak mówią.

– Będę spekulował dalej. Jego dublińskie źródło zaopatrzenia w broń wyszło. On jednak ma trochę forsy, w końcu pochodzi z bogatej rodziny, więc zwraca się bezpośrednio do Joberta. Semteks, broń, wszelki sprzęt, a ty masz być łącznikiem. Drugim był w Londynie Ryan, lecz niestety już go nie ma.

– Zgadza się – pospiesznie potwierdził McGuire. – Za trzy dni mam się spotkać z Barrym w Belfaście.

– Naprawdę? – zapytał Ferguson. – Gdzie dokładnie?

– Mam zameldować się w hotelu „Europa” i czekać. Nawiąże ze mną kontakt, kiedy będzie gotowy.

– Gdzie nawiąże kontakt? – spytała Hannah Bernstein.

– A skąd mam wiedzieć, do diabła? Już wam mówiłem, że nigdy nie spotkałem tego faceta.

W pokoju zapadła cisza.

– Czy to prawda? – zapytał w końcu Ferguson.

– Oczywiście.

Ferguson wstał.

– Inspektorze, proszę przekazać dyrektorowi nakaz wydania więźnia. Ma być natychmiast przewieziony do azylu przy Holland Park.

Nacisnęła przycisk i wszedł strażnik więzienny.

– Proszę odprowadzić go do celi i przygotować do wyjścia.

– Umowa stoi? – upewnił się McGuire, ale strażnik już go wyprowadzał.

– Czy myślisz o tym co ja, stary łobuzie? – spytał Dillon.

– Musisz przyznać, że miałyby to wspaniałe wydźwięk – rzekł brygadier. – Gdyby McGuire nie był McGuire’em... To by nas mogło doprowadzić do Barry’ego, a ja bardzo chciałbym dostać go w ręce.

– Jest jeden problem, panie brygadierze – powiedziała Hannah Bernstein. – McGuire jest Amerykaninem, a fałszywy amerykański akcent zbyt łatwo zdemaskować. Kto by go mógł udawać? Potrzebny

nam ktoś, kto by potrafił udawać Amerykanina i poradziłby sobie w trudnej sytuacji.

– Słuszna uwaga – rzucił Ferguson. – Prawdę mówiąc, wydaje mi się, że cała ta sprawa ma amerykański wydźwięk. Chcę powiedzieć, że prezydent nie byłby zachwycony, gdyby w trakcie rozmów pokojowych w Irlandii jakiś amerykański obywatel próbował sprzedać broń jednemu z najgorszych tamtejszych terrorystów.

Dillon, jak zawsze błyskotliwy, wyprzedził go o krok.

– Sugerujesz, żebym porozmawiał z Blake’em Johnsonem?

– No cóż, właśnie od takich spraw jest Piwnica – przypomniała Hannah.

– Kto wie? – mruknął Dillon. – Może Blake zechce spędzić urlop w Irlandii. A kto byłby lepszy w roli jankesa niż rodowity Amerykanin, szczególnie taki, który z dwudziestu kroków trafi muchę?

– Czasem miewasz naprawdę dobre pomysły, Dillon – uśmiechnął się Ferguson. – A teraz opuśćmy to okropne miejsce.

Pomimo pięćdziesiątki Blake Johnson wciąż był przystojnym mężczyzną i wyglądał na młodszego. W wieku dziewiętnastu lat wstąpił do piechoty morskiej i opuścił Wietnam ze Srebrną Gwiazdą, wietnamskim Krzyżem Walecznych i dwoma Szkarłatnymi Sercami. Zrobił dyplom prawnika na uniwersytecie stanu Georgia, po czym przyjęto go do FBI. Kiedy prezydent Jake Cazalet był senatorem i stał się obiektem grózb ze strony skrajnie prawicowych ugrupowań, i gdy straciła go z oczu policyjna eskorta, Blake zdołał go odnaleźć, po czym zastrzelił dwóch zamachowców i sam został ranny.

Temu wydarzeniu zawdzięczał przyjaźń człowieka, który później został prezydentem, oraz stanowisko dyrektora Wydziału Spraw Ogólnych, czyli Piwnicy, będącej w istocie prywatnym biurem śledczym prezydenta. Podczas tej kadencji Johnson wielokrotnie udowodnił swoją wartość i przeprowadził szereg tajnych operacji. W niektórych z nich brali również udział Ferguson i Dillon.

Było upalne popołudnie, gdy Blake wszedł do Gabinetu Ovalnego, gdzie zastał prezydenta podpisującego dokumenty w towarzystwie szefa personelu, Henry'ego Thorntona. Blake lubił Thorntona, i całe szczęście, gdyż Thornton praktycznie rządził w tym gmachu. Pilnował, żeby praca w Białym Domu przebiegała sprawnie, żeby projekty prezydenckie przedkładano Kongresowi, a prestiż prezydenta nie ucierpiał. To stanowisko nie było zbyt dobrze płatne, ale niezwykle prestiżowe. Poza tym Thornton, jeszcze zanim zaczął pracować w Waszyngtonie, zrobił spore pieniądze w rodzinnej firmie prawniczej w Nowym Jorku. Był jednym z niewielu ludzi, którzy znali prawdziwe zadania Piwnicy. Teraz podniósł głowę i uśmiechnął się.

– Cześć, Blake, wyglądasz na zatroskanego.

– Nie bez powodu – odparł Blake.

Cazalet wyprostował się.

– Złe wieści?

– Powiedzmy, że niepokojące. Odbyłem interesującą rozmowę z Charlesem Fergusonem.

Prezydent usiadł wygodnie.

– W porządku, Blake, powiedz nam najgorsze.

Kiedy Blake skończył, prezydent zmarszczył brwi. Thornton również.

– Naprawdę chcesz polecieć do Belfastu, udawać tego McGuire'a i próbować dopaść Barry'ego na jego własnym terenie? – zapytał Cazalet.

Blake uśmiechnął się.

– Od dawna nie miałem urlopu, panie prezydencie, a z przyjemnością znów zobaczyłbym Dillona.

– Dobry Boże, Blake, nikt nie podziwia Dillona bardziej ode mnie. Przysługa, jaką obaj mi oddaliście, ratując moją córkę z rąk tych terrorystów. Nigdy wam tego nie zapomnę. Jednak to? Znalazłbyś się w kraju ogarniętym wojną.

– Zastanów się, Blake – powiedział Thornton. – Wpakowałbyś się w kłopoty, a czy to naprawdę konieczne?

– Panowie, włożyliśmy wiele trudu w przygotowania do procesu pokojowego w Irlandii Północnej – rzekł Blake. – Sinn Fein poszła na ustępstwa, lojaliści chcą rozmawiać, lecz skrajne ugrupowania po obu stronach co rusz torpedują rokowania. Ten człowiek, Jack Barry, jest bardzo niebezpieczny. Muszę panu przypomnieć, panie prezydencie, iż on jest także amerykańskim obywatelem, który służył w Wietnamie i został zwolniony z wojska za popełnienie czynów, których nie można nazwać inaczej, jak morderstwem. Od lat zabija ludzi, za co jesteśmy odpowiedzialni na równi z Anglikami. Uważam, że należy z tym skończyć.

Jake Cazalet uśmiechnął się. Popatrzył na Thorntona, który również się uśmiechał.

– Widzę, że bardzo się tym przejąłeś, Blake.

– Oczywiście, panie prezydencie.

– A zatem jedź i wracaj w jednym kawałku. Bardzo nie chciałbym cię stracić.

– Och, ja też bym tego nie chciał, panie prezydencie.

W Londynie, w Ministerstwie Obrony, Ferguson odłożył słuchawkę czerwonego telefonu i wcisnął przycisk interkomu.

– Wejdźcie.

Po chwili do pokoju wszedł Dillon z Hannah Bernstein.

– Właśnie rozmawiałem z Blake’em Johnsonem. Pojutrze będzie w hotelu „Europa”, zameldowany jako Tommy McGuire. Wy dwoje dołączycie do niego.

– Jakie będziemy mieli wsparcie, brygadierze? – zapytała Hannah.

– To wy jesteście wsparciem, pani inspektor. Nie chcę mieszać w to RUC⁷ ani wywiadu wojskowego z Lisburn. Tam nawet sprzętaczki pracują dla nacjonalistów. Wszędzie mają przecieki. Pani, Dillon i Blake Johnson musicie poradzić sobie sami. W końcu na Barry’ego potrzeba tylko jednej pary kajdanek.

⁷ RUC – Royal Ulster Constabulary – policja ulsterska (przyp. wyd.).

- Zrobione, brygadierze – mruknął Dillon.
- Na pewno?
- To równie pewne jak dębowe wieko trumny.

Jak to często bywa w Belfaście, zimny północny wiatr smagał miasto deszczem, siekąc wody Belfast Lough i uderzając w okna pokoju Dillona w hotelu „Europa” – najczęściej atakowanym hotelu na świecie. Dillon spoglądał na stacyjkę kolejową, rozmyślając o roli, jaką to miasto odegrało w jego życiu. Śmierć ojca przed wielu lary, zamachy bombowe, przemoc. Teraz obie strony próbowały położyć temu kres.

Podniósł słuchawkę i zadzwonił do pokoju Hannah Bernstein.

– To ja. Gotowa?

– Nie. Dopiero wyszłam spod prysznicza.

– Już lecę.

– Nie bądź głupi, Dillon. Czego chcesz?

– Zadzwoniłem na lotnisko. Samolot z Londynu ma godzinę spóźnienia. Chyba zejść do baru. Masz ochotę na lunch?

– Wystarczą mi kanapki.

– Spotkamy się na dole.

Było tuż po południu i w Library Bar panował spokój. Dillon zamówił herbatę po irlandzku i usiadł w kącie, czytając „Belfast Telegraph”. Hannah dołączyła do niego dwadzieścia minut później, ubrana w elegancki brązowy żakiet i spodnie. Rude włosy upięła z tyłu głowy. Z aprobatą skinął głową.

– Bardzo ładnie. Wyglądasz tak, jakbyś przyjechała tu pisać sprawozdanie z pokazu mody.

– Herbata? – zdziwiła się. – Bar jest otwarty, a Sean Dillon pije herbatę. Że też dożyłam takiego dnia.

Uśmiechnął się i przywołał barmana.

– Dla mnie kanapki z szynką, w końcu jesteśmy w Irlandii. A co dla ciebie?

– Wystarczy sałatka i herbata.

Zamówił i złożył gazetę.

– No i znów tu jesteśmy, usiłując rozwiązać problem irlandzki.

– A ty uważasz, że nie zdołamy?

– Próbujemy od siedmiuset lat. Najwyższy czas coś z tym zrobić.

– Wyglądasz na przygnębionego.

Zapalił papierosa.

– Och, to tylko klimat Belfastu. Zawsze się tak czuję, jak tu przyjadę i poczuję zapach tego miasta. Dla mnie zawsze to będzie strefa wojny. Kiepskie dawne czasy. Powinienem pójść na grób ojca, ale nigdy tego nie robię.

– Myślisz, że jest jakaś przyczyna?

– Bóg wie. Wiodłem uporządkowane życie, Królewska Akademia, teatr narodowy, pewnie o tym słyszałaś. A miałem dopiero dziewiętnaście lat.

– Tak, wiem, przyszedł Laurence Olivier.

– A wtedy mój stary przyjechał do domu i załatwili go brytyjscy spadochroniarze.

– To był wypadek.

– Jasne, wiem, ale mając dziewiętnaście lat, inaczej widzi się te sprawy.

– A więc wstąpiłeś do IRA i walczyłeś za sprawę.

– To było dawno. Wiele trupów temu.

Podano im posiłek. Młoda kelnerka obsłużyła ich i odeszła.

– I patrząc wstecz, żałujesz tego? – spytała Hannah.

– Czy ja wiem? Do tej pory mógłbym już być czołowym artystą Królewskiego Towarzystwa Szekspirowskiego. Mógłbym zagrać w piętnastu filmach.

Zjadł kanapkę z szynką i sięgnął po drugą.

– Mógłbym być sławny. Czy Marlon Brando nie powiedział czegoś takiego?

– Za to jesteś okryty niesławą. To ci musi wystarczyć.

– I w moim życiu nie ma żadnej kobiety. Wciąż dajesz mi kosza.

– Biedaczek.

– Nie mam żadnej rodziny. Och, w County Down mam więcej kuzynów, niż zdołałabyś zliczyć, którzy na mój widok uciekliby z wrzaskiem.

– To mnie nie dziwi, ale dość tego roztkliwiania się nad sobą. Chciałabym dowiedzieć się czegoś o Barryrn.

– Lepiej znałem jego wujka, Franka Barry'ego. Kiedy byłem młody, wiele mnie nauczył, zanim nasze drogi się rozeszły. Jack zawsze był draniem. Wietnam był dla niego poligonem i armia pozbyła się go, ponieważ mordował jeńców. Przez te wszystkie lata niepokojów w Irlandii Północnej stał się jeszcze gorszy. Co więcej, jak zapewne czytałaś w jego aktach, często służył jako najemnik w różnych organizacjach na całym świecie.

– Myślałam, że mówisz o sobie, Dillon.

Uśmiechnął się.

– Punkt dla ciebie. Twarda z ciebie kobieta.

W tym momencie do baru wszedł Blake Johnson w czarnych półbutach, ciemnoniebieskiej koszuli i spodniach oraz szarej tweedowej marynarce. Niczym nie okazał, że ich zna, i podszedł do baru.

– Biedaczysko. Wygląda jak po długiej podróży – rzekł Dillon.

– Już ci to mówiłam, a teraz powtórzę, Dillon. Drań z ciebie. – Wstała. – Chodźmy na górę i zaczekajmy na niego.

Dillon zawołał do barmana:

– Proszę zapisać to na mój rachunek! Pokój pięćdziesiąt dwa.

Wyszedł za Hannah.

Deszcz bębnił o szyby, gdy Dillon wyjął z lodówki szampana i otworzył butelkę.

– Pogoda typowa dla Belfastu, ale czego można się spodziewać w marcu? – Rozlał trunek do trzech kieliszków i podniósł jeden z nich.

– Miło cię widzieć, Blake.

– Ciebie też, mój irlandzki przyjacielu. – Blake uniósł kieliszek i zwrócił się do Hannah. – Pani inspektor. Świeża jak zawsze.

– Hej, to do mnie należy wygłaszanie takich uwag! – rzekł Dillon. – No nic, przejdźmy do rzeczy.

Usiedli. Blake powiedział:

– Przeczytałem akta Barry’ego. Paskudny typ. Chciałbym usłyszeć również twoją wersję, Sean.

– Najpierw poznałem jego wuja, Franka Barry’ego. To on stworzył Synów Erin, od początku niezwykle niebezpieczną organizację terrorystyczną. Zginął kilka lat temu, ale to zupełnie inna historia. Od tego czasu Jack przejął rządy.

– Znasz go?

– Od lat spotykamy się i wymieniamy kilka strzałów. Powiedzmy, że nie jestem jego ulubieńcem.

– Czy mamy pewność, że on nie zna McGuire’a?

– Tak twierdzi McGuire – powiedziała Hannah. – Dlaczego miałby kłamać? Chce wyjść z paki.

– Świetnie. Zapamiętałem wszystkie dane, jakie mi przesłaliście. Życiorys McGuire’a, dane francuskiej firmy Jobert i spółka, dla której pracuje, a także dane Tima Pata Ryana, który prawie załatwił cię w Londynie, Sean. Ciekawe... kobieta w roli egzekutora. Jednak jeśli chodzi o Barry’ego, to chcę usłyszeć od ciebie wszystko, nawet te fakty, które są w aktach.

Dillon spełnił jego życzenie i mówił przez jakiś czas. W końcu Blake skinął głową.

– To mi wystarczy. Widzę, że będę musiał mieć się na baczności.

– Jest jeszcze coś, co powinieneś wiedzieć o Barrych. Przede wszystkim to stara protestancka rodzina.

– Protestancka? – spytał z niedowierzaniem Blake.

– Nie ma w tym nic niezwykłego – odparł Dillon. – W historii irlandzkiego nacjonalizmu jest mnóstwo protestantów. Na przykład Wolf Tone. A w dodatku wujkiem Franka był lord Barry, po którym Frank odziedziczyłby tytuł, gdyby nie zginął.

– Chcesz mi powiedzieć, że Jack Barry jest dziedzicem tytułu?

– Jego ojciec był młodszym bratem Franka, ale umarł przed laty, więc został tylko Jack.

– Lord Barry?

– Frank nie przyjął tytułu, a Jack tym bardziej. Całe szczęście, inaczej królowa i królewska tajna rada przyboczna miałyby poważny problem.

– Założę się, że tak – mruknął Blake.

– Jednak Jack traktuje to bardzo poważnie – pokiwał głową Dillon. – Ród Barrych to stara rodzina. Ma długą historię. Na wybrzeżu, jakieś czterdzieści pięć kilometrów na północ od Belfastu leży ich posiadłość i zamek, Spanish Head. Teraz jest własnością skarbu państwa. Przed laty Jack wciąż o niej mówił. Nasz Jack to skomplikowana osobowość. Ale przejdźmy do rzeczy. Między szóstą a siódmą McGuire ma czekać w barze na wiadomość, że jego taksówka czeka.

– Cel jazdy nieznany?

– Oczywiście. Domyślam się, że będzie czekał gdzieś w mieście, w miejscu zapewniającym wiele dróg ucieczki. Na przykład w dokach.

– A wy pojedziecie za nią?

– Mamy taki zamiar. W zielonym landroverze. – Dillon podsunął mu karteczkę. – Oto jego numer.

– A jeśli mnie zgubicie?

– To niemożliwe. – Hannah Bernstein postawiła na stole walizeczkę i otworzyła ją. – Mamy tu Range findera.

– Odnajdzie cię wszędzie – obiecał mu Dillon. – Najnowszy model.

Range finder to było czarne pudełko z ekranem.

– Proszę spojrzeć – powiedziała Hannah i nacisnęła guzik. Pojawiła się siatka ulic. – Jest tu cała Irlandia Północna.

– Robi wrażenie – powiedział Blake.

– A z tym jeszcze większe. – Otworzyła inne pudełko i wyjęła złoty sygnet. – Mam nadzieję, że pasuje. Jeśli nie, mam inną pluskwę, którą można schować byle gdzie.

Blake włożył sygnet na palec lewej dłoni i skinął głową.

– Pasuje.

– Żadnej broni – przypomniał Dillon. – Ludzie Barry’ego nie dadzą się zwieść.

– A więc lepiej trzymaj się blisko mnie.

– Och, będę tam, w dodatku uzbrojony po zęby.

– A więc plan polega na tym, że mam was naprowadzić na Barry’ego, a wy go zgarniecie? Bez policji i wsparcia?

– To niebezpieczny typ, ten Blake. Zgarniemy go, uspimy zastrzykiem i zawieziemy na lotnisko, z którego samolot zabierze nas na Farley Field.

– A potem?

– Nasz bezpieczny dom przy Holland Park w Londynie, gdzie porozmawia z nim brygadier – odparła Hannah.

– Mają teraz wspaniałe środki – dodał Dillon. – Zanim się obejrzysz, opowie nam wszystko, chociaż pani inspektor nie podobają się takie metody.

– Zamknij się, Dillon! – warknęła.

Blake pokiwał głową.

– Nie kłóćcie się. Cieszę się, że tu jestem, i prezydent też jest zadowolony. Żaden problem. Jestem w waszych rękach i to mi wystarczy.

Bar w hotelu „Europa” cieszył się popularnością u tych biznesmenów, którzy po pracy lubili wypić drinka, więc kiedy Blake wszedł tam zaraz po szóstej, lokal był pełny. Blake usiadł przy barze, zamówił whisky z wodą sodową i zapalił papierosa. Był spięty, ale opanowany. Przede wszystkim miał ogromne zaufanie do Dillona. Dochodziła szósta trzydzieści. Zamówił drugą szklaneczkę whisky,

a kiedy barman postawił ją przed nim, wszedł portier z tablicą, na której widniało nazwisko McGuire.

– To ja – powiedział mu Blake.

W zacinającym deszczu zszedł po schodach do czerwonej taksówki. Usiadł z tyłu i ku swemu zdziwieniu skonstatował, że kierowcą jest siwowłosa kobieta.

– Dobry wieczór panu – powiedziała z wyraźnym północnoirlandzkim akcentem. – Proszę siedzieć, a ja panu powiem, dokąd jedziemy.

Ruszyła. Siedzący za kierownicą zaparkowanego w pobliżu landrovera Dillon i towarzysząca mu Hannah pojechali za nimi.

Kobieta już się nie odzywała, tylko zjechała do doków, mijając dzielnicę opuszczonych i walących się magazynów. Zatrzymała wóz obok starej furgonetki ford transit.

– Jesteśmy na miejscu, proszę pana. Proszę wysiąść.

Blake zrobił, co mu kazano. Odjechała. Stał na deszczu, czekając, gdy tylne drzwi forda otworzyły się i wyskoczyli z niego dwaj mężczyźni. Jeden miał na sobie wiatrówkę, a drugi, brodaty – długi płaszcz do kostek. Obaj byli uzbrojeni.

– Pan McGuire? – zapytał brodaty. – Ja jestem Daley, a to jest Bell. Daley and Bell. Brzmi jak kabaret, ale to nie żart. Jeden podejrzany ruch, jak mówią w telewizji, a będzie po panu. Niech pan się oprze o samochód.

Blake położył dłonie na fordzie i rozstawił nogi. Został dokładnie zrewidowany. Daley rzekł z zadowoleniem:

– Wsiadaj pan i jedziemy.

Siedzenia były wygodne. Daley usiadł naprzeciw Blake'a, a Bell zamknął drzwi i usiadł za kierownicą. Ruszyli. Blake powiedział z niepokojem:

– Słuchajcie, o co chodzi? Przybyłem tu w dobrej wierze i mam zobaczyć się z panem Barrym.

– On też nie może się doczekać tego spotkania – powiedział mu Daley – ale to jeszcze chwilę potrwa, więc zapal pan papierosa

i rozkoszuj się jazdą.

Kiedy Dillon zobaczył, że taksówka skręca, zjechał w boczną uliczkę, wysiadł i podszedł kawałek pieszo. Teraz wrócił biegiem do landrovera i usiadł za kierownicą.

– Przesadzili go do białego forda transita – powiedział do Hannah i po chwili już jechali za nim, włączeni w wieczorny ruch.

Deszcz wciąż padał i gdy nadeszła noc, stało się jasne, że wyjeżdżają z miasta.

– A więc nie w Belfaście – zauważyła Hannah.

– Na to wygląda.

Dotarli do miejsca, gdzie prowadzono roboty drogowe i ustawiono tymczasowe światła. Ruch z obu pasów skierowano na jeden.

– Niech to szlag! – zaklęła Hannah.

– Otwórz to magiczne pudełko, dziewczyno. Zaraz zobaczymy.

Położyła walizeczkę na kolanach, podniosła wieko i zabrała się do pracy.

Mapę było widać dobrze, tym wyraźniej, że zrobiło się ciemno. Ford znikł, ale to nie miało znaczenia. Czas płynął, a oni nadal zmierzali na północ.

– Dokąd oni jadą, do diabła? – irytowała się Hannah.

– Bóg wie – rzekł Dillon – ale ja też zacznę się domyślać.

– Czego?

– Jedziemy na północ, a w pobliżu znajduje się wybrzeże Antrim. Może jadą do Spanish Head?

– Zwariowany pomysł. Przecież mówiłeś nam, że to własność skarbu państwa.

– Owszem, ale muzea otwierają dopiero po Wielkanocy.

– Chyba nie mówisz poważnie.

– Patrz na ten ekran, a przekonamy się.

Ford transit miał okna w bocznych ścianach. Jechali wzdłuż wybrzeża. Deszcz na chwilę przestał padać i na pochmurnym niebie

pojawił się półksiężyc. W końcu skręcili w boczną drogę i zatrzymali się przed bramą. Tablica głosiła: „Spanish Head. Obiekt muzealny”.

Po drugiej stronie bramy stał domek. W jednym z okien paliło się światło. Bell zatrąbił, boczne drzwi uchyliły się i wyjrzał z nich jakiś staruszek. Zawahał się, a Bell zawołał:

– Naciśnij ten cholerny guzik i wpuść nas, Harker!

Brama najwyraźniej była otwierana elektronicznie. Staruszek otworzył metalową skrzynkę obok drzwi, pogmerał w środku i brama się otworzyła. Furgonetka przejechała przez nią. Blake ujrzał zameczek nad urwiskiem, z wieżyczkami i blankami – wszystko bardzo okazałe. Dopiero gdy podjechali bliżej, okazało się, że to tylko duży wiejski dom zbudowany w dziewiętnastowiecznym neogotyckim stylu. Ford zatrzymał się, Bell wysiadł i otworzył drzwiczki. Blake wyszedł za Daleyem na dziedziniec.

– Tędy, panie McGuire – powiedział Daley.

Bell otworzył masywne dębowe drzwi i poszedł przodem. Znaleźli się w wielkim holu z kamienną podłogą i kominkiem obwieszonym flagami. Z drzewców zwisała trójkolorowa flaga irlandzkich republikanów, unionistów i - nieoczekiwanie – stary amerykański sztandar konfederatów.

– Tędy.

Daley prowadził Blake’a po krętych schodach, a Bell zamykał pochód. Szli szerokim korytarzem z galerią portretów, aż w końcu Daley otworzył wielkie mahoniowe drzwi. Byli w bibliotece. Oczom Blake’a ukazały się kolejne portrety, płonące na kominku drwa, półki z książkami i szeroko otwarte drzwi na taras. Stał w nich mężczyzna z kieliszkiem w dłoni i spoglądał na zewnątrz. Był w czarnym swetrze i dżinsach, wysoki, barczysty. Kiedy się odwrócił, zobaczyli twarz ponurą i posępną, przystojną, a zarazem okrutną.

– Pan McGuire? Jack Barry.

Mówił nadal ze śladem amerykańskiego akcentu.

– Cała przyjemność po mojej stronie – rzekł Blake. Starał się mówić słabym i drżącym głosem. – Zaczynałem się niepokoić.

– Och, niech pan nie udaje, panie Johnson. Doskonale wiem, kim pan jest. Blake Johnson, osobisty doradca prezydenta Jake’a Cazaleta. Kieruje pan Piwnicą, tak to nazywają? Proszę, oto kieliszek sancerre.

– Wyjął butelkę z wiaderka z lodem, nappełnił kieliszek i podał Johnsonowi. – Proszę. Wiem z wiarygodnych źródeł, że prawdziwy McGuire jest w rękach brygadiera Charlesa Fergusona i Seana Dillona. A mój człowiek w Londynie, Tim Pat Ryan, nie żyje.

Blake skosztował wina.

– Osiemdziesiąty szósty, może ósmy.

– Siódmy – rzekł Barry. – A więc zna pan mojego starego przyjaciela, Seana Dillona?

– Przyjaciela?

– Może trochę przesadziłem. Jednakże spójrzmy prawdzie w oczy. Mam wspaniałe źródła informacji, ale mógłby mi pan opowiedzieć co nieco, włącznie ze szczegółami niektórych operacji tego starego drania, Charlesa Fergusona.

– No cóż, chyba muszę panu poradzić, żeby pocałował mnie pan w dupę – powiedział Blake.

Barry nalał sobie drugi kieliszek trunku.

– Podejrzałem, że powie pan coś takiego. – Skinął na Daleya. – Myślę, że Soak Hole powinna mu pomóc. Jest zimno i znów zaczyna padać. Wsadź go tam na godzinę i zobaczymy, co nam to da.

Deszcz lał jak z cebra, gdy Daley i Bell prowadzili Blake’a przez trawnik w kierunku urwiska. Błyskawica zamigotała nad wodą, oświetlając szalejące w dole fale. Poszli ścieżką w dół. Bell, z latarnią w dłoni, szedł pierwszy. W połowie drogi zatrzymał się.

– To tutaj.

Biała piana trysnęła z głośnym rykiem. Daley popchnął Blake’a.

– Do środka! Trzy metry niżej jest półka. Nic ci nie będzie. Noc jest zimna, więc nie każę ci zdejmować ubrania.

Blake zawahał się, a potem zaczął schodzić. Strome stopnie

prowadziły na wąską platformę. Piana trysnęła w górę i Blake wstrzymał oddech. Boże, jak zimno.

– Pilnuj go – rzekł Daley do Bella. – Zaraz wrócę. Ruszył z powrotem do zamku.

– A więc miałem rację – rzekł Dillon, podjeżdżając z Hannah do zamku. – To Spanish Head.

Podjechał do wejścia i zatrzymał samochód, nie wyłączając silnika. Hannah wysiadła i bezskutecznie próbowała otworzyć bramę.

– Nic z tego, ma elektryczny zamek. Zaczekaj chwilę.

Z boku była wąska furtka dla pieszych. Gdy wspinała się na ogrodzenie, drzwi domku się uchyliły i stanął w nich stary człowiek.

– Hej, tak nie można! To prywatny teren.

– Nie, już nie. – Z kabury pod pachą wyjęła walthera i wcisnęła mu lufę pod brodę. – Rób co trzeba, żeby otworzyć tę bramę, i pospiesz się.

Staruszek był przerażony. Podeszedł do metalowej skrzynki, nacisnął guzik i brama się otwarła. Dillon przejechał, zatrzymał wóz na parkingu i zgasił silnik. Wysiadł i pchnął starego na ścianę.

– Sprawdźmy, czy mam rację. Ty jesteś tu dozorcą. Kto jeszcze jest w stróżówce?

– Jestem wdowcem.

– Jak się nazywasz?

– Harker, John Harker.

– No cóż, myślę, że był pan niegrzecznym chłopcem, panie Harker. Zamek jest nieczynny od września do Wielkanocy, a pan wpuszcza tu takich nieproszonych gości jak mój stary znajomy, Jack Barry.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

Staruszek trząsał się ze strachu. Dillon pokazał mu walthera i powiedział uprzejmie:

– Może wróci ci pamięć, kiedy przycisnę lufę do twojego prawego kolana i nacisnę spust.

Harker natychmiast przestał się opierać.

– Jego lordowska mość jest w domu, przyznaję, ale co taki stary człowiek jak ja może na to poradzić?

– Jego lordowska mość, tak? – zaśmiał się Dillon. – Jak często tu bywa?

– Często przyjeżdża tu w zimie, o czym wiedzą we wsi, bo kilka osób pracuje na zamku.

– I na pewno trzymają to w tajemnicy – mruknęła Hannah.

– A co innego moglibyśmy zrobić? – rzekł stary. – Czasy są ciężkie, a jego lordowskiej mości lepiej nie wchodzić w drogę.

– Bo wpakuje kulę w łeb? – zapytał Dillon.

– Nie musi, ma tutaj Soak Hole, jeśli chce nauczyć kogoś rozumu.

W zeszłym roku umarł w niej Tim Leary.

– A cóż to takiego, ta Soak Hole?

– Rodzaj komina w skałach. Woda tryska tam wysoko w górę. Jego lordowska mość wsadza tam tych, którym chce dać nauczkę.

– Dobry Boże! – mruknęła Hannah.

– Nie sądzę, aby on miał z tym coś wspólnego – powiedział Dillon i ponownie zwrócił się do Harkera. – Do rzeczy. Biała furgonetka, ford transit. Przyjechała tu niedawno, prawda?

Harker kiwnął głową.

– Po południu pojechała do Belfastu. Wróciła około czterdziestu minut temu.

– Kto był w środku?

– Bobby Daley i Sean Bell, dwaj ludzie jego lordowskiej mości. Kiedy wróciła, tylko Bell siedział za kierownicą.

– A ty byłeś ciekaw, więc poszedłeś na podjazd, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Harker zdziwił się.

– Skąd pan wie?

– Wiem wszystko. I co się stało?

– Byłem daleko, ale widziałem, jak Bell otworzył tylne drzwi i wypuścił Bobby'ego Daleya oraz jakiegoś mężczyznę, a potem wszyscy trzej weszli do zamku.

– A ty, z ciekawości, podszedłeś bliżej, stanąłeś za drzewem lub czymś innym i czekałeś.

Harker ponownie się zdziwił.

– Skąd pan to wie?

– Ponieważ jestem Irlandczykiem, tępaku, z County Down, i mam szósty zmysł. A ponadto zmokłeś od stania na deszczu. Kto jeszcze jest na zamku z Barrym?

– Tylko Daley i Bell.

– Grzeczny chłopiec. Teraz pójdziemy tam cicho i spokojnie, a ty nas poprowadzisz. Najlepiej jakąś boczną ścieżką.

– Jak pan każe, sir.

Rozmieszczone tu i ówdzie lampy rzucały trochę światła, gdy szli wąską ścieżką przez krzaki i stary park, w którym wznosiły się mury zameczku. Nagle Harker zatrzymał się.

– Chyba ktoś nadchodzi – szepnął.

Weszli między drzewa, a po chwili sąsiednią dróżką przeszedł Daley.

– To on – szepnął Harker. – To Bobby.

Daley podążał do zamku, a Dillon zapytał:

– Ciekawe, gdzie też on był?

– Tam dalej jest tylko urwisko i Soak Hole.

Dillon powiedział do Hannah:

– Dlaczego Barry nie zorganizował spotkania w Belfaście? Dlaczego zadał sobie tyle trudu, żeby ściągnąć Blake'a tutaj? To nie ma sensu.

– Chyba że to pułapka.

– No właśnie. – Dillon obrócił się do Harkera. – Prowadź do Soak Hole, tylko po cichu.

Sean Bell schronił się pod drzewem obok ścieżki, a latarnię postawił na ziemi. Był głęboko nieszczęśliwy, przemoczony do nitki i nawet nie mógł sobie zapalić, bo papierosy w mgnieniu oka rozpadały się na

deszczu. Z Soak Hole, z donośnym, głuchym pomrukiem przypominającym ryk ranionego dinozaura, trysnął gejzer wody. Bell zastanawiał się, w jakim stanie jest Amerykanin. W taką noc jak ta nie wytrzyma tam długo.

Szczęknął bezpiecznik, gdy Dillon wpakował Bellowi w ucho lufę zaopatrzonego w tłumik walthera.

– Nie chciałbym przestrzelić panu mózgu, panie Bell, więc niech pan będzie grzeczny.

– Kim jesteś, do cholery? – jęknął Bell, a Dillon wprawnie obszukał go i zabrał mu trzydziestkę ósemkę.

– Webley 38, od dawna niesprzedawany. Coś cienko przedziecie, chłopcy – zakpił Dillon, chowając rewolwer do kieszeni kurtki. – Nazywam się Dillon.

– O mój Boże!

– Mam dla ciebie złe wieści. Podejrzewam, że gdzieś w pobliżu jest mój amerykański przyjaciel.

Wepchnął lufę walthera głębiej i Bell jęknął z bólu.

– Jest w Soak Hole. Wejście znajduje się tuż obok.

– Dlaczego się tam znalazł?

– Barry wiedział, że on nie jest tym, za kogo się podaje. Czekaliśmy na niego.

– Naprawdę? No cóż, prowadź.

Bell podniósł latarnię i zaczął schodzić ścieżką, po czym odsunął się na bok, gdy z Soak Hole trysnął w noc wysoki słup piany.

– Uważaj na niego – powiedział Dillon do Hannah i stanął na szczycie wiodących w dół schodków. – Jesteś tam jeszcze, Blake? Tu Dillon.

Blake, stojący na wąskiej półce i kurczowo trzymający się zardzewiałej żelaznej klamry, zamarznięty jak jeszcze nigdy w życiu, odkrzyknął:

– Czemu tak późno?

– Wyłaź stamtąd! – zawołał Dillon.

Minęło kilka minut, zanim Blake się pojawił. Powoli wchodził po

schodach.

– Jezu, Dillon, to było okropne. Kiepsko się czuję. Przypomniał mi się Wietnam i to, jak przez sześć godzin siedziałem w bagnie.

– Co się stało?

– Barry wszystko wiedział. Znał moje nazwisko, wiedział o prezydencie i Piwnicy. Mówił, że ma doskonałe źródła informacji, ale chciał dowiedzieć się czegoś o tobie i Fergusonie.

– Chodźmy na zamek i zaspokójmy jego ciekawość.

– Z przyjemnością – rzekł Blake. – Jeszcze jedno.

Odwrócił się do Bella, który stał na szczycie schodów.

– Mam coś dla ciebie, skurwielu.

Z całej siły rąbnął go w szczękę i Bell z krzykiem poleciał w tył. Po chwili z Soak Hole trysnęła fontanna piany.

– Teraz możemy już iść? – zapytał Dillon.

– Oczywiście.

Blake poprowadził ich przez dziedziniec i przystanął przed masywnymi drzwiami.

– Wracaj do bramy, dziadku – powiedział Dillon do Harkera. – Siedź w chacie i trzymaj język za zębami. Jeśli to zrobisz, nie zastrzelę cię. Umowa stoi?

Stary czmychnął.

– Czy któregoś z was ma zapasowy pistolet? – spytał Blake.

Dillon wyjął webleya.

– Myślę, że ten grat powinien być w muzeum, ale pewnie można z niego strzelać.

– No to chodźmy – powiedział Blake i otworzył drzwi.

W bibliotece Daley wkładał nową kłodę drewna do kominka, a Barry stał przy drzwiach na taras, spoglądając na tłukący w szyby deszcz.

– Okropna noc, Bobby. Zastanawiam się, jak się czuje pan Johnson.

– Lepiej, niż sądzisz – rzekł Blake, otwierając drzwi i wchodząc do

środku.

Przez chwilę spoglądali na siebie, a potem Barry odchylił głowę do tyłu i roześmiał się.

– Dobry Boże, to ty, Sean.

– Jak zawsze, Jack, zjawiam się na twoje utrapienie. Charles Ferguson chętnie z tobą pogada, szczególnie po tym, co usłyszałem od mojego przyjaciela Blake'a. Twoje źródło informacji? To z pewnością ktoś z Białego Domu. Naprawdę niegrzeczny z ciebie chłopiec.

– Zawsze taki byłem, Sean, zawsze. Zakładam, że Bell opuścił ten padół?

– Zdecydowanie.

– Och, cóż, wszystkich nas to czeka. Naley panu Johnsonowi brandy, Bobby, dużą porcję. Podejrzewam, że mu się przyda. – Podniósł kieliszek. – My, weterani z Wietnamu...

– Nic podobnego. Ja tam walczyłem, a nie mordowałem. – Blake wziął od Daleya kieliszek i spojrzał na obrazy. – Czy to mundur konfederatów?

Barry popatrzył na obraz.

– Tak. Ten wyniosły dżentelmen na końcu to Francis Pierwszy. Zbił pieniądze na Barbados w osiemnastym wieku. Cukier i niewolnicy. Wrócił i kupił sobie tytuł. Każdy z nich miał na imię Francis. Stąd wziął się Frank.

– Ty jesteś pierwszym wyjątkiem?

– Tak, mówią na mnie Jack, a nie John. Ten, który walczył po stronie konfederatów, poległ pod Shiloh. W listach do domu twierdził, że wybrał ich stronę, ponieważ szary mundur pasował do koloru jego oczu.

– Wierzę, jeśli był podobny do ciebie – powiedział Blake. – Jednak do rzeczy. Wiedziałeś, że zastąpiłem McGuire'a.

– A co się z nim stało?

– Jak dobrze wiesz, jest w naszych rękach w Londynie i śpiewa jak z nut – powiedziała Hannah.

– Kundel.

– Owszem – przytaknął Dillon. – Oni wszyscy przeważnie są tacy. A więc wygląda na to, że wiesz wszystko.

– Jak zwykle. Rozumiesz, że zawsze muszę wyprzedzać przeciwnika o krok. Dzięki temu żyję.

– Słyszymy też, że chciałeś dowiedzieć się czegoś o brygadierze Fergusonie – dodała Hannah.

– No pewnie, chyba was to nie dziwi. To szczwany lis.

– Wkrótce się z nim zobaczysz – powiedział Dillon. – Jestem pewien, że to będzie interesująca rozmowa.

– Jestem tego pewien. – Barry odwrócił się do kubelka z lodem i nalał sobie porcję sancerre. – Podaj jeszcze jedną brandy panu Johnsonowi, Bobby. Na pewno mu się przyda.

Daley podszedł do szafki, sięgnął po karafkę z brandy, otworzył szufladę i odwrócił się z bronią w ręku.

– No tak. Fortuna kołem się toczy – rzekł Barry.

Jednak Dillon zdążył już wsunąć dłoń pod kurtkę i wyrwał spod niej walthera. Ze stłumionym kasznięciem pocisk przeszył serce Daleya, rzucając go na szafkę. Goryl runął na ziemię, nie wypuszczając z ręki karafki.

Dillon usłyszał krzyk Hannah i obróciwszy się, zdążył jeszcze zobaczyć Barry'ego, który zniknął w ukrytym przejściu obok kominka. Rzucił się za nim, lecz ruchoma płyta z cichym trzaskiem zdążyła wrócić na swoje miejsce i nie dała się otworzyć.

– Niech go szlag! – zaklął Blake.

– Powinienem był wiedzieć – mruknął Dillon. – Nie korzystałby z tego lokum, gdyby nie miał jakiejś drogi ucieczki. Teraz już go nie złapiemy.

Hannah popatrzyła na Daleya.

– A co z nim? Zawiadomimy policję?

– To ostatnia rzecz, jakiej byśmy sobie życzyli. – Na podłodze leżał indyjski kilim i Dillon owinał nim ciało. – Pomóż mi.

Podnieśli ciężar.

– I co teraz?

– Wynośmy się stąd. Ja pozbędę się dowodu. Dołączy do Bella w Soak Hole.

Poszedł przodem, a Blake otworzył przed nim dębowe drzwi. Wiatr dmuchnął do środka deszczem i Dillon powiedział:

– Wspaniała noc do brudnej roboty. Zobaczymy się przy bramie.

Kiedy Blake i Hannah dotarli do stróżówki, nie zastali przed nią Harkera, chociaż w środku nadal paliło się światło. Schowali się przed deszczem do landrovera, a po kilku minutach pojawił się Dillon.

– Załatwione. Niegodziwców spotkała zasłużona kara. – Podszedł do drzwi stróżówki i kopnął w nie. Otworzyły się i wyrżał zza nich Harker. – Wymknęli się nam – powiedział Dillon. – Jego lordowska mość i Daley uciekli jakimś sekretnym przejściem.

– Jest ich tam kilka.

– W każdym razie Barry nie wie, że maczałeś w tym palce. Trzymaj język za zębami, a nic ci się nie stanie. To się nigdy nie wydarzyło.

– Ma pan cholerną rację. Będę siedział cicho. Otworzę wam bramę.

Dillon usiadł za kierownicą landrovera, wyjechał i ruszył drogą wzdłuż wybrzeża.

– I co teraz? – zapytała Hannah.

– Możesz zamówić lear jeta, żeby zabrał nas z rana. Wiesz, że Ferguson lubi jak najwcześniej otrzymywać złe wieści. A ty? – Rzucił przez ramię do Blake'a. – Wracasz do Waszyngtonu?

– Nie, myślę, że powinienem zostać. Wrócę z wami do Londynu i pomogę wam ugłaskać Fergusona.

– No dobrze, zatem następny przystanek zrobimy w hotelu „Europa” i skorzystamy z jego perfekcyjnej obsługi.

Lear jet przyleciał o północy i podporucznicy Lacey oraz Parry już na nich czekali, gotowi odlecieć o siódmej rano. Wszystko załatwiono oficjalnie. Lear jet miał oznakowania RAF-u, a Lacey i Parry nosili lotnicze kombinezony z insygniami na naramiennikach.

– Miło znów pana widzieć, panie Johnson – rzekł Lacey i zwrócił się do Dillona, który jako ostatni wchodził po schodkach. – Znów coś się szykuje, Sean?

– No cóż, ujmijmy to w taki sposób: na twoim miejscu nie rezerwowałbym sobie wakacji w Marbelli – odparł Dillon i wszedł na pokład.

Wystartowali, wspięli się na dziesięć tysięcy metrów i polecili nad Morzem Irlandzkim. Hannah znalazła termosy z kawą i herbatą, a Dillon trzy kubki.

– Mówiłaś, że Ferguson oczekuje nas jutro w Ministerstwie Obrony?

– Tak powiedział.

– Jakim tonem mówił?

– Obojętnym.

Dillon nalał herbaty do swojego kubka.

– O rany, wtedy jest najgorszy.

Ku ich zdziwieniu Ferguson czekał w limuzynie na Farley Field. Lacey podprowadził ich, usiłując osłonić wielkim golfowym parasolem.

– Wsiadajcie, do licha, i jedźmy już. Miło cię widzieć, Blake. Usiądź

przy mnie.

Hannah usiadła naprzeciw nich z Dillonem i nacisnęła guzik, który podnosił szybę oddzielającą pasażerów od kierowcy.

– Słusznie, przejdźmy od razu do rzeczy – ciągnął Ferguson. – Ty mów, Dillon. Wy, Irlandczycy, jesteście w tym dobrzy.

– Nigdy byś nie uwierzył, że jego świętej pamięci matka pochodziła z Kerry – rzekł Dillon do Blake’a. – A popatrz na niego i na mnie.

Zreferował wydarzenia w Belfaście i w Spanish Head, niczego nie pomijając. Ferguson milczał z ponurą miną, czekając, aż skończy.

– Co za wpadka. Wiedział, że nie jesteś McGuirem, a przecież wszystko przygotowaliśmy w ciągu kilku ostatnich dni.

– Nie tylko, brygadierze. Wiedział o istnieniu Piwnicy i chwalił się, że ma informatora.

– I kto nim jest?

– Musi to być ktoś z Białego Domu. Kręci się tam wielu ludzi.

– Przecież istnienie Piwnicy jest utrzymywane w ścisłej tajemnicy – rzekł Ferguson.

– Tak jak pańskiej organizacji, brygadierze, a ilu ludzi o niej wie? - zauważył Blake. – Mamy też poważny problem z włamaniami komputerowymi. Nawet dzieciaki włamują się do naszych sieci.

– Do naszych też – przyznał Ferguson.

– My też to robimy w miarę możliwości – wtrąciła Hannah. – Paryż, Moskwa...

– Nawet Waszyngton – mruknął Dillon.

– Nie masz żadnych poszlak? – zapytał brygadier Blake’a.

– Nie. Korzystałem z usług Biura Podróży, jak pieszczotliwie nazywamy komórkę zajmującą się podrabianiem dokumentów. Potrzebowałem paszportu na nazwisko Tommy’ego McGuire’a, na wypadek gdyby Barry chciał go zobaczyć. Poza tym oni zajęli się przygotowaniem do podróży. Załatwili mi bilet na samolot i rezerwację w hotelu, na nazwisko Tommy’ego McGuire’a.

– To wszystko można znaleźć w bazach danych – wytknęła Hannah.

– Ale to nie wyjaśnia, skąd wiedział, kim jesteś. Nie podoba mi się to

– gniewnie warknął Ferguson. – Wcale mi się nie podoba i założę się, że prezydentowi również nie będzie się podobało.

– Z całą pewnością – przytaknął Blake.

– Zastanawiam się nad McGuire’em – powiedział Dillon. – Może nie powiedział nam wszystkiego.

– Dlaczego tak sądzisz? – zapytała Hannah.

– To typowe u takich jak on. Dostatecznie długo byłaś policjantką, żeby o tym wiedzieć. – Obrócił się do Fergusona: – Niech pan mi pozwoli z nim pogadać.

– Chcesz to z niego wytłuc? – zjeżyła się Hannah.

– Nie. Tylko solidnie go nastraszyć.

Ferguson skinął głową.

– Jest twój.

– Dobrze – powiedział Dillon. – Oto co zrobimy...

Bezpieczny dom przy Holland Park był wiktoriańską rezydencją, otoczoną wysokim murem. Wyglądał dość niepozornie, ale zabezpieczenia zmieniły go w twierdzę nie do zdobycia. Komfortowo wyposażone wnętrza zaskoczyło McGuire’a. Miał własny pokój, wszelkie wygody, telewizor, doskonałe jedzenie. Nie wiedział tylko, że kamery obserwowały go nawet wtedy, kiedy szedł do toalety.

Od czasu do czasu zabierano go na dół, do salonu z ogromnym kominkiem i jeszcze większym telewizorem. Podawano mu więcej niż porządne posiłki. Dostawał nawet butelkę Chablis do obiadu. Strażnik był również miły – pan Fox, który nie nosił munduru, tylko granatowy garnitur. Oczywiście McGuire nie wiedział, że pan Fox nosi rewolwer kaliber.38 w kaburze pod lewą pachą, tak samo jak nie zdawał sobie sprawy z tego, że przez duże lustro w złożonych ramach można go obserwować z sąsiedniego pokoju, w którym właśnie siedzieli Ferguson, Blake i Hannah Bernstein.

Patrzyli, jak McGuire kończy lunch, a Fox stoi pod ścianą. Zapukano do drzwi, Fox je otworzył i wszedł Dillon.

– No, widzę, że nieźle ci się powodzi, Tommy – rzekł.

McGuire wytrzeszczył oczy.

– To ty? Czego chcesz?

– Och, chcę ci tylko powiedzieć, co się stało w Ulsterze. – Zapalił papierosa, wyjął z wiaderka opróżnioną do połowy butelkę wina i napełnił pusty kieliszek McGuire’a. Skosztował. – Nieźle. No cóż, nie złapaliśmy Jacka Barry’ego. Wymknął się nam z rąk. Załatwiliśmy dwóch jego ludzi, Daleya i Bella. Czy te nazwiska ci coś mówią?

– Nigdy ich nie słyszałem.

– Dziwna rzecz, ale Barry czekał na mojego przyjaciela Blake’a – człowieka, który udawał ciebie. Wiedział o nim wszystko, i to, że Blake pracuje dla prezydenta. Twierdził, że ma własnych informatorów.

– Słuchaj, ja nie mam z tym nic wspólnego – rzekł McGuire. – Powiedziałem wam wszystko, co wiem o Barrym. Jeśli go zgubiłeś, to twój problem.

– Cóż, rzeczywiście jest problem, stary, ale nie mój, tylko twój. Widzisz, myślę, że jesteś parszywym łgarzem. Myślę, że wiesz o wiele więcej, niż nam powiedziałaś.

– Bzdury! Powiedziałem wam wszystko, co wiem.

– Naprawdę? Cóż, więc chyba będziemy musieli cię wypuścić.

– Wypuścić? – zdziwił się McGuire.

– No, wydałeś nam Barry’ego. Mieliśmy pecha, że się wymknął, ale to nie twoja wina, a prawdę mówiąc, wolelibyśmy nie wyciągać takich spraw przed sądem. – Skinął na Foxa. – Sprowadź panią inspektor.

– Oczywiście, proszę pana.

Fox podszedł do drzwi, otworzył je i zawołał Hannah, która po chwili weszła do salonu, trzymając w ręce jakiś urzędowo wyglądający dokument.

– Weź rzeczy więźnia i odstaw go na lotnisko Heathrow – powiedziała, a potem zwróciła się do McGuire’a. – Thomasie McGuire, oto nakaz deportowania cię jako osoby niepożądanego w Zjednoczonym Królestwie. Według naszych danych, przybyłeś do naszego kraju nielegalnie. Przyleciałeś z Paryża i tam też zostaniesz odstawiony. Nie

mam pojęcia, jak potraktują cię francuskie władze.

– Posłuchajcie... – zaczął McGuire, ale Dillon mu przerwał.

– Życzę szczęścia, Tommy. Będzie ci potrzebne.

– Co masz na myśli?

– Jack Barry ma wielu przyjaciół w Europie i na Środkowym Wschodzie. Organizacja Wyzwolenia Palestyny, Libijczycy, tym podobni ludzie. Zdarzało mu się nawet robić interesy z mafią.

– A co to ma wspólnego ze mną?

– Wiedział, że mój przyjaciel Blake Johnson to nie ty, więc zakładałam, że zapragnie dowiedzieć się, w co ty grasz. Będzie ci chciał obciąć jaja, Tommy. Dlatego życzę ci szczęścia.

Odwrócił się, a McGuire powiedział:

– Rany boskie, ten facet to sadysta. Chcę powiedzieć, że w Irlandii zabił jednego faceta, przepuszczając go przez betoniarkę.

Zapadła cisza.

– Czy to prawda, panie McGuire? – zapytała w końcu Hannah.

Popatrzył na nią, potem na Dillona, a w końcu usiadł.

– Nie ruszę się stąd nawet na krok.

– A więc mów – warknął Dillon.

Otworzyły się drzwi i weszli Ferguson z Blake'em.

– No dobrze, człowieku, wyduś to z siebie – rozkazał brygadier.

– Rany boskie, dajcie mi papierosa.

Dillon poczęstował go jednym, wyciągając swoją starą srebrną papierośnicę, a potem podał mu ogień.

– Wyrzuć to z siebie, Tommy. Poczujesz się znacznie lepiej.

– Jak już wam mówiłem, nigdy nie spotkałem Barry'ego, ale on robił interesy z Jobertem z Marsylii, a ja pracowałem dla Joberta, więc spotykałem facetów, których Barry przysyłał z Irlandii po broń. Był taki jeden, nazywał się Doolin. Robiłem z nim interesy w Paryżu. Patrick Doolin.

Dillon przerwał mu.

– Znam to nazwisko. Znaleźli go powieszzonego w celi w więzieniu Maze.

– To on – przytaknął McGuire. – Kiedyś spędziliśmy razem wieczór w Paryżu i wylądowaliśmy na kolacji na jednym z tych statków pływających tam i z powrotem po rzece. Niezłe żarcie, mnóstwo alkoholu. Kiedy się upił, zrobił się wylewny. Zaczął opowiadać o Barrym, jaka z niego bestia.

Wyznania McGuire'a stawały się coraz ciekawsze i wszyscy czekali na dalszy ciąg.

– Doolin powiedział, że był szoferem Barry'ego. Myślę, że to wydarzyło się mniej więcej trzy lata temu. Pewnej nocy odwoził go dokądś, a Barry był pijany i naćpany jakimś ostrym towarem. Powiedział Doolinowi, że właśnie załatwił pięciu tajnych agentów brytyjskiej armii, czterech mężczyzn i kobietę. Mówił, że jednego z nich przepuścił przez betoniarkę. Zdaje się, że pozostałych zastrzelono. Nie pamiętam.

– Mój Boże – mruknęła Hannah.

– Co jeszcze? – naciskał Dillon.

– Wiecie, że kieruje Synami Erin? Twierdził, że tych pięciu agentów wystawiła mu nowojorska filia organizacji, z niewielką pomocą kogoś, kogo nazywał Łącznikiem.

– Łącznikiem? – powtórzył Ferguson.

– Tak, to ktoś bardzo wysoko postawiony. Powiedział Doolinowi, że to było jak za dawnych czasów, kiedy policyjni detektywi w Dublinie pracowali dla Micka Collinsa.

– Wygląda na to, że sporo powiedział temu Doolinowi – mruknęła Hannah Bernstein.

Ferguson skinął głową.

– Niech pan go pilnuje, panie Fox. Będziemy w kontakcie.

– Tak jest, brygadierze. Ferguson zwrócił się do pozostałych.

– W porządku, idziemy.

Godzinę później siedzący z Blake'em w gabinecie Ferguson zdziwił się, widząc wchodzącą Hannah Bernstein, a za nią Dillona.

– Znalazłam coś, sir – powiedziała mu Hannah. – Trzy lata temu straciliśmy zespół agentów działających w Ulsterze, czterech mężczyzn i kobietę. Ich dowódca, major Peter Lang, padł ofiarą podłożonej w samochodzie bomby. Wybuch był tak silny, że nie znaleziono żadnych szczątków. Tutaj mam szczegółowe raporty na temat czwórki pozostałych. To musi być to wydarzenie, o którym wspominał Barry.

– Dobry Boże! Peter Lang, syn mojego starego przyjaciela, Rogera Langa – rzekł Ferguson. – Poznałeś jego matkę, lady Helen Lang, na pogrzebie Tony’ego Emswortha.

– Ta miła starsza pani na tarasie – przypomniał sobie Dillon. – Mam wrażenie, że jesteśmy na dobrym tropie. Co robimy?

– Sądzę, że powinienem porozmawiać z prezydentem – oznajmił Blake.

Ferguson pokręcił głową.

– Jeszcze nie, Blake. Wiem, że masz swoje obowiązki, ale wstrzymaj się, proszę, przynajmniej na razie. Najpierw chciałbym załatwić kilka spraw. – Zwrócił się do Hannah: – Czy były tam jakieś dodatkowe informacje mające jakiś związek z Barrym?

– Nie, panie brygadierze. Sprawdziłam zarówno w MIS, jak i w MI6. Ferguson spochmurniał.

– Proszę natychmiast zadzwonić do Simona Cartera. Na bezpiecznej linii. Niech go pani zapyta, co wie o Jacku Barrym, Synach Erin i przecieku na górze, być może w Białym Domu.

– Tak jest.

Wyszła. Ferguson wstał.

– Mamy tu dobry bufet, Blake. Zjedzmy po kanapce i zaczekajmy na dalszy rozwój wydarzeń.

Siedzieli jeszcze przy stoliku w kącie, kiedy pół godziny później przysłała Hannah i przysiadła się do nich.

– Był rozsierzdony, jak zawsze. No, prawie.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał Ferguson.

– Wydawało się, że jest zszokowany. Odniosłam wrażenie, że dobrze o wszystkim wiedział, ale nie mógł pogodzić się z myślą, że to wyszło na jaw.

– Ten podstępny drań okłamałby Wszchemogącego – powiedział Dillon.

– Muszę przyznać, że szybko doszedł do siebie. Streścił mi życiorys Jacka Barry’ego i nic poza tym. Nie powiedział nic, czego nie wiedzieliśmy wcześniej.

– I nic nie mówił o Waszyngtonie ani o Synach Erin? – Blake odwrócił się do Dillona. – Czy Carter nadal jest wicedyrektorem Służb Specjalnych?

– Oczywiście.

– A więc jeśli on nic nie wie...

– Połącz mnie z nim przez telefon komórkowy – powiedział Ferguson do Hannah.

Zrobiła to i podała mu aparat.

– Simonie – rzekł Ferguson – musimy się spotkać. Taras przy gmachu parlamentu za pół godziny.

– Posłuchaj, Ferguson...

– Właśnie kończę raport dla premiera. Chętnie zamieściłbym w nim twoje uwagi. – Ferguson rozłączył się i siedział przez chwilę w milczeniu, zastanawiając się. W końcu powiedział: – Zabiorę cię na to spotkanie, Blake, jako przedstawiciela prezydenta. To zrobi na nim wrażenie. Ty też pójdziesz ze mną, Dillon, bo zawsze wyprowadzasz go z równowagi.

– Jeśli ktoś kiedyś mnie nienawidził, to zacny stary Carter.

– No właśnie, a ja chciałbym, żeby się zdenerwował. – Ferguson zwrócił się do Hannah. – Ty jesteś komputerowym geniuszem, moja droga. Sprawdź wszystko, co może mieć jakiegokolwiek znaczenie. – Wstał. – W drogę, panowie.

Izba Gmin oraz Izba Lordów to instytucje niezwykle, nie tylko ze względu na doniosłą rolę, jaką odegrały w historii Zjednoczonego Królestwa. Są również przepięknie położone nad Tamizą i zapewniają wszelkie możliwe udogodnienia. Dwadzieścia sześć restauracji i barów słynie ze wspaniałej kuchni oraz niewygórowanych cen.

Nawet człowiek na takim stanowisku, jakie zajmował Ferguson, musiał stanąć w kolejce, centymetr po centymetrze posuwającej się w kierunku najliczniej obsadzonego posterunku kontrolnego w Londynie. W końcu dotarli do głównego holu, przeszli przez labirynt korytarzy i znaleźli wyjście na taras z widokiem na Tamizę.

Był chłodny marcowy dzień, lecz dość słoneczny, tak że podniesiono markizy. Na tarasie było sporo ludzi: członkowie Izby Lordów zebrali się na jednym końcu, członkowie Izby Gmin na drugim, a wszędzie kręcili się turyści.

– Dzięki Bogu, że masz na sobie marynarkę, Dillon. Chociaż raz wyglądasz przyzwoicie.

Dillon przywołał kelnera, który przechodził opodal, niosąc na tacy kieliszki z szampanem.

– Jesteście panowie z tą japońską delegacją?

– Oczywiście. – Dillon podał jeden kieliszek Blake’owi, a drugi Fergusonowi, który przyjął go z lekkim wahaniem. Sięgnął też po jeden dla siebie.

Stanęli przy balustradzie i spojrzeli na Tamizę.

– Jakie macie tu zabezpieczenia? – zapytał Blake.

– Woda płynie z szybkością pięciu węzłów – odparł Dillon. – Nawet komandosi Navy SEALs⁸ mieliby kłopoty.

– Ten mały drań ich nie miał – powiedział Ferguson do Blake’a. – Podpłynął tu w zeszłym roku, kiedy prezydent spotkał się tutaj z premierem, żeby udowodnić, że Carter nie potrafi zabezpieczyć terenu. Przebrał się za kelnera i podał im kanapki.

⁸ Navy SEALs – jednostka komandosów Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych (przyp. wyd.).

Blake ryknął śmiechem.

– Carter nie był zachwycony – dodał Dillon.

– No cóż, chyba trudno mu się dziwić, co? – stwierdził Blake i w tym momencie pojawił się Carter.

Skrzywił się na widok Dillona.

– Rany boskie, Ferguson, czy musiałeś przyprowadzać tu tego obwiesia?

– Jestem zaszczycony, że taki wielki człowiek zechciał dostrzec moją obecność – powiedział Dillon. – Jakże to uprzejmie z pana strony.

– Dillon jest tutaj, ponieważ go potrzebuję. To jest Blake Johnson, doradca do spraw bezpieczeństwa prezydenta Jake'a Cazaleta.

– Tak, znam pana Johnsona.

Carter niechętnie uściśnął im dłonie.

– Przejdźmy do interesów – rzekł Ferguson. – Inspektor Bernstein prosiła cię o informacje dotyczące Jacka Barry'ego i Synów Erin.

– Powiedziałem jej wszystko, co wiem. Pewnie sprawdziła to już w bazie danych. Wiem, że to robicie.

– No właśnie. A więc nic nie wiesz o amerykańskich powiązaniach Barry'ego, być może z Białym Domem?

– Gdybym wiedział, powiedziałbym wam.

Ferguson zwrócił się do Blake'a.

– Ty pełnij honory domu. Powiedz mu wszystko.

Kiedy Blake skończył, Carter był dziwnie spokojny.

– Większość tego może być wyssana z palca. Dlaczego wierzyć McGuire'owi? Dlaczego mamy przyjąć, że ten nieszczęsny Doolin mówił prawdę?

– Kiedy Blake był w rękach Barry'ego, ten się chwalił, że ma wspaniałe źródła informacji – przypomniał mu Dillon.

– I na pewno nie kłamał, bo spodziewał się mnie. Wiedział, że nie jestem McGuire'em – wtrącił Blake.

Carter najwidoczniej nie miał nic do powiedzenia i Ferguson przywołał kelnera z szampanem.

– Jeszcze po jednym, panowie. Nawet tobie przyda się kieliszek,

Carter.

– Jeśli tak twierdzisz...

– Teraz najważniejsze. Ta grupa agentów zlikwidowana trzy lata temu przez Jacka Barry'ego. Major Peter Lang i jego towarzysze. Nie wspomniałeś o tym inspektor Bernstein.

– Ponieważ mnie nie pytała. Wszystkie fakty są w komputerze. Jednakże nie ma żadnych dowodów na to, że Barry i Synowie Erin mieli z tym coś wspólnego. Szperaj, ile chcesz, Ferguson, nie ma takich akt. Jeszcze coś? Mam dużo zajęć.

– W porządku. Powiem premierowi, że wykazałeś typową dla siebie chęć współpracy.

Carter zmarszczył brwi.

– Zamierzasz zawiadomić o tym premiera?

– Ty, jak nikt inny, powinieneś rozumieć moje stanowisko. W końcu jesteśmy prywatną armią premiera. Czy nie tak nas nazywacie?

– Niech cię szlag! – wybuchnął Carter i odwrócił się na pięcie.

– No i masz – powiedział Dillon z szerokim uśmiechem. – I co teraz?

– Dziś po południu mam spotkanie z premierem – rzekł Ferguson. – Zabiorę cię ze sobą, żeby mógł wysłuchać twojej opinii, Blake. Ty, Dillon, jak zwykle zostaniesz w samochodzie.

Dillon uśmiechnął się do Blake'a.

– Wszystko po staremu. Znam swoje miejsce.

Kiedy wrócili do Ministerstwa Obrony, zastali Hannah Bernstein siedzącą przy komputerze.

– Masz coś nowego? – zapytał Ferguson.

– Znalazłam jeden ciekawy fakt. Według różnych źródeł, w ciągu ostatnich dwóch lat Służby Specjalne znacznie ograniczyły ilość przekazywanych naszym amerykańskim przyjacielom informacji o działaniach w Irlandii. Wieść niesie, że takie wiadomości regularnie trafiały do rąk Sinn Fein.

– Cóż więc zrobiono? – zapytał Ferguson.

– Och, nadal je przesyłano, ale najwidoczniej jakość przekazywanego materiału pozostawiała wiele do życzenia. Prawdę mówiąc, takie informacje można znaleźć w komentarzach politycznych co lepszych gazet. Od czasu do czasu okraszano to strzępami faktów.

– Jednak bez żadnych szczegółów dotyczących tajnych operacji – wtrącił Dillon.

– Na to wygląda.

– Jeśli takie było oficjalne stanowisko wywiadu – dodał Blake – to chyba powinienes o tym wiedzieć?

– Jestem ostatnią osobą, której by o tym powiedzieli – odparł Ferguson. – Zawsze nienawidzili mnie za uprzywilejowaną pozycję, która pozwala mi na częsty kontakt z premierem. Piętrzą przede mną przeszkody i odmawiają współpracy, jeżeli tylko może im to ująć bezkarnie.

– Znam to – mruknął Blake. – Ja też mam problemy z CIA i FBI.

– Z tego wynika, że Carter i jego ludzie wiedzieli, co się stało trzy lata temu – podsumował Dillon. – Może nie od razu, ale po pewnym czasie.

– Ja też tak sądzę – skinął głową Ferguson i zwrócił się do Hannah. – Proszę ruszyć swoim szkolonym w Cambridge umysłem, pani inspektor.

– Ustaliliśmy dotychczas dwa fakty, proszę pana. Coś sprawiło, że nabrali podejrzeń wobec naszych amerykańskich przyjaciół i zaczęli dostarczać im bezwartościowych i dezinformujących informacji. Sądzę, że od początku wiedzieli, co się stało, ale uznali, że nie są w stanie tego dowieść.

– A drugi fakt?

– To ten, że nie ma takich akt, a przynajmniej już nie ma. Jeśli wicedyrektor tak twierdzi, ja mu wierzę.

– A ty? – zapytał Blake Fergusona.

– Och, tak. Widzisz, oni prowadzą własną grę. Rokowania pokojowe są tak ważne, że postanowili nie niepokoić premiera, ponieważ on powiadomiłby prezydenta, który musiałby jakoś zareagować. W ten

sposób do gry wszedłbyś ty, a potem ja.

– Dranie – mruknął Blake.

– Owszem, a tymczasem niczym nie ryzykowali, dostarczając wam bezużytecznych informacji – rzekł Ferguson. – Podczas drugiej wojny światowej w ten sam sposób oszukiwaliśmy hitlerowską Abwehrę.

– Mimo wszystko człowiek zaczyna się zastanawiać, kto właściwie rządzi tym krajem – powiedział Dillon.

Hannah pokiwała głową.

– I co pan zamierza zrobić?

– Zobaczyc się z premierem. Nie mam wyboru, tak samo jak Blake. Prezydent Cazalet oczekuje na raport w sprawie Barry'ego i nie sądzę, aby Blake chciał zataić przed nim choć część prawdy.

– Otóż to – przytaknął Blake.

– A kwestia udziału wywiadu w tej sprawie? – zapytała Hannah.

– Przecież oni nic o tym nie wiedzą. Nie mają żadnych akt i nigdy o niczym nie słyszeli. Wiadomość o zeznaniach McGuire'a wywołała tylko ich zdziwienie i delikatne aluzje, że to bzdury.

– A jest tak w rzeczywistości? – naciskała Hannah.

– Skądże. Zobacze się z premierem, zapoznam go z sytuacją i od tej pory poprowadzę sprawę wedle własnego uznania.

– I niech Bóg ma w opiece Simona Cartera – dodał Dillon.

Daimler wjechał przez strzeżoną bramę przy Downing Street.

– To nie potrwa długo – powiedział Ferguson.

– Jasne. Jestem przyzwyczajony do czekania, jak tu przyjeżdżamy. – Dillon uśmiechnął się do Blake'a. – Jestem przydatny, kiedy potrzeba rewolwerowca, ale moje towarzystwo jest krępujące dla wielkiego człowieka.

– Na twoim miejscu poczytałbym „Timesa”. To bardzo pouczająca lektura – poradził mu Ferguson i wysiadł, a Blake za nim.

Policjant zsalutował, drzwi się otworzyły i adiutant uśmiechnął się na powitanie.

– Premier oczekuje panów, panie brygadierze, panie Johnson.

Zaprowadził ich na górę, przez galerię portretów wszystkich poprzednich premierów, a później korytarzem. Zapukał do drzwi gabinetu i otworzył je. Premier siedział za biurkiem. Wstał i wyszedł zza niego, żeby uścisnąć dłoń Fergusonowi.

– Witam, brygadierze.

– Panie premierze, kiedy objął pan urząd, omówiliśmy szczególne zasady mojej pracy dla pana. Czy pamięta pan, że wspomniałem, iż prezydent ma podobną sekcję?

– Piwnicę?

– Tak, panie premierze. To jest Blake Johnson, który nią kieruje.

Premier uścisnął rękę Blake'a.

– Usiądźcie, panowie. Wspomniał pan, że to sprawa najwyższej wagi.

– Jak najbardziej – potwierdził Ferguson.

– Proszę mówić.

Kiedy Ferguson skończył, premier milczał przez chwilę, marszcząc brwi.

– Niewiarygodna historia. I co teraz?

– Pan Johnson będzie musiał złożyć raport prezydentowi. Sugeruję, żeby to zrobił, kiedy wrócimy do mojego biura.

– Zgadzam się. Tak się składa, że dziś późnym wieczorem będę rozmawiał z prezydentem o sprawach związanych z procesem pokojowym w Irlandii. Omówię z nim tę kwestię i poinformuję go, że mam całkowite zaufanie do pana i pana Johnsona.

– Czy możemy oczekiwać, że wicedyrektor Służb Specjalnych zmieni swoje stanowisko?

– Jakie stanowisko? – odparł premier z niewzruszoną miną. – Oni nic nie wiedzą. Simon Carter oświadczył to bardzo zdecydowanie. „Nie ma takich akt” – tak powiedział. Dobrze. Wydaje się, iż jest to problem z gatunku tych, których rozwiązywania oczekiwali od pana moi poprzednicy, brygadierze, więc proszę go rozwiązać.

– Daję panu moje słowo, że rozwiążę, panie premierze.

Ferguson i Blake wstali, drzwi się otworzyły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki i odprowadzono ich do wyjścia.

Tak się złożyło, że Blake'owi nie udało się porozmawiać z prezydentem. W końcu połączono go z szefem sekretariatu, który powiedział, że prezydent wygłasza przemówienie w Bostonie. Później wybierał się do swojej posiadłości w Nantucket na trzydniowy wypoczynek. Blake połączył się ze swoją sekretarką, Alice Quarmby, a ponieważ używał specjalnej linii, mógł mówić otwarcie.

– Martwiłam się o ciebie – powiedziała.

– I słusznie. Ten drań Barry wymknął się nam z rąk, ale przedtem prawie mnie załatwił. On kieruje organizacją o nazwie Synowie Erin. Wspominał o nowojorskiej filii. Sprawdź to i zobaczmy, co znajdziesz.

– Już się robi.

– Muszę szybko wracać, więc zobacz, czy jakiś wojskowy samolot odlatuje dzisiaj z Anglii.

– Oddzwonię.

W gabinecie Fergusona kończyła się burzliwa dyskusja. Hannah głośno powiedziała to, co wszyscy myśleli:

– Tutaj nic więcej nie możemy zrobić.

– Tak, wszystko zależy od ciebie, stary – powiedział Dillon. – Ta nowojorska filia Synów Erin. – Uśmiechnął się. – To brzmi jak nazwa jednego z tych irlandzkich pubów.

Blake zmarszczył brwi.

– Wiesz co, to niezła myśl.

– Nadal jednak pozostaje do rozwiązania tajemnica powiązania z Białym Domem – przypomniała mu Hannah. – Tak jak zagadkowe morderstwo w kryminale Agathy Christie.

– Wszystkie te powieściowe zagadki, moja droga, są zawsze bardzo proste – powiedział Ferguson.

– Zabił służący – dodał Dillon.

– Nie, ale zazwyczaj mamy nie więcej niż tuzin ludzi bawiących w domu na wsi podczas weekendu i sprawcą musi być ktoś z nich.

Zadzwoił telefon. Ferguson słuchał przez chwilę, a potem kiwnął głową.

– Proszę zaczekać. – Spojrzał na Blake'a. – Pana sekretarka załatwiła panu transport do Stanów. Znalazła odlatującego dziś wieczorem gulfstreama RAF-u. Mogą wylądować na Farley Field i zabrać pana stamtąd.

– Lecę – powiedział Blake.

– Potwierdzone – rzucił do telefonu Ferguson i odłożył słuchawkę.

– No cóż, to chyba wszystko – uśmiechnął się Dillon. – Teraz wszystko zależy od ciebie, stary. Będziemy czekać z zapartym tchem.

WASYNGTON

NONTUCKET

NOWY JORK

6

Blake wszedł do swojego biura w Białym Domu i entuzjastycznie przywitał się z Alice. W samolocie zdołał się trochę przespać i zjadł jedno z tych ignorujących różnice czasów śniadań, a teraz marzył o prysznicu i zmianie ubrania. Oba te marzenia zrealizował zaraz po wejściu do biura, w którym tak często zostawał na noc, że stale trzymał tam odzież na zmianę.

Kiedy ogolony, wykąpany i ubrany w elegancki granatowy garnitur usiadł za biurkiem, Alice podała mu kawę.

- Ubyło ci dziesięć lat – powiedziała z aprobatą.
- I tak sporo jeszcze zostało.
- Staram się o tym zapomnieć. Opowiedz mi, co się stało.

Blake kierował Piwnicą w bardzo specyficzny sposób.

Miał tylko jednego etatowego pracownika, a była nim Alice. W razie potrzeby korzystał z pomocy ludzi ze swej tajnej listy: przyjaciół z czasów pracy w FBI, zwykle emerytów lub rencistów; ekspertów różnych specjalności, od profesorów uniwersyteckich po starych znajomych z Wietnamu. Piwnica działała jak podziemna organizacja marksistowska oparta na strukturze komórek. Żaden ze współpracowników Blake'a nie wiedział, co robią inni. Wiedziała to tylko Alice, którą teraz zdenerwowała jego opowieść.

- To nie do wiary, że mamy szpiega w Białym Domu.
- Dlaczego nie? Przecież mamy ich wszędzie. W Pentagonie, w FBI,

w CIA...

– W porządku, rozumiem twój punkt widzenia. – Nalała mu drugą filiżankę kawy. – Rzecz w tym, że w dzisiejszych czasach za dużo danych znajduje się w komputerach i mimo wszelkich zabezpieczeń zbyt łatwo się do nich dostać.

– Tak, życie jest ciężkie – rzekł Blake. – A skoro o tym mowa... Czy poczyniłaś jakieś postępy w sprawie Synów Erin?

– Niewielkie. Jack Barry jest w aktach CIA i FBI, ale to jedyna wzmianka o Synach Erin.

Blake siedział, marszcząc brwi.

– Jednak on wyraźnie o nich napomknął. – Blake zaśmiał się. – Właśnie przypomniałem sobie coś, co powiedział Dillon. Mówił, że Synowie Erin to jak nazwa irlandzkiego pubu.

Alice uśmiechnęła się.

– Ciekawe skojarzenie.

– W porządku, podejźmy do sprawy z innej strony. Puby, restauracje, kluby. Zobacz, co uda ci się znaleźć.

– Twoja wola jest dla mnie rozkazem, panie.

Wyszła, a Blake zajął się papierkową robotą.

Wróciła po godzinie. W dłoni trzymała kartkę.

– Mój Boże, to było łatwe, kiedy zajrzałam we właściwe miejsce. Synowie Erin to jeden z irlandzkich klubów. Jest tam bar i restauracja „U Murphy’ego”. W Bronksie.

Blake zapamiętał adres, a potem spojrzął na zegarek.

– Powinienem jeszcze zdążyć na samolot do Nowego Jorku. Zadzwoń, załatw mi miejsce i samochód, a także wynajmij pokój w hotelu. Coś odpowiedniego dla mojego stanowiska.

Wyszła, zaśmiewając się.

Lokal „U Murphy’ego” mieścił się przy Haley Street. Było tuż po trzeciej, gdy Blake zaparkował przed nim samochód. Z zewnątrz

budynek nie wyglądał jak typowy irlandzki pub z zielonymi ścianami i złotymi harfami. Był stary i szacowny.

– Zaczekaj tu, George – powiedział Blake do kierowcy, wysiadł i podszedł do drzwi.

Wnętrze było mroczne i bardzo staroświeckie, z mnóstwem mahoniowych boazerii oraz łóżkami pooddzielanymi od siebie niskimi przepierzeniami. W jednej z tych łóżek dwaj mężczyźni kończyli spóźniony lunch, ale pora obiadowa najwyraźniej już minęła. Barman był stary, co najmniej siedemdziesięcioletni. Miał podwinięte rękawy i okulary na czubku nosa. Czytał dodatek sportowy „New York Timesa”.

– Dzień dobry – zwrócił się do niego Blake. – Poproszę whisky Bushmills z wodą.

– No cóż, przynajmniej ma pan dobry gust – powiedział stary, sięgając po butelkę.

– Powiniennem – odparł Blake – skoro noszę nazwisko Dooley. Pewien znajomy polecił mi to miejsce. Niejaki Barry.

Stary podał mu drinka.

– Nie przypominam sobie takiego.

– Proszę sobie też nalać.

Barman nalał sobie szklaneczkę i opróżnił ją duszkiem.

– Mówił mi, że bywał tu na spotkaniach klubu zwanego Synami Erin.

– Jezu, to było tylko kilku facetów, czterech czy pięciu. Nic szczególnego, tyle że jednym z nich był senator.

– Senator?

– Jasne, senator Michael Cohan. Naprawdę miły gość.

– O, to bardzo ciekawe! A pozostali?

– Och, niech pomyślę... Patrick Kelly prowadził w pobliżu firmę budowlaną... Cassidy miał sieć irlandzkich pubów. Kto jeszcze? – Zmarszczył brwi.

– Jeszcze jednego?

– O, dziękuję. Nie mam nic przeciwko temu. – Nalał sobie drinka,

wypił połowę i skinął głową. – Nazywał się Brady, Martin Brady. Facet ze związku transportowców. Słyszałem, że załatwili go tydzień temu.

– Co się stało?

– Kropnęli go. Ktoś go zastrzelił, kiedy wieczorem wychodził ze związkowej sali gimnastycznej. – Barman nachylił się do Blake’a. – Podobno miał kłopoty z mafią. Rozumie pan, o czym mówię?

– Tak, pewnie... Niech mi pan powie, kiedy spotykają się Synowie Erin? W jaki dzień tygodnia?

– Och, nie spotykają się regularnie. Zachodzą tu od czasu do czasu. Nie byli tutaj już od kilku miesięcy.

– Naprawdę? – Blake położył na ladzie dwudziestkę. – No to chyba się nie spotkamy. Miło się gawędziło. Reszta dla pana.

– Och, dziękuję.

Blake wyszedł na ulicę, wsiadł do samochodu i przez telefon komórkowy połączył się z Alice.

– Zanotuj to. – Podał jej nazwiska członków klubu. – Sprawdź w bazie danych nowojorskiej policji szczegóły morderstwa Brady’ego. Ja teraz jadę do hotelu „Pierre”. Zadzwoń do ciebie za godzinę.

– Dlaczego ja nigdy nie dostaję pokoju w „Pierre”?

– Ponieważ ja jestem bardzo ważną osobą, Alice.

– Wiesz co, to chyba twoje wybujałe ego czyni cię tak atrakcyjnym.

Rozłączyła się.

Siedział w swoim pokoju, jedząc kanapki i popijając je kawą, kiedy oddzwoniła.

– Siedzisz?

– Tak źle?

– Można tak powiedzieć. Chciałam, żebym sprawdziła to morderstwo Brady’ego?

– Tak ci powiedziałem.

– No cóż, przepuściłam ich wszystkich przez komputer nowojorskiej policji, szukając jakiegoś śladu Synów Erin.

– I znalazłaś?

– W pewnym sensie. Nie ma żadnych wzmianek o takiej grupie, ale w bazie jest nie tylko Brady, ale również Kelly i Cassidy.

– Mów dalej.

– Wszyscy zostali zastrzeleni, Blake. Najpierw Brady, załatwiony na ulicy, podobno przez mafię. Trzy dni później Cassidy. Mówiono, że nie chciał płacić haraczu. Kelly trzy dni po nim. Padł ofiarą napadu rabunkowego, kiedy biegł w pobliżu swojego domu w Ossining.

– Mój Boże! – mruknął oszołomiony Blake. – Nic o tym nie słyszałem.

– Pisano o tym w gazetach, ale jako o osobnych sprawach, ponieważ nic ich nie łączyło. Gdybyś się nie dowiedział o istnieniu Synów Erin, nie miałbyś powodu podejrzewać, że coś się za tym kryje.

– To prawda.

– Zawiadomisz policję?

– Jeszcze nie wiem. Co z senatorem Cohanem?

– Nie ma go w policyjnej bazie danych, ale jeszcze żyje. Wczoraj wieczorem wystąpił w programie „Larry King na żywo”.

– I co mówił?

– Och, o procesie pokojowym w Irlandii, jak zwykle. Teraz wszyscy o tym mówią. Wybiera się do Londynu, żeby wtrącić tam swoje trzy grosze i zdobyć parę, głosów swoich irlandzko-amerykańskich wyborców. Co mam robić?

– Weź jedno z tych prezydenckich upoważnień, które mamy w biurze. Mówię o tych in blanco z prezydencką pieczęcią i podpisem. Wystaw jedno kapitanowi Harry’emu Parkerowi i przefaksuj mi tu kopie.

Podał jej numer faksu.

– Kim jest ten gość?

– Wytworem zerowej tolerancji na ulicach poczciwego Nowego Jorku. Kieruje wydziałem zabójstw. Ma świetnych detektywów i niezłe komputery. Znałem go, kiedy byłem w FBI.

– A więc jest ci winien przysługę?

– To bez znaczenia. Kiedy okażę mu upoważnienie, będzie mój. Pozostaniemy w kontakcie.

Potem zatelefonował do Ministerstwa Obrony w Londynie, do Fergusona. Ponieważ w Wielkiej Brytanii była ósma wieczorem, połączono go z mieszkaniem przy Cavendish Square.

– Nie spodoba ci się to – ostrzegł brygadiera, po czym przekazał mu złe wiadomości, włącznie z danymi członków nowojorskiego klubu Synów Erin.

– Najwidoczniej ktoś nie żartuje – powiedział Ferguson.

– Można tak powiedzieć. Zastanawiałem się nad śmiercią Ryana w Londynie. On też był powiązany z Barrym. Czy mógłbyś uzyskać wgląd w akta Scotland Yardu? Wiemy, że zdaniem Dillona zabiła go kobieta, ale zastanawiam się, jakiej użyto broni.

– Zaraz sprawdzę. Oddzwonię za pół godziny.

Połączył się ze Scotland Yardem, a potem z Dillonem.

– Lepiej zaraz tu przyjdź.

Dillon zjawił się po dziesięciu minutach, został wpuszczony przez Kima i wszedł na piętro w chwili, gdy faks Fergusona wypłuł dwie kartki.

– Co się dzieje? – zapytał Dillon.

Ferguson przeczytał wiadomość, a potem oderwał wzrok od kartek i podał mu je.

– Raport z sekcji zwłok Ryana, przeprowadzonej po wyłowieniu go z rzeki. Został zastrzelony z niezwyklej broni. Sam popatrz.

Dillon sprawdził i pokiwał głową.

– Colt kalibru.25. Kobięca broń, ale śmiertelnie niebezpieczna, jeśli używa się pocisków z wydrażonymi czubkami. – Oddał faks Fergusonowi. – I co z tego?

– Właśnie miałem telefon od Blake'a z Nowego Jorku. Znalazł Synów Erin, Dillon, tylko że większość z nich nie żyje. W ciągu paru ostatnich tygodni trzech z nich zostali zastrzeleni.

Dillon gwizdnął.

– O ile wiemy, jedynym pozostałym przy życiu jest senator Michael

Cohan z Nowego Jorku... Jezu! On za kilka dni ma tu przylecieć na jakąś konferencję pokojową w Dorchester. Tylko tego nam potrzeba: amerykańskiego senatora zastrzelonego w Londynie. Premier z pewnością każe nam go pilnować.

– I co teraz?

– Porozmawiam z Blake'em i przekażę mu fakty.

Siedząc w swoim pokoju w hotelu „Pierre”, Blake uważnie wysłuchał brygadiera, a potem przytaknął.

– Porozmawiam z wybitnym specjalistą z wydziału zabójstw, jeśli mi się uda, to jeszcze dziś wieczorem. Oto numer faksu w moim pokoju. Przyślijcie mi materiał, a ja dam wam znać, czego się dowiedziałem. Czy jest tam Dillon?

– Oddaję mu słuchawkę.

– I co ci teraz podpowiada twój irlandzki wąż, przyjacielu?

– No cóż, zna pan to stare powiedzenie. Raz może się zdarzyć, dwa to przypadek, a trzy razy to wrogie działanie. Tu zdarzyło się to cztery razy.

– Naprawdę sądzisz, że zrobiła to jedna osoba? W dodatku kobieta?

– Wiem jedno. Ktoś chciał skasować Synów Erin i czterech z pięciu to niezły wynik. Na miejscu senatora Michaela Cohana poważnie by mnie to zaniepokoiło.

– Mnie też. Będę w kontakcie.

Dillon odłożył słuchawkę.

– No cóż, poczekamy i zobaczymy – rzekł do Fergusona. – Zawiadomi pan premiera?

– Jeszcze nie.

– A Cartera?

– Chrzanić Cartera. Wypij ze mną jednego i wynoś się.

W gabinecie przy One Police Plaza Harry Parker zaczął zbierać się do domu. Miał za sobą ciężki dzień. Trzy strzelaniny powiązane

z narkotykami, sześć męczących przesłuchań i góra papierów. Właśnie zastanawiał się, czy wpaść do swojego ulubionego baru, kiedy zadzwonił telefon.

– Harry, to ty?

– Kto mówi?

– Blake Johnson.

– O, cześć, stary draniu! Nie widziałem cię od sprawy Delaney, czyli od... Kiedy to było... dwa czy trzy lata temu? Mówiono mi, że odszedłeś z FBI.

– Poszedłem w górę. Opowiem ci, kiedy się zobaczymy.

– A kiedy to nastąpi?

– Och, mniej więcej za piętnaście minut.

– Właśnie wychodziłem.

– Harry, a gdybym ci powiedział, że pędzę do ciebie z polecenia prezydenta?

– Odparłbym, że pieprzysz głupoty. – Odpowiedziało mu milczenie i po chwili Parker dodał: – A więc to prawda? Powiedz mi, czym ty się zajmujesz, Blake. – W następnej chwili instynkt nabyty w ciągu dwudziestu pięciu lat pracy na ulicy ostrzegł go i kazał mu zapytać: – O Jezu, w co ja się wpakowałem?

– W coś fascynującego, zapewniam cię. Nastaw kawę.

Harry Parker siedział za biurkiem, rozmyślając. Był to czterdziestoosmioletni, ważący ponad sto dziesięć kilo Murzyn z Harlemu, który ukończył uniwersytet stanowy Columbia i zaraz potem rozpoczął pracę w policji. Zawsze chciał być policjantem i nie miał nic przeciwko nocnym zmianom czy siedemdziesięciogodzinnym tygodniom pracy, ale jego żona miała. Opuściła go przed dziesięcioma laty i poślubiła pastora baptystę z Georgii, ale wcześniej urodziła Harry'emu syna, który został lekarzem, oraz córkę, która robiła drapieżne reportaże dla lokalnej stacji CBS i była samotną matką dwuletniej wnuczki Harry'ego.

Podniósł słuchawkę i zadzwonił do knajpki po drugiej stronie ulicy.

– Cześć, Myra, tu kapitan Parker. Muszę zostać po godzinach.

Przyślij mi tu kanapki, frytki i kawę dla dwóch.

Otworzył szufladę, wyjął paczkę papierosów, zawahał się, a potem zapalił. Powinien rzucić palenie, ale co tam, do licha, zapowiadała się długa noc. Stał przy oknie, spoglądając na deszcz, gdy zadzwonił telefon.

– Kapitanie Parker, przyszedł pan Johnson.

– Przyślijcie go na górę.

Po chwili usłyszał pukanie do drzwi, ale kiedy je otworzył, zobaczył w nich chłopca z restauracji.

– Postaw to tam, na stole – polecił Parker i w tym momencie w drzwiach pojawił się Blake Johnson.

– Hej, co za zapach! Przez cały dzień prawie nic nie jadłem.

– A teraz przyszedłeś mnie obżerać. – Parker odprawił posłańca. – No trudno, siadaj.

Usiedli naprzeciw siebie na fotelach przy niskim stoliku. Blake ugryzł kanapkę.

– Wspaniała.

Parker zdjął pokrywkę z kubka z kawą.

– Nie żałuj sobie. Ja mogę głodować. Wyglądasz obrzydliwie dobrze, więc może mi powiesz, o co chodzi.

Blake wyjął z kieszeni kopertę.

– Przeczytaj.

Sięgnął po drugiego sandwicza. Parker otworzył kopertę i wyjął faks.

– Jezu, to upoważnienie podpisane przez prezydenta.

– Tylko przefaksowana kopia. Oryginał dostarczy ci kurier prezydencki.

Parker był zaskoczony.

– Blake, nigdy nie widziałem takiego dokumentu, tylko o nich słyszałem. Wiem, że już nie jesteś w FBI, ale dla kogo pracujesz? CIA, Secret Service?

– Dla żadnej z nich, Harry. Pracuję bezpośrednio dla prezydenta.

– To znaczy?

– Mój wydział jest specjalny i ściśle tajny, Harry. Odpowiadam wyłącznie przed prezydentem, co wyjaśnia to upoważnienie. W czasie pracy nad tą sprawą nie podlegasz już nowojorskiemu wydziałowi policji ani burmistrzowi. Odpowiadasz tylko przed jedną osobą, a mianowicie przed prezydentem Stanów Zjednoczonych. Zgadzasz się?

– A mam jakiś wybór?

– Nie, ponieważ to kwestia bezpieczeństwa narodowego i twoje doświadczenie zawodowe będzie dla nas bezcenne.

Nagle Harry Parker poczuł się wspaniale. Sięgnął po kanapkę i uśmiechnął się.

– Jestem twój, Blake, jestem twój. Opowiedz mi wszystko.

Później, siedząc z podwiniętymi rękawami przy swoim komputerze, powiedział:

– Wprowadziłem londyńskie dane na temat Ryana. – Postukał palcami w klawisze. – W porządku, teraz sprawdzimy członków klubu Synów Erin.

Deszcz bębnił w szyby, gdy Parker szybko stukał w klawiaturę komputera.

– Numer jeden, Martin Brady ze związku transportowców. Pewnego wieczoru wyszedł ze związkowej sali gimnastycznej i wpakowano mu kulę w podstawę czaszki, gdy nachylił się, by otworzyć samochód. Typowa mafijna egzekucja, a wiemy, że od dawna miał z nimi na pieńku.

– Taak – mruknął Blake. – Tylko czy przy takich okazjach mafia nie naśladuje CIA? Oni zazwyczaj używają broni małego kalibru, na przykład 22.

Parker postukał w klawisze.

– Masz rację, jednak w tym wypadku był to colt 25 i pocisk z wydrążonym czubkiem. – Wyprostował się. – Jezu, niech wróć do danych Ryana. – Po chwili rzekł: – Colt 25.

– Czy to może być zbieg okoliczności? – zapytał Blake.

– Do diabła, nie. Zaraz porównam zdjęcia pocisków, ale czuję, że będą podobne.

– Sprawdźmy pozostałych.

Parker znów zabrał się do roboty.

– Trzy dni później Cassidy wychodzi o pierwszej w nocy ze swojej nowej restauracji w Bronksie. Policyjni informatorzy donosili, że w tej okolicy wymuszano haracze i on był jedną z ofiar. – Znów postukał w klawiaturę i potrząsnął głową. – Kurwa, to nie do wiary. Jego też zastrzelono z colta kalibru 25.

– Sprawdź ostatniego – ponaglił Blake.

Parker zabrał się do roboty.

– Patrick Kelly, milioner i właściciel firmy budowlanej, miał zwyczaj wstawać o szóstej rano i biegać przez godzinę. Znaleziony z kulą w sercu koło własnego domu w Ossining. Zawsze nosił złoty zegarek za piętnaście tysięcy dolarów i złoty łańcuch na szyi. Oba przedmioty zniknęły. – Parker obrócił się do Blake'a. – Uznano go za ofiarę napadu rabunkowego.

– Teraz sprawdź, z jakiej broni go zabito.

Parker zrobił to, zczekał na wynik, a potem skinął głową.

– Pięknie. Ta sama broń w Londynie i w Nowym Jorku. – Spojrzał na Blake'a. – I co o tym myślisz?

– Myślę, że zabójca był bardzo sprytny, jeśli nie brać pod uwagę tego, że używał tej samej broni. Zauważ, że każda śmierć łatwo dawała się wytłumaczyć. Brady mafia; Cassidy ofiara gangsterów wymuszających haracz; Kelly rabunek.

– Tak, to spryciarz, a ponieważ brak wyraźnego powiązania między tymi zabójstwami, gdyby nie ty, moglibyśmy przeoczyć fakt, że zabójca posługiwał się tą samą bronią. Jednak coś mnie w tym dziwi.

– To, że zdaniem moich londyńskich współpracowników Ryana zastrzeliła kobieta?

– Do licha, nie! Chodzi mi o to, że coltem użytym w Londynie posłużono się przy trzech morderstwach w Nowym Jorku. Właśnie to mnie dziwi. Kto w dzisiejszych czasach przechodzi z bronią przez

kontrolę na lotniskach?

Blake pokiwał głową, a potem rozpromienił się.

– Może ludzie latający prywatnymi samolotami, Harry. Ważni i bogaci ludzie, których odprawia się machnięciem ręki.

– Dobry Boże, o co w tym wszystkim chodzi? – zapytał Parker.

– Nic nie mogę powiedzieć, ale obiecuję, że kiedy będę mógł, dowiesz się pierwszy.

– No cóż, piękne dzięki.

– Nic więcej nie mogę ci powiedzieć, Harry. Teraz muszę zobaczyć się z prezydentem.

Blake wstał i wyszedł.

W Londynie było już po północy, ale i tak zadzwonił do Fergusona i zastał go w łóżku.

– Robi się coraz ciekawiej, brygadierze.

Ferguson natychmiast oprzytomniał i usiadł na łóżku.

– Mów.

Blake opowiedział.

– I co o tym sądzisz? – zapytał, kiedy skończył. – Jakaś lojalistyczna organizacja postanowiła załatwić Synów Erin?

– Blake, drogi chłopcze, ze mnie jest stary wyga i od dawna siedzę w tym interesie. Instynkt podpowiada mi, że ta sama broń użyta w Londynie i w Nowym Jorku oznacza jednego zabójcę. Dałbym za to głowę.

– Kobieta? Nie do wiary.

– Jestem dostatecznie stary, aby wiedzieć, że na tym świecie nie ma rzeczy nie do wiary. Zobaczysz się z prezydentem?

– Tak.

– Senator Michael Cohan ma za kilka dni przylecieć do Londynu. Powiedz o tym prezydentowi. Może senator powinien zostać w domu.

– Nowy Jork, Londyn – wzruszył ramionami Blake. – Ostatnio oba te miasta to niebezpieczne miejsca.

W tym samym czasie w melinie na wybrzeżu County Down w Ulsterze Jack Barry pił drinka w kuchni. Zadzwoił telefon komórkowy. Telefonował Łącznik.

– Gdzie się podziewałeś, do diabła? – warknął Barry.

– Jestem zajęтым człowiekiem, przyjacielu. Blake Johnson pojawił się w Waszyngtonie, więc podejrzewam, że mu się wymknąłeś.

– Można tak powiedzieć. Towarzyszył mu Sean Dillon i jakaś pani inspektor. Straciłem dwóch ludzi, ale udało mi się uciec.

– Dobrze. Sądzę, że nikomu nie wspomniałeś o naszej umowie?

– Oczywiście, że nie – skłamał Barry.

– Doskonale. Będę cię informował na bieżąco.

Łącznik skończył rozmowę. Barry zaklął. Denerwowało go to, że tak samo jak inni Synowie Erin nie zna rozmówcy. Znali tylko siebie wzajemnie. Zastanawiał się chwilę, a potem skorzystał z telefonu, żeby połączyć się z senatorem Michaeliem Cohanem. Kilkakrotnie spotkali się w Stanach i znaleźli wspólny język, Cohan uwielbiał mrozące krew w żyłach opowieści o nocnych akcjach, chwałę walki zbrojnej o wolność.

Natychmiast odebrał telefon.

– Kto mówi?

– Barry. Dzwonię nie w porę?

– Tak, mam tutaj przyjęcie. Schowałem się w moim gabinecie. Miałem do ciebie zadzwonić, ale dopiero co wróciłem z Meksyku. Mam złe wieści. Wygląda na to, że Martin Brady został zastrzelony na ulicy. Mówi się, że to robota mafii.

– Co za zbieg okoliczności. Tutaj niedawno oberwał Tim Pat Ryan.

– Ach tak? – zdziwił się senator. – Pamiętaj, że on naprawdę był gangsterem.

– Co z Kellym i Cassidym?

– Nie rozmawiałem z nimi od paru miesięcy. Może powinienem... – W tle dał się słyszeć trzask otwieranych drzwi i pijacki śmiech. – Mój Boże, przyszli i tutaj. Zadzwoię później.

Cohan rozłączył się.

Blake zarezerwował sobie miejsce w odlatującym nazajutrz rano samolocie Air Force. Krótki lot minął bez niespodzianek. Mieli wietrzną marcową pogodę, ale młody major zajmujący się transportem był niezwykle sprawny.

– Szef personelu jest z prezydentem w Nantucket. Kazał nam przywieźć pana helikopterem.

– Lądowanie na plaży? – zapytał Blake.

– Właśnie.

– Do diabła, miałem ich dość w Wietnamie.

– Ja byłem na to za młody, proszę pana. Proszę tędy, mam dla pana kanapki i kawę. Odlot za pół godziny.

Przytrzymał parasol nad Blake'em, który poszedł za nim płytą lotniska.

Stary drewniany dom w Nantucket od lat należał do rodziny Cazaleta. Prezydenta wiązało z nim wiele wspomnień. Spędził tu dzieciństwo, spędzał wakacje i dwukrotnie powracał do zdrowia po ranach odniesionych w Wietnamie. Były też inne, przykre wspomnienia: powolna śmierć chorej na białaczkę żony i niebezpieczeństwo grożące ze strony terrorystów jego córce, cudownej hrabinie Marie de Brissac, o której istnieniu dowiedział się tak późno, a która obecnie wykładała na wydziale sztuk pięknych na Sorbonie.

Uwielbiał tę plażę, nawet w niepogodę. Teraz przechadzał się po niej z Henrym Thorntonem. Za nimi szedł agent ochrony, Clancy Smith, a gładkowłosy retriever prezydenta, Murchison, wbiegał w wodę i z niej wyskakiwał. Wszyscy trzej mężczyźni mieli na sobie sztormiaki chroniące ich przed silnym wiatrem. Fale z rykiem biły o brzeg, dobrze było żyć, a Waszyngton był daleko stąd.

Prezydent przystanął i dwukrotnie machnął ręką, a Clancy, który wiedział co to oznacza, wyjął z paczki Marlboro papierosa, zapalił go pod osłoną płaszcza i podał Cazaletowi.

– Już ci to mówiłem – upomniał go Thornton. – Zrób to przed

kamerami, a stracisz głosy.

– To wolny kraj, Henry. Może to niezdrowo, ale nie czyni mnie złym człowiekiem. – Pochylił się i podrapał Murchisona za uchem. – Co innego gdybym kopnął tego cudownego psa.

W oddali słychać było warkot. Clancy wysłuchał komunikatu przekazanego przez słuchawkę w uchu.

– Leci helikopter, panie prezydencie. To Blake Johnson.

– Dobrze – rzekł Jake Cazalet. – Posłuchajmy, co się stało w Irlandii.

Ruszył pierwszy plażą do odległego domu.

Blake siedział w saloniku naprzeciw prezydenta, a Thornton oparł się o ścianę przy kominku.

– Jak wiecie, rozmawiałem o tym z premierem, ale cała ta historia wydawała się tak niewiarygodna! Na przykład ten cały Barry.

– On jest aż nazbyt realny, panie prezydencie, i przechwalał się, że otrzymuje informacje z Białego Domu. Fakt, że wiedział, kim jestem, i że dla pana pracuję.

– Wygląda na to, że wiedział o wszystkim. Jednak przeciek z Białego Domu? Nie mogę w to uwierzyć.

– Wciąż się to zdarza, panie prezydencie. Proszę zapytać jakiegokolwiek dziennikarza o jego źródła informacji – dorzucił szef personelu. – Nie ma powodu sądzić, że my jesteśmy wyjątkiem.

– I tak łatwo dotrzeć do różnych informacji – powiedział Blake. – W dzisiejszych czasach wszystko można znaleźć w komputerach. Stosuje się rozmaite zabezpieczenia, ale w razie potrzeby mogę uzyskać dostęp do danych CIA w Langley i jestem pewien, że gdyby naprawdę się postarali, mogliby się włamać do bazy danych Piwnicy. Nawet ta rozmowa jest nagrywana.

– Och, Boże, masz rację. Przez to urządzenie, które tu zainstalowałeś, tak? – zapytał prezydent.

– Tak jest, panie prezydencie. Zapis jest przekazywany bezpośrednio do Waszyngtonu.

– Z pewnością w postaci zaszyfrowanej – dodał z lekką ironią szef personelu.

– Zostaje zarejestrowany przez wydział dokumentacji Białego Domu.

– W komputerze – przypomniał Thornton. – A przekleństwem tego systemu jest to, że wszędzie roi się od ludzi, którzy potrafią włamać się do każdego istniejącego komputera.

– A w Białym Domu pracuje wielu ludzi – powiedział Cazalet. – Chociaż ten Łącznik Barry’ego sugeruje jakieś irlandzkie powiązania lub sympatię dla IRA.

– Panie prezydencie, to zbyt szeroki krąg podejrzanych – rzekł Thornton. – Nawet moja matka była z pochodzenia Irlandką. Jako dziecko przyjechała z County Clare. To rodzina mojego ojca była angielska.

– Moja babcia ze strony matki była z Dublina – uśmiechnął się Cazalet i zwrócił się do Blake’a: – A co z panem?

– Panie prezydencie, Johnsonowie to angielska rodzina, ale rozumiem, o co chodzi szefowi personelu. Zawsze powiadano, że około czterdziestu milionów obywateli tego kraju to obywatele irlandzkiego pochodzenia. Gdyby wziąć pod uwagę wszystkich, którzy tak jak pan czy szef personelu mieli w rodzinie jakichś Irlandczyków, to musielibyśmy sprawdzić Bóg wie ilu podejrzanych.

– Sądzę, że większość personelu Białego Domu – wtrącił Thornton.

– Z całą pewnością. Nie muszę dodawać, że zajrzę pod każdy kamień. Jednakże najgorszą wiadomość zostawiłem na koniec.

– Chcesz powiedzieć, że masz jeszcze gorsze wieści? – prezydent pokręcił głową. – Lepiej się nimi podziel ze mną.

Blake zreferował ustalone fakty dotyczące działalności i śmierci Synów Erin, a prezydent i szef personelu wysłuchali ich ze zgrozą. Kiedy skończył, Cazalet rzekł:

– To przechodzi wszelkie wyobrażenie. Czy wszystkie te fakty są znane premierowi?

– Nie wszystkie, panie prezydencie. Brygadier Ferguson uznał, że

powinien zaczekać, aż skończę tu śledztwo.

Cazalet siedział przez chwilę bez ruchu, a potem rzekł do Thorntona:

– Drink zdecydowanie się nam przyda. Nalej mi szkockiej z wodą, bez lodu. Panowie, poczęstujcie się, proszę.

Podszedł do drzwi na werandę, otworzył je i głęboko odetchnął chłodnym powietrzem. Thornton podał mu szkocką.

– Pozwoli pan, że zwrócę na coś uwagę?

– Proszę.

– Mam wrażenie, że zapominamy o senatorze Cohanie.

– Co masz na myśli?

– Wszystko wskazuje na to, że jakiś tajemniczy Łącznik przekazuje Synom Erin tajne informacje dotyczące sytuacji w Irlandii, a Tim Pat Ryan był ich człowiekiem w Londynie.

– I co z tego? – zapytał Cazalet.

– To niebezpieczna organizacja, panie prezydencie. Musi taką być, jeśli kieruje nią Jack Barry. A to oznacza, że senator Cohan też jest niebezpieczny.

– Już o tym pomyślałem – rzekł prezydent. – Czy to on może być Łącznikiem?

– Wątpię – odparł Blake. – Gdyby nim był, czy afiszowałby się tak ze swoją przynależnością do nowojorskiego klubu Synów Erin?

– Słusznie.

Cazalet zmarszczył brwi, a Thornton zapytał:

– Co zrobimy?

– Oficjalnie nic – powiedział prezydent. – Cohan wszystkiego się wyprze i trudno byłoby mu cokolwiek udowodnić.

– Czy może mu pan zabronić wyjazdu do Londynu?

– Po co? Jeśli jest celem, to będzie nim tak samo w Londynie, jak w Nowym Jorku. Ponadto, wbrew temu co opowiada dziennikarzom, nie jedzie tam w moich sprawach. Chce tylko przypodobać się wyborcom.

– Cóż więc będzie? – zapytał Thornton. – Co mamy zrobić?

Prezydent zwrócił się do Blake'a.

– Przede wszystkim powiedz Fergusonowi, żeby poinformował premiera o ostatnich wydarzeniach. We właściwym czasie omówię z nim tę kwestię.

– A senator Cohan?

– Jak brzmi to zgrabne brytyjskie określenie, którego używa Dillon? Przykręcić mu śrubę?

– Tak, panie prezydencie.

– No więc przykręćcie śrubę senatorowi Cohanowi. Przestraszcie go, niech zacznie się miotać, i obserwujcie każdy jego ruch. Jeśli dopisze nam szczęście, czegoś się dowiemy.

– Rozkaz, panie prezydencie. Lepiej już pójdę. Czeka na mnie helikopter.

– Może zaczekać. Zjemy lunch, panowie, a dopiero potem wrócisz do tego niespokojnego świata, Blake.

Okolo trzech godzin później senator Michael Cohan odebrał telefon w swoim nowojorskim biurze.

– To ja – powiedział Łącznik. – Złe wieści, senatorze. Mam wrażenie, że dla Synów Erin nadeszły ciężkie czasy. Wszyscy nie żyją. Brady, Cassidy, Kelly, Ryan. I co ciekawe, wszyscy zostali zastrzeleni z tej samej broni.

Cohan był przerażony.

– To straszne! Nie wierzę. Słyszałem o Bradym i Ryaniu, ale Cassidy i Kelly? Rany boskie, co się dzieje?

– Słyszałeś o ostatnim Mohikaninie? – zaśmiał się Łącznik. – No cóż, ty jesteś ostatnim Synem Erin. Ciekawe, gdzie teraz spadnie topór? A przy okazji, prezydent wie o twoim udziale w tej sprawie.

– Zaprzeczę. Zaprzeczę wszystkiemu. Skąd o tym wiesz?

– Już ci mówiłem. Wiem o wszystkim, co się dzieje w Białym Domu.

– Kim jesteś? Boże, żałuję, że w ogóle się w to wplątałem.

– Stało się, a co do tego, kim jestem, pozostanie to jedną

z największych tajemnic twego życia. Może używam konwertera głosu, może jestem twoim najlepszym przyjacielem albo kobietą. A przy okazji, uważają, że Ryana w Londynie zabiła jakaś kobieta.

– Niech cię szlag!

– W swoim czasie. A teraz słuchaj uważnie. Prezydent kazał Blake’owi Johnsonowi, żeby porozmawiał z tobą, ostrzegł cię o niebezpieczeństwie i poradził ukryć się na jakiś czas.

– Jak mam to zrobić? Za trzy dni mam być w Londynie.

– Tak, wiem. Moim zdaniem powinieneś tam polecieć. Nie sądzę, żeby groziło ci tam większe niebezpieczeństwo niż tutaj, a kiedy tam będziesz, postaram się jakoś rozwiązać nasze problemy.

– Jesteś pewien?

– Oczywiście. Kiedy spotkasz się z Johnsonem, udawaj głupiego. Od czasu do czasu bywałeś tam z nimi na obiedzie, ale nie masz pojęcia, o co chodzi.

– A czyja to sprawka? Pieprzonych protestantów?

– Prędzej brytyjskiego wywiadu. Co oznacza, że w Londynie będziesz bezpieczny.

– Skąd wiesz?

– Ponieważ jesteś amerykańskim senatorem, nie będą próbowali załatwić cię w Londynie.

– Spróbuję w to uwierzyć.

– Dobrze. Będę w kontakcie z tobą. Zajmę się tym.

Henry Thornton odłożył telefon.

Tamtego ogarnęła panika, a człowiek w panice popełnia głupstwa. Cohan stał się teraz niewygodny. Przy odrobinie szczęścia załatwi go ten tajemniczy zabójca. Jeśli nie... może trzeba będzie mu w tym pomóc. Natomiast co do Barry’ego, to na razie zostawi go w spokoju. Najpierw zobaczy, co się stanie z Cohanem.

Podszedł do kredensu i nalał sobie whisky – irlandzkiej, oczywiście. Powiedział prezydentowi prawdę. Jego świętej pamięci matka rzeczywiście urodziła się w County Clare. Natomiast nie wspomniał, że jej przyrodni brat w tysiąc dziewięćset szesnastym walczył w Dublinie

jako ochotnik pod rozkazami Michaela Collinsa, podczas powstania wielkanocnego. Został rozstrzelany przez Brytyjczyków i Thornton dorastał, słuchając opowieści o tym bohaterze.

I nie tylko. W 1970 roku, podczas podyplomowych studiów na Harvardzie, Thornton poznał śliczną katoliczkę z Queen's University w Belfaście. Nazywała się Rosaleen Fitzgerald i była miłością jego życia. Przeżyli razem jeden cudowny rok, złączeni uczuciem wykraczającym poza ramy zwykłego fizycznego pożądania, a potem zdarzyło się nieszczęście. Pojechała do domu na wakacje i znalazła się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie. Zginęła podczas wymiany strzałów między brytyjskimi spadochroniarzami a IRA.

Thornton dogłębnie znienawidził wszystko, co brytyjskie. To uczucie narastało w nim mimo odnoszonych sukcesów. Pieniądze nie miały dla niego żadnego znaczenia. Wreszcie nadarzyła się okazja, żeby się zemścić.

Upił łyk whisky.

– Pieprzę was – mruknął cicho. – Mój dzień nadejdzie.

Następnego dnia Cohan entuzjastycznie przyjął Blake'a w swoim gabinecie na Manhattanie, wysłuchał go, wydając w odpowiednich momentach okrzyki zgrozy i niedowierzania, po czym odprowadził go do drzwi, ponuro potrząsając głową. Przyrzekł, że zachowa w Londynie ostrożność, ale, niestety, musi tam polecieć. Wzywają go ważne sprawy i obiecał.

– Proszę informować mnie o wszystkim na bieżąco – powiedział, ściskając dłoń i patrząc w oczy Johnsonowi.

Blake obiecał mu to. Potem zamienił kilka słów z prezydentem i zadzwonił do Londynu, do Fergusona.

– Co zrobisz? – zapytał.

– Powiadomię premiera. Przekażę mu wszystkie informacje i zaczekam, co ustali w rozmowie z prezydentem.

– A Cohan?

– Mówisz, że prezydent nie zabronił mu lecieć, więc przybędzie tutaj. Będę musiał go ochraniać.

– I jak myślisz, co będzie?

– Jak już ci mówiłem, stary wyga ze mnie i od dawna siedzę w tym interesie. Mam nosa, a instynkt mi podpowiada, że senator zginie w Londynie – odrzekł Ferguson i rozłączył się.

LONDYN

W Compton Place padało. Lady Lang, ubrana w sztormiak i kapelusz przeciwdeszczowy, wybrała się na przejażdżkę. Wiatr nad Morzem Północnym wiał aż od Holandii, pędząc grzywacze łomoczące o kamieniste plaże. Lady Lang kłusowała przez sosnowy las, a na wydmach należących do jej posiadłości ściągnęła wodze klaczy i przez chwilę stała na deszczu.

– Jazda, Dolly – poklepała klacz po szyi. – Wracajmy do domu.

Nie musiała bóść klaczy piętami. Dolly wystartowała jak rakietka, pogalopowała przez sosnowy las, kierowana leciutkimi pociągnięciami za wodze, i przeskoczyła wysoką bramę, jakby brała udział w Wielkiej Narodowej. Helen zajechała pod stajnię, gdzie znalazła Wooda. Główny koniuszy w pobliskiej stadninie koni wyścigowych doglądał także jej koni, nie tyle dla pieniędzy, ile dlatego, że – jak wszyscy tutaj – chciał opiekować się lady Helen.

Przytrzymał ją, kiedy zsiadała z konia.

– Udana przejażdżka, milady?

– Wspaniała.

– Wytrę ją i dam jej trochę obroku.

– Będę wdzięczna.

Podeszła do kuchennych drzwi. Otworzył je przed nią Hedley.

– Znów pani galopowała.

– A co byś chciał. Żebym położyła się i umarła? – Uśmiechnęła się.

– Nie bądź starym nudziarzem. Wezmę prysznic, a potem możesz mnie zawieźć do pubu na lunch.

Kiedy wyszła, Hedley zrobił sobie filiżankę kawy. Usłyszał, jak Wood odjeżdża, podszedł do kuchennych drzwi, otworzył je i stanął w progu, spoglądając na deszcz. To było jak sen – wszystko, co się wydarzyło od tamtej nocy w Wapping, kiedy zabiła Ryana. A potem w Nowym Jorku. Brady, Kelly, Cassidy.

Wzdrygnął się. A co miał zrobić? Pójść do Scotland Yardu? I co by im powiedział? Moja pani zamordowała czterech ludzi odpowiedzialnych za śmierć jej syna i czterech innych osób w Ulsterze? A w dodatku zastrzeliła dwóch oprychów próbujących zgwałcić dziewczynę na Manhattanie? Nie, nawet myślenie o tym to czysta strata czasu.

Nigdy nie robi niczego, co mogłoby ją zranić. Po prostu zbyt wiele dla niego znaczyła. I jeszcze jedno. W Wietnamie zabił wielu ludzi, niektórych ze słusznych powodów, innych nie, ale jednego był pewien. Jeśli kiedyś ten tajemniczy Łącznik wejdzie mu pod lufę, bez wahania naciśnie spust.

Wykapana i przebrana, Helen Lang usiadła w gabinecie przed komputerem. Teraz posługiwała się nim bardzo sprawnie i niebawem miała na ekranie plan podróży senatora Cohana, włącznie z datą przylotu, a nawet numerem jego apartamentu w hotelu „Dorchester”. Najwyraźniej zawsze zatrzymywał się w tym samym pokoju. Przeanalizowała wszystkie fakty, a potem poszła do kuchni, gdzie siedział Hedley.

Zdjęła kożuszek z wieszaka za drzwiami.

– No dobrze, Hedley, jedzenie czeka. Ruszajmy.

Otworzyła drzwi na podwórze i poszła do zaparkowanego w otwartej stodole mercedesa.

W pubie, jak zawsze o tej porze roku, było cicho. Sala barowa miała typowo staroangielski wystrój, posadzkę z wielkich kamiennych płyt

i niskie sklepienie na drewnianych belkach. Na kominku płonęła kłoda drewna, a za długim szynkwasem z dębu znajdował się szereg mosiężnych kraników do rozlewania piwa oraz imponująca bateria butelek. W barze siedzieli tylko czterej klienci, miejscowi stali bywalcy. Powitali ją z entuzjazmem. Jeden nawet zdjął czapkę. Hedley został przyjęty równie dobrze.

Barmanką była Hetty Armsby, kobieta w średnim wieku, a osiemdziesięcioletni staruszek Tom, siedzący na wysokim stołku i czytający „London Timesa”, był jej ojcem.

– Czytasz „Timesa”? – zapytała Helen.

– Lubię być na bieżąco – odrzekł. – Trzeba czymś zająć umysł. W „Time’sie” podają fakty. Na przykład teraz o tych rokowaniach w Irlandii, chociaż nie mam pojęcia, dlaczego mieszają się do tego jankesi.

– Kufel dla Hedleya oraz dla twojego taty i dzin z tonikiem dla mnie – zamówiła Helen u Hetty.

– Zje pani coś?

– Placek owczarza i ten chleb, który sama pieczesz. – Helen wyjęła papierosa, a Hedley podał jej ogień. – Och, sama nie wiem, Tom. Pamiętaj, że ja też jestem jankeską.

– Cóż, to nie pani wina, lady Helen – zachichotał stary.

– Ty stary łobuzie. Tylko popatrz na tę ścianę.

Wisiało na niej szereg oprawionych w ramki czarno-białych zdjęć samolotów. Na kilku były niemieckie dorniere, a na dwóch amerykańskie bombowce B-17 – jeden w falach przypląwu w Horseshoe Bay, a drugi rozbity podczas awaryjnego lądowania, z załogą stojącą obok i ubraną w kombinezony lotnicze.

– Prawda – przytaknął Tom. – To byli wspaniali chłopcy. Przeprowadziliśmy ich tutaj, żeby poczekać na ciężarówki z bazy. Zanim po nich przyjechały, byli pijani jak bele. Po wojnie jeden czy dwaj odwiedzili nas tutaj. Dawno temu. Pewnie już poumierali.

Hetty pojawiła się z tacą.

– Tutaj, lady Helen. Proszę usiąść przy ogniu. Rozstawiła talerze. Lady Helen i Hedley usiedli za stołem i zaczęli jeść.

– Smakuje ci, Hedley?

– Przecież pani wie, że tak – odparł. – Czasem wszystko to wydaje mi się nierealne. Byłem dzieciakiem z Harlemu i ledwie wiązałem koniec z końcem, potem był Wietnam, a po tych wszystkich latach mieszkam w jednej z najstarszych części Anglii i siedzę w pubie żywcem wziętym z powieści Jane Austen, jedząc placek pasterza.

– Z apetytem.

– Uwielbiam to, lady Helen, tak samo jak tych zwariowanych ludzi.

– Oni też cię uwielbiają, więc wszystko jest w porządku.

Skończyli posiłek i Helen zamówiła dzbanek angielskiej herbaty.

– Lepiej ci zrobi niż kawa, Hedley, a chcę, żebyś trzeźwo myślał.

– Dlaczego?

– Senator Cohan przyjeżdża pojutrze do hotelu „Dorchester”.

Zrobił głęboki wdech.

– Naprawdę chce pani to zrobić?

– Oczywiście. – Wyciągnęła z kieszeni plastikową torebkę, otworzyła ją i wyjęła klucz. – Pamiętasz, jak instalowali nowy piecyk w kuchni przy South Audley Street i narobili tyle zamieszania, że zanocowałam w hotelu „Dorchester”? – Uśmiechnęła się. – Jestem tylko słabą kobietą, która lubi wygodę. Oto klucz do apartamentu.

Hedley wziął klucz.

– I co?

– Często chwaliłeś się twoimi licznymi podejrzanymi znajomościami. Kiedy zgubiliśmy patentowe klucze od starej stajni, pokazałeś mi jeden i otworzyłeś nim wszystkie zamki. Powiedziałeś, że dostałeś go od znajomego w Londynie. Zapytałam, czy to ślusarz. Odpowiedziałeś, że niezupełnie.

– To prawda.

– No cóż, jutro wrócimy na South Audley Street. Jak dobrze wiesz, jedną z przyjemności angielskiej arystokracji jest to, że jest się wszędzie

zapraszany. Pojutrze mam się pojawić w sali balowej hotelu „Dorchester”.

Zdążył już pogodzić się z tą myślą.

– Czego pani potrzeba?

– Niech twój znajomy rzuci okiem na ten klucz. Wiem, że to zamek szyfrowy i teraz nie otworzę go tym kluczem, ale zgodnie z tym, co kiedyś powiedział mi drogi Roger. No cóż, jeśli twój znajomy jest taki dobry, jak przypuszczam, to potrafi dobrać do niego wytrych.

Hedley westchnął.

– Skoro tego pani chce.

– Och, jak najbardziej. Nie zawieźdź mnie. A teraz dopij piwo i jedźmy.

Nazajutrz po południu Hedley opuścił stację metra Covent Garden. Jak zawsze była jednym z najbardziej zatłoczonych miejsc w Londynie. Przepychał się przez tłum, aż dotarł do Crown Court, wąskiej uliczki, przy której znajdowało się cztery czy pięć warsztatów. Nad jednym wisiał szyld: „Jacko – ślusarz”. Kiedy Hedley wszedł, zadzwonił dzwonek.

Kotara z tyłu odchyliła się i wyłonił się zza niej siwowłosy Murzyn.

– Niech mnie licho, to ty, Hedley!

– Tak jest, Jacko.

– Musimy za to wypić. – Jacko wyjął spod lady pół butelki szkockiej i nalał ją do dwóch papierowych kubków. – Czy życie to nie zaraza? Ty i mój Bobby dostaliście tu przydział do ochrony ambasady, więc ściągnął mnie tutaj, żebym zamieszkał z nim w Londynie. Potem poleciał na tę przeklętą wojnę w Zatoce i dał się zabić.

– Twoje zdrowie, Jacko. – Hedley wypił whisky. – Zawsze myślałem, że wrócisz do domu.

– A gdzie jest mój dom? Do licha, nadal nieźle gram na puzonie, a w Londynie są lepsze kluby jazzowe niż w Nowym Jorku. Przeszedłeś z interesem?

Hedley pokazał mu klucz.

– Znasz się na takich rzeczach?

Jacko ledwie rzucił okiem.

– Taa, pewnie. To klucz hotelowy. O co chodzi?

– Mógłbyś na podstawie tego dorobić mi wytrych? Taki, którym otworzyłbym każde drzwi w tym hotelu?

– Przyjacielu, nigdy nie przypuszczałem, że zabierzesz się za obrabianie gości w hotelach, ale owszem, mogę zrobić ci taki klucz. Hotelarze myślą, że one są nie do podrobienia, ale tak nie jest, jeśli tylko wiesz, jak się do tego zabrać. Zajmie mi to jakieś pięć minut.

– Dobrze. Zrób to. Nie zajmuję się obrabianiem gości hotelowych, ale bardzo zależy mi na tym kluczu.

– A więc uważaj to za zrobione. – Jacko otworzył butelkę i napełnił kubki. – Napij się jeszcze.

Wrócił za kotarę, a Hedley powoli dopił whisky. Po kilku minutach gospodarz wrócił.

– Masz.

Klucz wyglądał identycznie.

– Czy to zadziała? – zapytał z powątpiewaniem Hedley.

– Gdybym był Żydem, poręczyłbym za to głową, ale ja jestem tylko starym puzonistą z Harlemu, Hedley. Nie wiem, który to hotel, i nie chcę wiedzieć, ale jedno jest pewne. Ten klucz otworzy każde drzwi w tym pieprzonym budynku.

– Ile ci jestem winien?

– Od czego ma się przyjaciół? Używaj go na zdrowie.

Michael Cohan przyleciał z Nowego Jorku do Londynu concordem. Wolał lecieć nim niż jumbo jetem. Każdy by wolał. Trzy i pół godziny spokojnego lotu, wspaniałe jedzenie i darmowy szampan. Fotele były mniejsze, ale rekompensowała to szybkość. Nie puszczano filmu, lecz na tym najmniej mu zależało, gdyż kłębiące się w jego głowie myśli tworzyły własny, niezbyt wesoły scenariusz. Dwukrotnie próbował

połączyć się z Barrym, lecz ten nie odpowiadał, czemu trudno się dziwić. Irlandczyk był w ciągłym ruchu, a jako człowiek uciekający przed policją starał się jak najrzadziej korzystać z telefonu komórkowego.

Wszystko tak strasznie się pogmatwało. Cała ta historia była po prostu idiotyczna. Wyborcy irlandzkiego pochodzenia zawsze byli dla niego najważniejsi, a Brady wspaniale zbierał fundusze dzięki swoim wpływom w związku transportowców. To on poznał Cohana z Kellym i Cassidym.

W tym czasie powszechnie zbierano fundusze dla IRA. Nie tylko w ramach akcji pomocy Noraid. Robiły to rozmaite ugrupowania powiązane z Dublinem. Właściwie wszyscy to robili. Większość Amerykanów irlandzkiego pochodzenia popierała niepodległościowe dążenia Irlandii Północnej. Dla nich członkowie IRA byli bohaterami. Bohaterami romantycznymi.

Wspominał pierwsze spotkania „U Murphy’ego”, pijatyki i śpiewanie patriotycznych pieśni. To było takie ekscytujące, romantyczne, a potem pewnego wieczoru Brady przedstawił mu Jacka Barry’ego, który właśnie przyleciał z Dublina do Nowego Jorku. Prawdziwy, żywy bojownik IRA.

Barry bawił ich opowieściami o potyczkach z brytyjskimi spadochroniarzami, o życiu w podziemiu, a także podpowiedział, w jaki sposób mogliby pomóc. Najważniejszy był Brady, który dzięki swej pozycji w związku transportowców miał kontakty w nowojorskich dokach. Oczywiście stwarzało to możliwości przemytu. Cohan i Kelly zajęli się zbiórką funduszy, a Cassidy zakupem odpowiedniej broni. Cohan pamiętał pierwszy transport: pięćdziesiąt karabinów Armalite przemyconych na portugalskim statku do Irlandii.

Zgodnie z sugestią Barry’ego zaczęli nazywać się Synami Erin i spotykać „U Murphy’ego”, gdzie mieli na stałe zarezerwowany stolik. Wcale się z tym nie kryli, bo i po co. A potem Barry ponownie pojawił się w Nowym Jorku i powiedział im o tajemniczym informatorze, który po raz pierwszy zadzwonił do niego rok wcześniej, gdy Barry

przyjechał w sprawach organizacyjnych i zatrzymał się w hotelu „Mayfair”. Kiedy Barry go zapytał, kim jest, tamten po prostu odparł: „Nazywaj mnie Łącznikiem, ponieważ właśnie nim jestem”.

Zadziwiające, ale dostarczał informacji przekazywanych Waszyngtonowi przez brytyjski wywiad i niezwykle istotnych dla walki w Irlandii Północnej. Powiązania Brady’ego umożliwiły zorganizowanie kanału, którym przerzucano ukrywających się bojowników IRA z Irlandii do Nowego Jorku. W dalszym ciągu przemycano też broń.

Naprawdę poważna działalność zaczęła się, gdy Łącznik przekazał im informacje o operacjach brytyjskiego wywiadu w Nowym Jorku i Bostonie, włącznie z nazwiskami agentów pracujących dla Anglików i toczących tajną wojnę z IRA.

Wówczas Brady, ze swoimi związkowymi kontaktami, oraz Cassidy, jako właściciel firmy budowlanej, okazali się niezmiernie przydatni. Obaj mieli powiązania z mafią. Doszło do wymiany przysług. Zorganizowano kilka wypadków, Brytyjczycy stracili ludzi i nawet nie mogli się poskarżyć. W końcu wcale nie powinno ich tu być. Jednakże w minionym roku Synowie Erin odnosili coraz mniej podobnych sukcesów, a Cohan zawsze trzymał się z daleka od wszystkiego, co miało związek z aktami przemocy.

W razie potrzeby pełnił rolę kuriera i dwukrotnie spotkał się w Londynie z Timem Patem Ryanem. Wszystko grało jak w zegarku, a potem nagle zawaliło się. Mimo to był czysty, niezależnie od tego, co mógł podejrzewać Blake Johnson. Bywał „U Murphy’ego”. I czego to dowodzi? Do diabła, jak mógł być taki głupi! Jednak cała ta sprawa od początku nieuchronnie zmierzała do takiego końca. Teraz już nic się na to nie poradzi. Łącznik obiecał się tym zająć, a dotychczas zawsze dotrzymywał słowa.

Tak więc Brady, Kelly, Cassidy i Ryan nie żyli. Cohan zadrżał, przywołał stewardesę i zamówił następny kieliszek szampana. Usiłował pocieszyć się myślą, że tamci to jedno, ale on jest senatorem Stanów Zjednoczonych. Przecież nie strzela się do senatorów, prawda?

Ferguson ponownie odwiedził premiera w domu przy Downing Street, tym razem z własnej inicjatywy. Premier uważnie wysłuchał sprawozdania brygadiera.

– Oczywiście, jak przypomniał mi prezydent podczas naszej rozmowy, nie możemy podjąć żadnych prawnych działań przeciwko senatorowi Cohanowi. Wprawdzie przynależność do Synów Erin kompromituje go w naszych oczach, ale zawsze może utrzymywać, i tak też czyni, że jego wizyty „U Murphy’ego” miały zupełnie niewinny charakter.

– Racja, panie premierze – skinął głową Ferguson. – Teraz jednak przyleci tutaj i chodzi o to, co mamy z nim robić?

– Spróbujcie utrzymać go przy życiu. W tej sprawie zdaję się całkowicie na pana, brygadierze.

– A wicedyrektor i służby bezpieczeństwa?

– Pan dowodzi tą operacją – powiedział stanowczo premier. – Teraz widzę, że służby bezpieczeństwa nie były w tej kwestii zupełnie szczere i niezbyt mi się to podoba. – Uśmiechnął się. – Zajmuje się pan tymi sprawami od dawna, brygadierze. Teraz chyba rozumiem, dlaczego jeden z moich poprzedników mianował pana na to stanowisko.

– A więc mam wszelkie pełnomocnictwa?

– Zdecydowanie. A teraz proszę mi wybaczyć. Muszę udać się do parlamentu.

Gdy Ferguson wstał, a drzwi za jego plecami otworzyły się, premier dodał:

– Przy okazji, to zebranie w hotelu „Dorchester”, forum dla pokoju w Irlandii, w którym jutro wieczorem weźmie udział senator Cohan... Będę tam o dziesiątej. Pan, oczywiście, również.

Ferguson skinął głową.

– Chyba może pan być tego pewien, panie premierze – powiedział i wyszedł.

Hannah Bernstein i Dillon czekali w daimlerze. Ferguson wsiadł i ruszyli. Kiedy otworzyła się brama, brygadier powiedział:

– Tak jak przypuszczałem, zlecił to nam. Carter ma się nie mieszać.

– A więc wpadniemy po uszy w wiadomo co, jeśli senatora spotka marny koniec – mruknął Dillon.

– Mój drogi chłopcze, zawsze tak było. – Ferguson zwrócił się do Hannah Bernstein. – Kiedy przyleci?

Spojrzała na zegarek.

– Wystartował zaledwie czterdzieści minut temu.

– Dobrze. Sprawdź jego terminarz, pokój w hotelu, limuzynę i tak dalej. Niewiele możemy zrobić, ponieważ działamy zupełnie nieoficjalnie. Nie możemy ostrzec służby hotelowej ani przydzielić mu ochroniarzy.

– Jutro wieczorem podczas obrad forum na rzecz pokoju w Irlandii będzie ich mnóstwo – powiedziała Hannah.

– Oczywiście – zmarszczył brwi Ferguson. – Jednak jestem niespokojny, a wiecie dlaczego?

– Na pewno nam pan to powie – mruknął Dillon.

– No cóż, zaniepokoiłem się, kiedy zastrzelono Ryana, a potem okazało się, że ta sama broń została użyta w Nowym Jorku. Nie sądzę, aby to był spisek czy akcja jakiejś grupy zabójców. Podejrzewam, że mamy do czynienia z jednym sprawcą.

– Mówi pan o tej Irlandce.

– Albo kobiecie mówiącej z irlandzkim akcentem – rzekł Dillon. – W Londynie jest jak igła w stogu siana. A w Zjednoczonym Królestwie mieszka osiem milionów Irlandczyków. Piekielnie liczna grupa.

– No cóż, mam do ciebie bezgraniczne zaufanie, więc możesz zacząć od Kilburn – polecił mu Ferguson.

– A senator Cohan? – spytała Hannah.

– Porozmawiam z nim w swoim czasie. A teraz, ponieważ ten łobuz choć raz ma na sobie marynarkę i krawat, zabieram was do Garrick na lunch.

Tymczasem zaszło kilka wydarzeń, które miały całkowicie zmienić sytuację. Thornton od samego rana zastanawiał się nad sytuacją w Londynie, a im dłużej o niej rozmyślał, tym bardziej był niespokojny. Jaką miał pewność, że tajemniczy zabójca uderzy w Londynie? Żadnej. A przecież Cohan stał się dla Thorntona niewygodny. Trzeba się go pozbyć. O czwartej rano zadzwonił do Barry'ego. Irlandczyk nadal przebywał w melinie w County Down.

– To ja – odezwał się Thornton. – Posłuchaj, mam dla ciebie złe wiadomości. – Tu opowiedział mu całą historię. – Tym strzelcem może być kobieta.

– Naprawdę? No cóż, może Bóg da, że wpadnie w moje ręce. Będzie długo umierała. A więc został tylko Cohan?

– Zgadza się. W dodatku spanikowany. Rzecz w tym, że go zdemaskowano. Prezydent dowiedział się o jego przynależności do Synów Erin od Blake'a Johnsona, a premier od Fergusona. Cohan stał się niepotrzebny.

– Chcesz się go pozbyć?

– Dzisiaj przed południem przyleci do Londynu, żeby wziąć udział w jakiejś konferencji pokojowej, która odbędzie się jutro w hotelu „Dorchester”. Zatrzyma się w tym hotelu. Byłoby miło, gdyby dostał go ten tajemniczy zabójca, nie uważasz? Może trzeba by mu, lub jej, w tym pomóc.

– Chcesz, żebym to dla ciebie zrobił?

– I dla siebie. Mielibyśmy czystą sytuację. Zostalibyśmy tylko my dwaj. Zdaje się, że z Belfastu do Londynu leci się tylko półtorej godziny.

– Nie trzeba tam lecieć – odparł Barry. – Niedaleko stąd jest prywatna lotnicza firma przewozowa, wykorzystująca stare lotnisko z czasów drugiej wojny światowej. Od lat latam z nimi do Anglii. Właścicielem jest dawny lotnik RAF-u, niejaki Docherty, sprytny jak lis.

– A więc zrobisz to?

– Czemu nie? Przynajmniej będę miał jakieś zajęcie. Pada deszcz i nudzę się.

Barry odłożył telefon i spojrzał przez okno. Nie ma potrzeby

wzywać chłopców. To robota dla jednego, błyskawiczny atak i ucieczka. Ponownie podniósł telefon i zadzwonił do Doonreigh, do Docherty'ego.

Kiedy dotarł tam godzinę później, wszystko przesłaniała gęsta kurtyna deszczu. Ledwie dostrzegł przez nią dwa stare hangary z otwartymi drzwiami. W jednym stała cessa 310, w drugim nawa jo chieftain. Barry zaparkował samochód i wysiadł. Miał na sobie tweedową czapkę, jasnobrązową skórzaną kurtkę i dżinsy, a w ręku niósł staromodną torbę podróżną.

Z komina starego baraku unosił się dym. Otworzyły się drzwi i stanął w nich Docherty. Miał pięćdziesiąt lat, ale wyglądał na więcej, ze swymi rzadkimi włosami i pobrużdżoną twarzą. Nosił stary kombinezon RAF-u i ciężkie buty.

– Wejdz, nie stój na deszczu.

W baraku od staromodnego piecyka buchało ciepło, W kącie stało łóżko, pod ścianami kilka szaf, a na środku stół z krzesłami i biurko, na którym leżały porozkładane mapy.

– Jeszcze cię nie złapali, Jack?

– I nigdy im się nie uda. Czy widzę herbatę na piecyku?

– Mam dobrą irlandzką whisky, jeśli chcesz.

– Znasz mnie. Nie w czasie pracy. Chcę być dziś w Londynie, nie później niż o szóstej wieczorem.

– A z powrotem?

– Nie później niż o północy. Możesz to zrobić?

– Wiesz, że mogę zrobić wszystko. Nigdy o nic nie pytam, pilnuję własnych spraw i nigdy cię nie zawiodłem.

– To prawda.

– W porządku. Pięć tysięcy, tyle to kosztuje.

– Pieniądze to nie problem – powiedział Barry. – Nikt nie wie tego lepiej niż ty.

– Świetnie. W Roundhay w hrabstwie Kent jest lotnisko podobne do tego, godzinę jazdy od Londynu. To pusta, wiejska okolica. Korzystałem

już z niego. Zadzwoń do farmera, który jest jego właścicielem. Za tysiąc zostawi ci tam samochód, którym pojedziesz do Londynu. Lewe papiery rejestracyjne i wszystko co trzeba.

– Jeszcze jeden łajdak – mruknął Barry.

– Jak my wszyscy, no nie? Oprócz ciebie, Jack. Ty jesteś rycerskim bojownikiem słusznej sprawy.

– Skopię ci tyłek, Docherty.

– Nie, nie zrobisz tego, ponieważ nie jesteś pilotem.

– A więc dowieziesz mnie tam pomimo kontroli powietrznej?

– Czy kiedykolwiek cię zawiodłem? No, ruszajmy. Nawiasem mówiąc, musimy polecieć chieftainem. Cessna potrzebuje kilku zapasowych części.

Otworzył drzwi samolotu, opuścił schodki, a Barry wszedł za nim na pokład. Docherty zamknął drzwi i zablokował je.

– Polecimy z wiatrem, Jack, więc jeśli dopisze nam szczęście, będziemy tam za dwie godziny. Mamy typową marcową pogodę, ale to dobrze. Nie posikaj się, kiedy zaczną ocierać się o żywoploty. Musimy zejść poniżej zasięgu radaru. Chcesz siedzieć obok mnie?

– Nie, poczytam sobie gazetę.

Docherty zapiął pasy i włączył silniki, najpierw prawy, potem lewy. Samolot wyjechał w deszcz, podkołował na koniec pasa i obrócił się z wiatrem. Docherty zwiększył moc. Maszyna skoczyła naprzód, oderwała się od ziemi i zaczęła piąć się w górę.

Docherty dotrzymał słowa. Po dwóch godzinach i pięciu minutach od chwili startu wylądowali w Roundhay. Chmury wisiały nisko i lało jak z cebra. Opodal stała stodoła z otwartymi drzwiami, a przed nią stary ford escort. Docherty wprowadził samolot do środka i wyłączył silniki.

– A co z tobą? – zapytał Barry, kiedy wysiedli.

– Nic mi nie będzie. Przejdę się na farmę i uiszczę należność.

– Dasz mu tysiąc funtów gotówką?

– On jest z tych, których lepiej nie kantować. Nigdy nie wiadomo, kiedy znów może mi być potrzebny.

Odwrócił się i poszedł przez pas startowy, a Barry wszedł do escorta. Kluczyki były w stacyjce, ale zanim ich dotknął, wyjął ze starej torby browninga i magazynek, załadował broń i schował ją do wewnętrznej kieszeni kurtki. Dopiero potem odjechał.

Dotarł do miasta w niezłym czasie, ponieważ pod wieczór większość pojazdów wyjeżdżała, a nie zmierzała do Londynu. Samochód był kiepski, ale sprawny i nie rzucał się w oczy. Barry po drodze rozmyślał o różnych sprawach. Na przykład o miejscu akcji. No cóż, to było oczywiste, ponieważ Cohan zatrzymał się w hotelu „Dorchester”. Dostanie się tam bez trudu. Potrzebował tylko odpowiedniego ubrania, a tych miał mnóstwo.

Barry od lat posiadał kryjówkę w Londynie. Nie było to mieszkanie, lecz łódź zakotwiczona na Tamizie, w Wapping, w pobliżu schodów Świętego Jakuba. Miał tam wszystko: garderobę i ukrytą broń. Nigdy nikomu nie wspominał o tym. Zawsze pamiętał, co powtarzała mu babcia z Ulsteru, kiedy przyjeżdżała do nich w odwiedzinach. „Pamiętaj, Jack, że tajemnica przestaje być tajemnicą, jeśli znają ją dwie osoby”. Umarła w męczarniach na raka wkrótce po tym, jak wrócił do Ulsteru. Była pacjentką Royal Victoria Hospital w Belfaście, szpitala, w którym z konieczności najlepiej na świecie leczą rany postrzałowe.

W tym czasie on znajdował się już na liście poszukiwanych. Kiedy zapowiedział, że zamierza ją odwiedzić, chłopcy powiedzieli mu, że zwariował, i prosili, żeby tego nie robił. Barry nie posłuchał ich jednak. Wszedł do szpitala tylnym wejściem i ukradł z dyżurki biały kitel lekarza razem z identyfikatorem. Znalazł pokój babki i przez jakiś czas siedział przy niej, trzymając ją za rękę. Nie mogła mówić, ale zdołała wykrztusić:

– Cieszę się, że tu jesteś, Jack.

– Tu jest moje miejsce, babciu.

Potem mocniej ścisnęła jego dłoń.

– Uważaj na siebie, bądź dobrym chłopcem – szepnęła i umarła.

Zapłakał wtedy z żalu i gniewu, a cztery dni później – znów wbrew radom innych – poszedł na jej pogrzeb. Stał w deszczu z browningiem

w kieszeni, marząc o tym, żeby jacyś tajniacy spróbowali go zgarnąć.

Dlaczego? Wielki Jack Barry, lord Barry, odznaczony w Wietnamie Srebrną Gwiazdą, wietnamskim Krzyżem Walecznych i Purpurowym Sercem. Ilu zabił brytyjskich żołnierzy, ilu lojalistów zginęło w wybuchach podłożonych przez niego bomb, chociaż sam był protestantem?

Nigdy nie zapomniał tej staruszki, która tak gorąco go kochała. Nawet teraz, za kierownicą escorta, na jej wspomnienie ścisnęło go w gardle i łzy nabiegły do oczu.

O piątej znalazł się w Londynie, przejechał do Kilburn, zaparkował samochód i znalazł to, czego szukał: pub o nazwie „Michael Collins”. Malowidło na ścianie – trójkolorowa flaga Irlandii oraz Collins z pistoletem w ręku – mówiło wszystko. Barry nie wszedł do baru, ale na podwórze z tyłu domu i otworzył kuchenne drzwi. Przy stole w saloniku siedział siwowłosy mężczyzna w okularach, przeglądając rachunki. Nazywał się Liam Moran i był londyńskim przedstawicielem Sinn Fein. Wytrzeszczył oczy.

– Jezusie, to ty, Jack!

– Jak zawsze. – Barry podszedł do kredensu, odkorkował butelkę whisky i nalał sobie do szklaneczki. – Dzieje się tu coś?

– Do diabła, nie, przecież mamy odprężenie. Brytyjczycy uspokoili się i chłopcy też. Co ty tu robisz, do licha?

– Och, nic szczególnego, jestem tylko przejazdem. W drodze do Niemiec – skłamał Barry. – Pomyślałem, że wpadnę tu i sprawdzę, jak wygląda sytuacja.

Moran był podekscytowany.

– Tutaj panuje spokój, Jack, mówię ci.

– Proces pokojowy – Barry przełknął whisky. – Co za nudziarstwo. Odezwę się – obiecał i wyszedł.

W londyńskiej dzielnicy Kilburn mieszkają głównie Irlandczycy, zarówno republikanie, jak i lojaliści. Czasem można by przysiąc, że się jest w Belfaście. Protestantckie puby z namalowanymi na ścianach podobiznami Williama i Mary są bliźniaczymi odpowiednikami tych, które znajdują się przy Shankhill Road, a knajpy republikanów wyglądają dokładnie tak samo jak te z Falls Road.

Ubrany w czarną kurtkę, szalik i dżinsy Dillon wtopił się w tłum gości jednego z tych ostatnich lokali. Walthera zatknął za pasek spodni, na plecach. Z pewnością natknie się tam na ludzi, którzy go rozpoznają, ale doszedł do wniosku, że nic mu nie grozi. W końcu był wielkim Seanem Dillonem, żywą legendą IRA, cała reszta to tylko plotki. Wziął jednak walthera na wszelki wypadek.

Mimo to nie dowiedział się niczego ciekawego, dopóki nie wyszedł z „Zielonego Kufla”. Przystanął w bramie obok stoiska z gazetami, żeby zapalić papierosa. Skulony za straganem mężczyzna popijał prosto z butelki. Nazywał się Tod Ahern. Otarł usta wierzchem ręki i ze zdumieniem spojrzął na Dillona.

– Jezusie, Sean, to ty.

– A któż by inny?

Tod był już nieźle wstawiony.

– Jak się mają wielkie sprawy? Dopiero co widziałem Barry’ego. Robicie coś razem?

Dillon uśmiechnął się.

– No, Tod, nie wolno mówić o takich rzeczach. Cicho sza. Jack byłby wściekły, gdyby wiedział, że go widziałeś. A przy okazji, gdzie to było?

– Wchodził od tyłu do „Michaela Collinsa”. Pomyślałem, że chce się spotkać z Liamem Moranem. Właśnie zwinąłem stoisko. Przenosiłem się w inne miejsce.

– No cóż, zachowaj to dla siebie. – Dillon wręczył mu banknot pięćofuntowy. – Napij się później za moje zdrowie.

Siedząc przy stole i nadal sprawdzając rachunki, Liam Moran poczuł lekki przeciąg, który poruszył papiery. Restaurator podniósł głowę i zobaczył stojącego w drzwiach Dillona z niezapalonym papierosem w ustach.

– Boże błogosław wszystkim obecnym.

Moran o mało nie popuścił w spodnie.

– Sean, to ty.

– Jak zawsze. – Dillon zapalił papierosa starą zapalniczką zippo. – Słyszałem, że miałeś dzisiaj gościa, Jacka Barry’ego.

Moran z trudem zdołał się uśmiechnąć.

– A któż to nagadał ci takich głupot?

Dillon westchnął.

– Liam, możemy załatwić to po dobroci albo nie. Czego chciał i gdzie teraz jest?

– Sean, to kiepski żart.

Dillon błyskawicznie wyrwał zza paska walthera z tłumikiem i dolny płatek lewego ucha Morana znikł. Krew pociekła po palcach restauratora, który kurczowo ścisnął ranę.

– Teraz przestrzele ci prawe kolano. Będziesz chodził o kulach, może już zawsze.

– Jezu, Sean, nie! – jęknął Moran. – Powiedział mi, że tylko sprawdza, jak wyglądają teraz sprawy w Londynie. Mówił, że jedzie do Niemiec.

– Gadanie – mruknął Dillon. – Ma tu w Londynie kryjówkę. Gdzie?

– A skąd ja mam wiedzieć, Sean?

– Co za szkoda. Straciłeś prawe kolano.

Dillon wycelował, a Moran wrzasnął z przerażenia.

– Przy schodach Świętego Jakuba, koło Wapping. Stoją tam zacumowane łodzie. Jego nazywa się „Griselda”.

– Grzeczny chłopczyk. – Dillon schował walthera. – Chcesz, żebym tu wrócił?

– Jezu, nie.

– To trzymaj język za zębami. Na pewno znasz kogoś, kto opatrzy ci to ucho.

Dillon wyszedł i z minicoopera zadzwonił do Fergusona. Kiedy brygadier się zgłosił, powiedział:

– Chyba trafiłem na złotą żyłę.

– Mów.

Dillon opowiedział. Na koniec dodał:

– Myślę, że jego obecność tutaj nie jest przypadkowa. Co mam zrobić? Załatwić go? Albo może pan wezwać brygadę antyterrorystyczną Scotland Yardu. Oni zrobią z tego trzecią wojnę światową.

– To ostatnia rzecz, jakiej byśmy chcieli. Gdzie jesteś? – Dillon wyjaśnił. – Spotkajmy się przy schodach Świętego Jakuba – zaproponował Ferguson.

– Chyba pan żartuje.

– Dillon, kiedy miałem dziewiętnaście lat, znalazłem się na pierwszej linii w Korei i zastrzeliłem pięciu Chińczyków z browninga. Wysiadywanie za biurkiem w Ministerstwie Obrony zaczyna mnie nudzić.

– O rany, co na to powie Bernstein?

– Moja dbałość o regulamin też ma pewne granice, Dillon. Nie mam zamiaru ciągnąć ją na ryzykowną wyprawę nad Tamizę po nocy i w deszczu, żeby złapać jednego z najgorszych drani w szeregach IRA.

– A więc uważa pan, że pojawił się tu z powodu Cohana?

– Dillon, on kilka dni temu był w Ulsterze, a nagle zjawił się tutaj. Jaki może mieć inny powód? Czekaj na mnie na rogu Wapping High Street i Chalk Lane – rzucił Ferguson i rozłączył się.

Barry zaparkował escorta w zatoczce na końcu Chalk Lane i poszedł w kierunku schodów Świętego Jakuba. Zapadł już zmrok i na rzece oraz na jej brzegach błyskały w ciemności światła. Skręcił i poszedł brzegiem starej przystani, mijając parę statków wyglądających na nieużywane latarniowce.

Na końcu znajdował się niewielki basen ze sterczącymi wokół dźwigami i opuszczonymi magazynami. Po jednej stronie stała tylko jedna łódź mieszkalna, „Griselda”, po drugiej cztery inne. Na dwóch paliły się światła świadczące o tym, że ktoś tam mieszka. Z łodzi na brzeg biegł przewód elektryczny i rura wodociągowa.

Barry korzystał z tej kryjówki już od trzech lat, a ostatni raz był tu pół roku temu. Wracając tutaj, zawsze się spodziewał, że zostanie ją splądrowaną, ale nigdy się to nie zdarzyło. Być może łódź stała w zbyt odsłoniętym, widocznym miejscu albo chroniła ją obecność innych łodzi.

Przeszedł po trapie, znalazł ukryty w zęzie klucz, otworzył nim stalowe drzwi. W środku, po lewej, znajdował się włącznik. Barry, naciskając go, zapalił lampę na schodach, a jednocześnie włączył światła pozycyjne na dziobie i rufie. Zszedł pod pokład i na samym dole włączył następne światło. Znalazł się w zadziwiająco obszernej kabinie z bulajami po obu stronach. Był tam stół, ławy, a także wnęka kuchenna ze zlewem i kuchenką elektryczną. Barry napemnił dzbanek wodą i przeszedł do sypialni.

Położył na koi torbę podróżną i wyciągnął z niej przybory toaletowe oraz karton papierosów. Otworzył jedną paczkę, wyjął papierosa i zapalił. Potem sprawdził zawartość szafy. Były w niej ubrania w plastikowych zapinanych workach, buty, nowe koszule w torbach od Marksa&Spencera, bielizna, skarpetki, wszystko, czego potrzebował.

Czajnik zagwizdał. Barry wyłączył kuchenkę, usiadł przy stole i zadzwonił do hotelu „Dorchester”.

– Z senatorem Cohanem – poprosił, gdy zgłosiła się telefonistka.

– Mogę wiedzieć, kto prosi?

– George Harrison z ambasady amerykańskiej.

Po chwili zgłosił się Cohan.

– Pan Harrison?

Barry roześmiał się.

– To ja, ty głupku, Barry.

– Jack? – Cohan też się zaśmiał. – Gdzie jesteś?

– Nadal w Ulsterze – skłamał Barry. – Rozmawiałem z Łącznikiem.

Przekazał mi złe wiadomości. Chociaż dla grabarzy pewnie są dobre.

Cohan wzdrygnął się.

– Zawsze ze wszystkiego żartujesz.

– Jak mawialiśmy w Wietnamie, jeśli nie znasz się na żartach, nie powinienes się zaciągać. Spójrz na dobre strony tej sytuacji. Siedzisz sobie w luksusowym hotelu, gdzie dbają o wszystkie twoje wygody. Wyrwałeś się na chwilę z Nowego Jorku.

– Łącznik powiedział, że zajmie się wszystkim. Masz pojęcie, że jego zdaniem Ryana załatwiła kobieta? Czy to nie zwariowany pomysł?

– No cóż, dobra wiadomość to ta, że za godzinę ruszam do Nowego Jorku. Dlatego do ciebie dzwonię. Łącznik chce, żebym pomógł tam uporządkować ten bałagan.

– Naprawdę?

Barry łągał jak z nut.

– Zaraz jadę na Shannon. Stamtąd polecę do Nowego Jorku.

– Miejmy nadzieję, że zdołasz się z tym uporać.

– Będziemy w kontakcie. Dam ci znać, gdzie się zatrzymałem. Jaki jest twój numer pokoju? – Cohan podał mu numer. – Dobrze. Wychodzisz gdzieś dziś wieczorem?

– Nie, muszę odpocząć. Jutro czeka mnie ciężki wieczór.

– Masz rację. Trzymaj się.

Cohan, odkładając słuchawkę, czuł głęboką ulgę. Otworzył butelkę

darmowego szampana i nalał sobie kieliszek. Jeśli ktoś potrafi uporządkować ten cholerny bałagan, to tylko Barry.

Barry wyjął doskonale skrojony czarny garnitur, białą koszulę i krawat w paski. Położył wszystko na łóżku, wrócił do salonu, ponownie zagotował wodę w czajniku i zaparzył w dzbanku kawę. Kiedy była gotowa, wyszedł na pokład i stojąc przy relingu, zastanawiał się nad sytuacją.

Wiedział już, jak to zrobi. Wejdzie do hotelu bez żadnego problemu. W końcu będzie wystrojony jak gość z reklamy whisky i poda numer pokoju Cohana. Potem wystarczy zapukać do drzwi, załatwić faceta i wyjść. Jeśli powiesi na drzwiach wywieszkę „nie przeszkadzać”, znajdą ciało dopiero po kilku godzinach, może nawet rano.

Ta myśl poprawiła mu humor. Wrócił na dół. Zdjął kurtkę, wepchnął browninga za pasek spodni i raz jeszcze nastawił czajnik. Obejrzał ubranie, wyjął koszulę z plastikowego opakowania i rozłożył ją na łóżku. Czajnik zaczął gwizdać, ale Barry rozmyślił się i nie zaparzył nowej kawy. Wyłączył kuchenkę, znalazł w szafce butelkę szkockiej, napełnił nią papierowy kubek i wyszedł na pokład.

Znowu zaczęło padać, srebrne strugi deszczu lśniły w żółtym świetle lamp pozycyjnych. Barry stał pod lekko rozdartym daszkiem i wdychał zapach rzeki i wilgoci, czując jakąś niewytłumaczalną tęsknotę. Usłyszał ciche kasznięcie i odwrócił się, wsuwając dłoń pod kurtkę i chwytając rękojeść browninga.

Na końcu trapu stał jakiś człowiek z otwartym parasolem w ręku i uśmiechał się do niego.

– Pierwszy raz się spotykamy, panie Barry. Nazywam się Ferguson.

Na skrzyżowaniu Wapping High Street i Chalk Lane czekający w mi-nicooperze Dillon wypatrywał daimlera, był więc kompletnie zaskoczony, gdy Ferguson wysiadł z czarnej taksówki i zapłacił

kierowcy. W rękę trzymał parasol, którego nawet nie otworzył, tylko przekroczył chodnik i wsiadł do samochodu Dillona.

– Paskudna noc.

– Pan jeździ taksówką? Nie do wiary. Pewnie dopisze pan to do służbowych wydatków?

– Nie żartuj sobie, Dillon. Co zamierzasz?

– Nie mam zielonego pojęcia. Ma pan broń?

– A jak sądzisz? – spytał ze znużeniem Ferguson i pokazał mu starą automatyczną trzydziestkę ósemkę smith&wesson. – Mam też to – dodał, wyjmując z kieszeni kajdanki.

– Jest pan optymistą, staruszk.

– No dobrze, bierzmy się do roboty – powiedział Ferguson, wysiadając i otwierając parasol.

Ramię w ramię przeszli przez Chalk Lane, chowając się pod parasolem brygadiera. Kiedy dotarli do portu, schronili się na chwilę w bramie jakiegoś starego magazynu.

– Jedna łódź z tej strony, cztery z drugiej – szepnął Ferguson. – Światła palą się na tej bliższej i dwóch z pozostałych. Która jest jego?

Dillon wyjął z kieszeni małą lornetkę.

– Noktowizyjna. Cud współczesnej nauki. – Obejrzał pierwszą łódź i oddał lornetkę Fergusonowi. – Niech pan spojrzy.

Ferguson spojrział i zobaczył zielony, ale bardzo wyraźny obraz łodzi z wymalowanym na dziobie napisem „Griselda”.

– Wspaniała rzecz. Przydałaby mi się wtedy w Korei. Jaki masz plan?

– Ja jestem zwolennikiem prostych rozwiązań, a skoro tam się palą światła, zakładam, że to Barry.

– A zatem?

Dillon ponownie przyjrzał się „Griseldzie”.

– Nie sądzę, żebyśmy do czegoś doszli, wchodząc na pokład i wołając do zejściówki: „Wychodź z podniesionymi rękami!”. Zauważyłem, że na rufie jest luk.

Tylko że z pewnością narobisz przy tym hałasu, Dillon. Mówię 0

otwieraniu luku, który może być zamknięty również od wewnątrz.

– Brygadierze, więcej optymizmu. Pójdę tam, a pan niech zaczeka tu na mnie.

– Och, rozumiem, próbujesz trzymać starego z daleka, co?

Dillon nie raczył odpowiedzieć, po prostu wręczył mu noktowizor i wtopił się w ciemność pod murem magazynu. Ferguson nastawił ostrość, zobaczył, jak Dillon przechodzi przez reling na rufie i zbliża się do luku, po czym podnosi pokrywę i wślizguje się do środka.

Gdy Ferguson odjął od oczu noktowizor, na pokładzie pojawił się Jack Barry. Ferguson przyjrzał mu się, dostrzegł papierowy kubek w ręce i wystającą zza paska kolbę browninga. Pomyślał o Dillonie skradającym się po nieznanym mu terenie i podjął decyzję. Schował noktowizor do kieszeni, wyjął broń i trzymając ją za plecami, ruszył wzdłuż wybrzeża. Przystanął przed trapem, w drugiej ręce dzierżąc parasol.

– Pierwszy raz się spotykamy, panie Barry. Nazywam się Ferguson.

Ferguson ruszył po trapie i wyjął zza pleców rękę, w której trzymał trzydziestkę ósemkę.

Wyatt Earp, słynny amerykański szeryf, powiedział kiedyś, że zdobył sławę rewolwerowca, kiedy młody kowboj próbował strzelić mu w plecy. Earp odwrócił się i odruchowo strzelił z pięćdziesięciu kroków, nie celując, i wytrącając chłopcu broń z ręki najzupełniej przypadkowo.

Teraz Jack Barry zrobił to samo. Wyrwał zza paska browninga z tłumikiem i strzelił z biodra. Pocisk trafił w pistolet Fergusona i wytrącił mu go z ręki. Prześlizgując się przez luk przy kabinie prysznic, Dillon usłyszał słowa brygadiera, wyjął walthera, przebiegł przez salonik i dopadł Barry'ego w momencie, gdy Ferguson upadł na pokład.

Dillon wbił lufę wattera w plecy Barry'ego.

– Rzuć to, Jack, albo przestrzelę ci kręgosłup.

Barry zastygł.

– O, Sean, to ty.

Ferguson podniósł się.

– Wszystko w porządku, brygadierze? – zapytał Dillon.

Ferguson trzymał się za krwawiący przegub.

– To tylko draśnięcie. Nic mi nie jest.

Barry pochylił się i położył browninga na pokładzie, a potem wyprostował się i uderzył Dillona łokciem w twarz, jednocześnie obracając się, tak że wystrzelona z walthera kula trafiła w pokład. Dillon upuścił broń i zwarli się w morderczym uścisku. Barry stracił równowagę i przeleciał przez reling, pociągając za sobą przeciwnika.

Woda była lodowato zimna, a prąd bardzo silny. Dillon kopniakiem odepchnął Barry'ego i wynurzył się na powierzchnię. Prąd rzucił go na napięty łańcuch kotwiczny i Dillon złapał się stalowych ogniów. Obrócił się i zobaczył unoszonego przez fale Barry'ego.

– Pieprzę cię, Dillon! – wrzasnął Irlandczyk i znikł.

Dillon zebrał siły, a potem podciągnął się na łańcuchu do burty „Griseldy” i chwycił wmurowaną w brzeg drabinę.

– Dillon? – zawołał Ferguson.

– Jestem – odpowiedział Dillon, wychodząc na górę.

Usiadł na brzegu, ociekając wodą, a Ferguson zapytał:

– Myślisz, że rzeka go zabrała?

– Tylko kawałek dalej, brygadierze. Uwierzę, że nie żyje, kiedy strzele mu z bliska między oczy, nie wcześniej.

– I co teraz?

– Zejdźmy pod pokład. Jestem przemoczony i przyda mi się suche ubranie.

Dillon wszedł pod prysznic, rozebrał się i wytarł ręcznikiem. Potem w sypialni włożył czystą bieliznę, dżinsy oraz o wiele za duży sweter i dołączył do czekającego w salonie Fergusona. Ruchem głowy wskazał czarny garnitur, białą koszulę i krawat.

– Ładny strój, brygadierze. Jeśli chce się wejść do takiego eleganckiego hotelu jak „Dorchester”, trzeba się odpowiednio ubrać.

– Nie sądzisz, że on leży na dnie Tamizy?

– Raczej na jej drugim brzegu, ale nie pojawi się już w hotelu. Widzi pan, Jack nie jest patriotą, tylko bardzo praktycznym człowiekiem i nie ma zamiaru wylądować w brytyjskim więzieniu. Próbował, ale nie udało mu się. Trudno.

– Wiem. To dziwne, Dillon. Kiedy powiedziałeś mi, że tu jest, doszedłem do wniosku, iż na pewno z powodu Cohana. Nie przychodził mi do głowy żaden inny powód, dla którego miałyby przyjeżdżać tu z Ulsteru. Tylko dlaczego? Barry kieruje Synami Erin. Dlaczego miałyby zabijać ostatniego członka nowojorskiego oddziału tej organizacji?

– Ponieważ Cohan stanowi problem dla pana i dla prezydenta. Może także dla Łącznika.

Ferguson nagle poweselał.

– Mój drogi chłopcze, czasami wykazujesz zdumiewającą umiejętność trafiania w sedno sprawy. Chodźmy.

– A łódź? – zapytał Dillon.

– Dokądkolwiek się uda, jeśli nadal chodzi po tym świecie, na pewno nie wróci tutaj. Zgaś tylko światło. Jutro przyślę tu ekipę dochodzeniową.

Ale Ferguson mylił się. Barry wypłynął przy schodach Świętego Jakuba. Wszedł po drabince i ruszył z powrotem w kierunku portu. Łódź nadal była oświetlona. Skulił się w ciemności, mokry i zziębnięty. Po pewnym czasie światło na dole zgasło i Ferguson z Dillonem wyszli na pokład. Zgasili światła pozycyjne, zeszli na brzeg i odeszli, pograżeni w rozmowie.

Kiedy ich głosy ucichły w oddali, Barry przebiegł po trapie, wszedł pod pokład i pośpiesznie rozebrał się. Wytarł się ręcznikiem, włożył suchą odzież, a potem skórzaną kurtkę. Telefon komórkowy nadal tkwił w jednej z jej kieszeni. Barry sięgnął pod ławkę, wyjął luzną deskę, pogmerał w schowku i wyciągnął rewolwer. Wsunął go do kieszeni i wyszedł, gasząc za sobą światła.

Szedł w deszczu, wcale nie przygnębiony, zaśmiewając się w głos. Co za drań z tego Dillona! A po tych wszystkich latach miło było poznać wreszcie Fergusona. W końcu to tylko gra. On o tym wiedział, Dillon i Ferguson wiedzieli także, ale czy rozumiał to Łącznik?

Barry doszedł do escorta, wsiadł i odjechał.

Dillon zatrzymał samochód na Cavendish Square, przed domem Fergusona.

– To chyba oznacza, że teraz nie musimy już się martwić o Cohana do końca jego pobytu w Londynie.

– Skąd wiesz?

– Nasz Jack nie jest samurajem i nie zamierza popełnić samobójstwa. Teraz już wie, że go szukamy, więc jeśli miał zamiar załatwić Cohana, to zrezygnuje z niego.

– Skoro tak twierdzisz.

– Poczekamy, zobaczymy.

– A nasza tajemnicza zabójczyni, ta twoja kobieta?

– Również poczekamy i zobaczymy.

Ferguson pokiwał głową.

– O dziewiątej w moim biurze.

Wysiadł, a Dillon wychylił się przez okno.

– Charles? Da pan sobie opatrzeć tę rękę, prawda? Mam nadzieję, że nie będzie pan próbował zachować w tej sprawie typowo angielskiego stoicyzmu.

Ferguson uśmiechnął się.

– Nie martw się, Sean. Nie jestem głupi. Jedź już.

Dillon odjechał.

Kiedy Barry wyjeżdżał z Londynu, pogoda była straszna. Lało jak z cebra. Mimo to z jakiegoś powodu nie opuszczał go dobry humor. Zatrzymał się przed zajazdem „Little Chef” przy autostradzie, zjadł solidne angielskie śniadanie i kupił w sklepiku butelkę szkockiej.

Wypił jedną czwartą jej zawartości po drodze do Roundhay, gdzie zastał pas startowy – ciemny i cichy. Tylko w stodole paliło się światło. Wjechał do środka i zaparkował wóz obok chieftaina. Docherty siedział na stołku i czytał gazetę.

– Dobrze poszło, Jack? – zapytał.

– Nie pytaj, tylko zabierz mnie stąd. Możesz to zrobić?

– Jestem do usług.

Dziesięć minut później samolot wzbił się w ciemne niebo. Barry usiadł z tyłu, znów odkorkował butelkę whisky i napił się. Potem wyjął telefon komórkowy i zadzwonił do Łącznika.

– To ja, Barry.

– Gdzie jesteś?

– W powrotnej drodze z Anglii do Irlandii. Siedzę w małym samolocie, tylko dlatego, że miałem fart.

– Mów.

Barry zdał relację.

– Rany boskie – rzekł Thornton. – Skąd dowiedzieli się o twojej łodzi?

– Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że wiedzieli o niej, i mam szczęście, że udało mi się stamtąd uciec.

– A Cohan?

– Wygląda na to, że on też miał szczęście – odrzekł Barry i wyłączył się.

Dillon zadzwonił z biura o dziesiątej i wyrwał Blake'a ze snu. W Waszyngtonie była dopiero piąta rano.

– Rany boskie, Sean, spójrz na zegarek!

– Robię ci grzeczność, Blake. Moja opowieść jest lepsza od hollywoodzkiego dreszczowca. Poczujesz się rześki jak ptaszek, zbiegniesz w dresie do kuchni, wypijesz świeży sok pomarańczowy i zaczniesz się zastanawiać nad godziną joggingu.

– Akurat!

– Posłuchaj.

Kiedy Dillon skończył, Blake jęknął:

– Boże dopomóż, jest coraz gorzej!

– Nie musisz mi mówić. Będziemy w kontakcie – obiecał Dillon i odłożył słuchawkę.

Lady Helen Lang biegała w Hyde Parku. Była dziesiąta trzydzieści następnego ranka. Usiadła na ławce nad stawem i odpoczywała. Nie była zdyszana, czuła się doskonale. Myślała o wieczornym spotkaniu w hotelu „Dorchester” jak o czekającej ją bitwie. Podjęła już decyzję i nie miała żadnych wątpliwości. Cohan powinien skończyć tak samo, jak pozostali członkowie klubu. Była realistką i wiedziała, że ma niewielkie szanse kiedykolwiek dopaść Jacka Barry'ego czy Łącznika. Jednak pocieszała ją myśl, że wymierzyła sprawiedliwą karę większości

morderców. Będzie jej lżej na sercu, kiedy następnym razem położy kwiaty na grobie syna.

Ktoś zawołał jej imię. Podniosła głowę i zobaczyła nadchodzącego Hedleya.

– Pomyślałem, że sprawdzę, jak się pani miewa.

– To miło z twojej strony.

Wstała i nagle zaparło jej dech. Złapała się za pierś, usiadła i próbowała wyjąć z kieszeni plastikową fiolkę z proszkami, ale upuściła ją na ziemię. Hedley podniósł fiolkę, usiadł obok lady Helen i otworzył opakowanie.

– Bardzo boli?

Oczywiście okłamała go.

– Nie, nie, tylko przez chwilę zakręciło mi się w głowie.

Wysypał sobie na dłoń dwa proszki. Wzięła je i połknęła.

– Już mi lepiej.

– Tak nie można, lady Helen.

Poklepała go po kolanie.

– Filiżanka herbaty postawi mnie na nogi, Hedley. Zabierz mnie do kawiarni naprzeciwko.

Wstali i wzięła go pod rękę.

W swoim biurze w Ministerstwie Obrony Ferguson omawiał z Dillonem i Hannah Bernstein wydarzenia ubiegłej nocy.

– Typowo idiotyczny przejaw wybujałego męskiego ego – rzuciła gniewnie Hannah. – W pana wieku, brygadierze!

Ferguson, z prawą ręką owiniętą bandażem elastycznym, odparł:

– Przyjmuję słuszną nagane, pani inspektor.

– Boże, wspaniale wyglądasz, kiedy się złościś, dziewczyno – powiedział jej Dillon. – Masz iskry w oczach i rumieńce na policzkach.

– Och, idź do diabła – odparła. – Tę operację powinna przeprowadzić brygada antyterrorystyczna. Gdyby uzbrojeni policjanci obstawili teren, złapalibyśmy go. Jednego z najbardziej poszukiwanych

irlandzkich terrorystów.

– I bylibyśmy na pierwszych stronach wszystkich gazet, a tego nie chciałem – przypomniał jej Ferguson. – To była moja decyzja.

Zadzwoił telefon. Sekretarka zawiadomiła Fergusoną:

– Ktoś z Ulsteru. Jakiś Jack Barry.

Ferguson nacisnął przycisk głośnika, żeby Dillon i Hannah mogli słyszeć rozmowę.

– Jack Barry. Niech zlokalizują, skąd dzwoni.

– Nie mogą, brygadierze. Dzwoni z telefonu komórkowego.

– W porządku, więc połączcie mnie z nim.

Głos brzmiał zadziwiająco wyraźnie.

– Czy to pan, Ferguson?

– A któż by inny?

– Chciałem tylko pana zawiadomić, że nie utonąłem w Tamizie i bezpiecznie wróciłem do domu. Ma pan szczęście. Myślałem, że pana dostałem.

– Nie udało ci się. Wytrąciłeś mi tylko broń z ręki. Niezły strzał.

– Czy jest tam Dillon?

– Oczywiście.

– Do zobaczenia w piekle, Sean! – Barry roześmiał się i zakończył rozmowę.

– Co za drań – powiedziała Hannah Bemstein. – W co on gra, dzwoniąc tu z takimi głupimi gadkami? Teraz mamy pewność, że żyje. Przedtem tego nie wiedzieliśmy.

– Dla niego to tylko gra – powiedział jej Dillon. – Mógłbym też dodać, że zdaniem niektórych facet jest zupełnie stuknięty i nigdy nie postępuje tak, jak nakazuje rozsądek.

– Chyba jedynym plusem tej sytuacji jest to, że senator Cohan nie zostanie zastrzelony w Londynie.

– Naprawdę tak uważasz? – Ferguson pokręcił głową. – Nigdy nie podejrzewaliśmy, że Barry zastrzelił tamtych. Jeżeli jego celem był Cohan, to znaczy, że senator stał się niewygodny. To jedyne logiczne wytłumaczenie. Nie, uporaliśmy się tylko z jednym zagrożeniem,

przynajmniej chwilowo. Drugie, ze strony naszego tajemniczego zabójcy, pozostaje aktualne. – Podniósł słuchawkę. – Połączcie mnie z hotelem „Dorchester”, z senatorem Michaelem Cohanem.

Nie wyłączył głośnika. Po chwili usłyszeli głos Cohana:

– Michael Cohan. Z kim mówię?

– Tu Charles Ferguson. Sądzę, że pan wie, kim jestem.

– Tak, wiem i nie mam ochoty z panem rozmawiać.

– Niech mi pan wierzy, senatorze, ta rozmowa leży w pańskim interesie.

– Jestem senatorem Stanów Zjednoczonych i przybyłem tu na życzenie prezydenta – skłamał Cohan. – Jeśli nadal będzie mnie pan niepokoił, poskarżą się premierowi – zagroził i z trzaskiem odłożył słuchawkę.

– Co za temperament – rzekł Dillon. – I co teraz?

– No cóż, pójdziemy na lunch.

Giuliano, kierownik „Fortepianowego Baru” w hotelu „Dorchester”, powitał ich entuzjastycznie. Ferguson bywał tutaj od ponad dwudziestu lat, Dillon dopiero od niedawna, ale regularnie. Hannah Bernstein, oczywiście, również była mile widziana. Jak każdy Włoch, Giuliano podziwiał kobietą urodę i rozum, a Hannah z pewnością nie brakowało ani jednego, ani drugiego. A w dodatku była starszym inspektorem Wydziału Specjalnego Scotland Yardu i potrafiła celnie strzelać. Giuliano czytał o niej w gazetach. Kilka lat temu szła w kierunku Grosvenor Street, kiedy na ulicę wybiegła jakaś kobieta, krzycząc, że uzbrojeni bandyci napadli na sklep. Tego dnia Bernstein obstawiała amerykańską ambasadę, miała więc przy sobie broń i udaremniła zamiary napastników, przy czym jednego z nich, uzbrojonego w obrzyna, zastrzeliła.

Giuliano uroczyście ucałował ją w oba policzki i poradził, co powinni zamówić. Domowego wyrobu cannelloni nadziewane serem mozzarella i szynką. Do tego gnocchi di patate al pesto, ziemniaczki

z cebulką oraz sos bazyliowy. Usłuchali jego rady, a Dillon zamówił butelkę szampana Krug.

– Jeszcze jedno – powiedział Ferguson do Giuliana. – O ile wiem, senator Michael Cohan zarezerwował stolik na pierwszą?

– Owszem – zdziwił się Giuliano.

– No cóż, bądź tak miły i posadź go przy sąsiednim stole – rzekł Ferguson.

Giuliano uśmiechnął się.

– Znów to samo, brygadierze. Powinienem napisać książkę. O tych wszystkich latach. Zimna wojna, absolwenci ekskluzywnych angielskich szkół, którzy okazywali się utajonymi komunistami, a potem Irlandczycy... – Uśmiechnął się do Dillona. – Wybacz, przyjacielu.

– Wiem, że ze mnie okropny człowiek – powiedział Dillon.

– Amerykanin dostanie stolik obok – obiecał Giuliano. – Życzę dobrej zabawy.

Odszedł, podano szampana i Dillon uparł się, że osobiście napełni kieliszki.

– Skąd pan wiedział, że Cohan tu przyjdzie?

– Telefon, Dillon – mruknął Ferguson. – To cudowny wynalazek. Powinienesz czasem z niego skorzystać.

– Jak to załatwimy? – zapytała Hannah.

– Prosto z mostu, moja droga, zwyczajnie. – Ferguson podniósł kieliszek. – Za życie, miłość i szczęście.

– No, jeśli pan doda jeszcze „za pokój w Ulsterze”, to ja też się napiję – powiedział Dillon i w tym momencie na schodach pojawił się Cohan.

Giuliano powitał go, zaprowadził do sąsiedniego stolika, przyjął zamówienie na wytrawne martini i odszedł.

– Senator Michael Cohan? – zapytał Ferguson. – Brygadier Charles Ferguson.

Cohan był wściekły.

– To niedopuszczalne nękanie. Ostrzegałem pana, że poskarżę się premierowi. Teraz na pewno to zrobię.

W tym momencie wydarzyły się dwie rzeczy jednocześnie. Senator

zaczął podnosić się z krzesła i przybył kelner z jego wytrawnym martini. Dillon przejął pałeczkę.

– Nie przeszkadza mi, że jest pan politykiem, senatorze. W Irlandii też ich mamy, chociaż pamiętam, że jeden z nich powiedział: „Nie mówcie mojej matce, że jestem senatorem w Dail, bo pomyśli, że gram na pianinie w burdelu”.

– Jak pan śmie!

– Och, zamknij dziób – warknął Dillon – i przestań robić z siebie głupca. Jeśli chcesz żyć, to wysłuchaj tego faceta.

– Niech pan posłucha, senatorze – rzekł Ferguson. – Porozmawiajmy o Synach Erin i zobaczmy, czy uda nam się jakoś połączyć – i z naciskiem wymówił ostatnie słowo – fakty.

Kiedy zakończył relację, Cohan siedział bez ruchu, blady jak ściana.

– Nie mam z tym nic wspólnego.

– Posłuchaj, śmieciu – powiedział Dillon. – Jack Barry był zeszłej nocy w Londynie, jak myślisz, po co? Żeby posłać cię do piachu.

Dopiero teraz Cohan naprawdę się przeraził, ale nadal usiłował zachować twarz.

– Nic o tym nie wiem.

– Wszyscy Synowie Erin nie żyją, senatorze. No cóż, może ktoś po prostu nie lubi klubów towarzyskich – rzekł Dillon. – My jednak uważamy, że Jack Barry pospiesznie przyjechał tutaj, żeby uporządkować sprawę, czyli zamknąć panu usta.

A Hannah dodała:

– Pozostaje jeszcze ta tajemnicza osoba, która pozabijała pana przyjaciół.

– Nonsens – powiedział Cohan. – Co za bzdury. Żądam, żebyście zostawili mnie w spokoju!

Wypił swoje martini.

– A więc nie chce pan współpracować – powiedział Ferguson. – W porządku, senatorze, jak pan sobie życzy. Poinformuję o tym prezydenta i premiera. Jednakże instrukcje nakazują mi utrzymać pana przy życiu podczas pobytu w Londynie, dlatego też dziś wieczorem,

w ramach naszych obowiązków, będziemy obecni na forum na rzecz pokoju w Irlandii, czy to się panu podoba, czy nie.

– Idźcie do diabła – warknął Cohan, wstał i odszedł.

Przyniesiono lunch.

– I co teraz? – zapytała Hannah.

– No cóż, będziemy cieszyć się tym wspaiałym lunchem, a wieczorem wrócimy tu i spróbujemy ochronić tego drania.

– Sądzi pan, że będą jakieś kłopoty?

– Nigdy w życiu niczego nie byłem bardziej pewien. – Ferguson podniósł widelec i zwrócił się do Dillona. – Załóż krawat, drogi chłopcze. Postaraj się wyglądać jak cywilizowany człowiek.

Cohan nie miał się do kogo z tym udać, zadzwonił więc do Łącznika na numer telefonu komórkowego i powiedział mu, co się wydarzyło, a także podzielił się z nim wszystkimi swoimi wątpliwościami i obawami, Kiedy skończył, Thornton powiedział:

– Nie rozumiesz, co oni próbują zrobić? Miałem umowę z Barrym. Przyleciał, żeby cię chronić, ale dowiedzieli się, że tam jest, a z tego, co mówisz, wynika, że ledwie udało mu się wymknąć.

– Mówiłeś, że w Londynie będę bezpieczny.

– Będiesz. Chciałem mieć dodatkową pewność, dlatego posłałem tam Barry'ego. Wszystko będzie dobrze.

– Powiedziałeś, że Barry zajmie się tym, kto stoi za tymi zabójstwami.

– Wydarzyło się wiele rzeczy, o których nic nie wiesz. Zaufaj mi.

– Jeśli coś pójdzie nie tak, będzie po mnie.

– Senatorze, wszystko będzie dobrze. Jasne? A teraz uspokój się, odpręż i spędź miły wieczór. Będziemy w kontakcie.

Thornton rozłączył się i natychmiast zadzwonił do Barry'ego.

– Właśnie rozmawiałem z Cohanem. Jest zupełnie roztrzęsiony. Ma na karku Fergusona i Dillona. Dlaczego mi nie powiedziałeś, że sprawy przybrały tak fatalny obrót?

– Ponieważ wszystko to zdarzyło się tej nocy i byłem zajęty. Staralem się ująć z życiem.

– Chcę usłyszeć twoją wersję.

Barry opowiedział mu o wszystkim, niewiele mijając się z prawdą. Kończąc, dodał:

– Czasem tak bywa. Naprawdę nie mam pojęcia, w jaki sposób Dillon mnie znalazł.

– Ten człowiek sprawia nam poważne kłopoty.

– Armia powtarzała to przez dwadzieścia lat, a potem zaczęła powtarzać to IRA. No i co z Cohanem?

– Będę musiał na razie zostawić go w spokoju. Wymyślę coś, kiedy wróci do Stanów. Będziemy w kontakcie. Thornton rozłączył się.

W domu przy South Audley Street lady Helen Lang przejrzała swoją garderobę i w końcu wybrała wspaniałą wieczorowy kostium z czarnej krepy. Stojąc przed lustrem, przymierzyła żakiet. Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł Hedley, niosąc filiżankę herbaty.

– I co o tym myślisz? ~ zapytała go lady Helen.

– Według mnie wygląda świetnie.

Odwiesiła czarny żakiet do szafy.

– Doskonale. – Upiła łyk herbaty. – Za czterdzieści pięć minut jestem umówiona z fryzjerem u Daniela Galvina.

– Według mnie wygląda pani jak należy.

– Dziś wieczorem będzie tam cały świat i jeszcze parę osób, Hedley.

– Włącznie z Cohanem?

Uśmiechnęła się.

– Muszę wyglądać jak najlepiej. Idź i przygotuj się. Przyjdę za piętnaście minut.

Forum na rzecz pokoju w Irlandii odbywało się w sali balowej hotelu „Dorchester”. Obowiązywały stroje wieczorowe. Premier jeszcze nie przybył, ale pojawiło się już kilku innych członków gabinetu. Na

liście gości znajdowały się wielkie i znane nazwiska. Dillon, jak zawsze zadziwiony tym, że ludzi pociągają takie imprezy, wziął kieliszek szampana z tacy przechodzącego obok kelnera. Miał na sobie smoking z kłapami z surowego jedwabiu.

Hannah, w ciemnoczerwonej jedwabnej sukni od Versacego, upomniała go:

– Spokojnie, Dillon, przed nami długa noc.

– Wyglądasz wspaniale, dziewczyno – powiedziała. – W sam raz na trzystronicową rozkładówkę w „Vogue”.

– Pochlebstwami niczego nie osiągniesz.

– Wiem. I czyż to nie szkoda?

Podszedł do nich Ferguson.

– Wszystko w porządku?

– Jezu, brygadierze – odparł Dillon. – Kiedy byłem małym chłopcem w Belfaście, babcia zabrała mnie kiedyś do kawiarni w starym hotelu „Grand Central”. Co za szyk. Uwielbiała to. Szef sali miał taki sam frak, jaki pan ma na sobie.

– Działasz mi na nerwy, Dillon – warknął Ferguson. – A moja cierpliwość ma pewne granice. – Zmarszczył brwi. – Dobry Boże, to Helen Lang!

Odwrócił się do wychodzącej z tłumy lady Lang. Uściskali się.

– Co za miłe spotkanie, Charles. – Obróciła się i zobaczyła Dillona.

– Och, pan Dillon, prawda?

Dillon uściskał jej dłoń.

– Bardzo miło mi znów panią zobaczyć, lady Helen.

– Nie mogłam się oprzeć, musiałam tu przyjść. Mieszkam przy South Audley Street, tuż za rogiem. Bardzo dogodnie. Ilekroć mam ochotę na koktajl, przychodzę do „Fortepianowego Baru”.

W tej chwili zadzwonił telefon przy głównym wyjściu. Hannah podeszła do Fergusona.

– Pan premier, brygadierze.

– Bardzo przepraszam, Helen – rzekł Ferguson. Skinął na Dillona. – Bądź dobrym chłopcem i przynieś lady Helen kieliszek szampana.

Proszę za mną, pani inspektor.

Odeszli. Lady Helen powiedziała:

– Mam wrażenie, że prowadzi pan niebezpieczne życie, panie Dillon.

– Celna uwaga. – Zdjął z tacy dwa kieliszki i podał jej jeden. – Proszę. – Rozejrzał się wokół. – Niezłe towarzystwo.

– Którym pan głęboko gardzi.

Podniósł kieliszek.

– Za panią, lady Helen, i za mnie. Dwoje ostatnich ludzi na tym zwariowanym świecie.

Uśmiechnęła się, spełniając toast, a Dillon z jakiegoś powodu poczuł dziwny niepokój. Dlaczego?

– Forum na rzecz pokoju w Irlandii – pokręcił głową. – Czekali z tym siedemset lat i dla niektórych jest już za późno. – Zreflektował się. – Dobry Boże, naprawdę przepraszam.

– Ach, myśli pan o moim synu – odparła ze spokojnym uśmiechem. – Jeśli pracuje pan dla Charlesa, to wie pan o mnie wszystko, ale, jak powiedział kiedyś pewien wielki pisarz, przeszłość to obcy kraj, panie Dillon. Nie, nigdy nie należy żyć przeszłością. Musimy godzić się z tym, co mamy.

– Słuszne – rzekł Dillon – ale niezbyt pocieszające.

Podeszła do nich jakaś starsza pani.

– Moja droga Helen, co za miłe spotkanie.

Uściskały się, a Helen Lang powiedziała:

– Nie znacie się. Diusza Stevely, Sean Dillon.

– Ogromnie mi miło – Dillon pocałował damę w rękę.

– Och, bardzo lubię Irlandczyków – powiedziała diusza. – Straszne z nich łobuzy. Czy pan jest łobuzem, panie Dillon?

– No cóż, on pracuje dla Charlesa Fergusona – wtrąciła Helen.

– A zatem jest – stwierdziła diusza.

– Z całym szacunkiem... muszę panie opuścić – rzekł Dillon i wycofał się.

Spostrzegł Fergusona pogrążonego w rozmowie z ministrem

i dyskretnie czekającą w pobliżu Hannah. Podeszła do niego.

– Cohan właśnie przyszedł. Jest tam, w rogu. Rozmawia z amerykańskim ambasadorem. Trudno nie stracić go z oczu w takim tłumie.

– Moja droga, w takim tłumie jak ten nikt nie będzie próbował zrobić mu krzywdy.

– Myślisz, że nic mu się nie stanie? – pokręciła głową. – Brygadier myśli inaczej.

– Jest starszy od nas, co oznacza, że częściej miewał rację. Z drugiej strony... ciekawe, jak często się mylił?

– Jeśli to ma się stać, to wolałabym, żeby nie zdarzyło się w naszej obecności – wyznała.

W tej chwili przy wejściu zrobiło się lekkie zamieszanie i po chwili nadszedł premier z niewielką świtą.

– Chodźmy – mruknęła Hannah i zaczęła przeciskać się przez tłum do Fergusona. Dillon podążył za nią.

Stali wszyscy troje, obserwując pochód premiera, który co chwilę przystawał, żeby uścisnąć komuś dłoń lub zamienić z kimś kilka słów. W końcu dotarł do ambasadora Stanów Zjednoczonych, któremu nadal towarzyszył Cohan. Wymieniono uśmiechy. Dillon po raz pierwszy ujrzał Cohana uśmiechniętego.

– Wygląda na wesołego – zauważył Ferguson.

– Tylko w tej chwili – stwierdziła Hannah. – Tylko teraz.

Odziany we wspaniały szkarłatny płaszcz mistrz ceremonii zawołał:

– Panie i panowie, przybył pan premier.

Premier podszedł do mikrofonu i natychmiast ucichły wszelkie rozmowy.

– Sznowni państwo, panie i panowie. Żyjemy w niezwykłych czasach. Pokój w Irlandii jest w zasięgu ręki i trzeba jedynie odrobinę...

Zakończył, otrzymał huczne brawa i szybko opuścił hotel, wymieniając grzeczności po drodze do drzwi.

- I co teraz, panie brygadierze? – zapytała Hannah.
- Patrząc na ten wspianały bufet, mam wrażenie, że chyba nadszedł czas, aby coś zjeść – zauważył brygadier. – Podejźmy tam.
- A co z Cohanem, panie brygadierze?
- Wy dwoje na zmianę starajcie się nie spuszczać go z oka.
- Mimo że to, co może się zdarzyć, na pewno nie zdarzy się tutaj? – spytał Dillon. – Tak pan sądzi?
- Właśnie.
- Nie jestem głodna – oznajmiła Hannah. – Wezmę pierwszą zmianę.
- Jak chcesz, moja droga. On nadal jest z amerykańskim ambasadorem.

Hannah zaczęła się przepychać przez tłum.

Cohan stał w kącie z ambasadorem i kilkoma innymi osobami, które w pewnym stopniu zasłaniały go przed tłumem. Za dużo wypił i pocił się, a wszystko to oczywiście dlatego, że nerwy miał napięte. Czuł się okropnie i, prawdę mówiąc, był przestraszony.

Nie powiedział ani słowa ambasadorowi o swojej obecnej sytuacji. Czy mógł postąpić inaczej? Wcześniej zauważył na sali Fergusona, Dillona i Hannah Bernstein. W pewnym sensie ich obecność jeszcze pogarszała sprawę. Dostrzegł przechodzącego obok kelnera i sięgnął po kolejny kieliszek szampana, potrącając przy tym stojącą obok, sympatycznie wyglądającą kobietę.

– Strasznie mi przykro.

– Nic się nie stało – powiedziała Helen Lang.

W tym momencie Cohan zauważył przeciskającą się przez tłum Hannah Bernstein i zirytował się jeszcze bardziej. Do diabła, dlaczego nie zostawia go w spokoju? Ambasador położył dłoń na jego ramieniu.

– Dobrze się czujesz, Michael? Jesteś spocony.

– Och tak – odparł Cohan. – Przeziębilem się podczas lotu. – Nagle uświadomił sobie, że musi się stąd wyrwać, chociaż na chwilę. – Skoczę

do mojego pokoju i wezmę aspirynę.

Helen Lang, która stała dostatecznie blisko, żeby to usłyszeć, natychmiast odwróciła się i zniknęła w tłumie. Przystanąła przy drzwiach i sprawdziła, czy ma w torebce wytrych, po czym wyszła.

Cohan dopił szampana, zobaczył Hannah stojącą opodal z kieliszkiem w ręku przy jednym z barów i jego irytacja zmieniła się w gniew. Przecisnął się przez tłum, dotarł do wyjścia z sali balowej, przystanął na moment, wiedząc, że ona za nim idzie, a potem skręcił w stronę męskiej toalety i wszedł do środka. Musiał poczekać w kolejce. Teraz był już mocno spocony i złapał się na tym, że ukradkiem przygląda się odbiciom ludzi w lustrze. Opłukał twarz wodą, sięgnął po ręcznik i wytarł się.

Kilku mężczyzn jednocześnie wychodziło z toalety, tworząc hałaśliwy tłumek. Schował się za ich plecami i zobaczył, że Hannah Bernstein właśnie odwróciła się na moment w kierunku sali balowej. Zaryzykował i ukryty w tłumie dotarł do holu. Natychmiast przeszła mu złość. Odniósł zwycięstwo, może drobne, ale zwycięstwo. Dotarł do foyer, podszedł do wind i nacisnął guzik.

Hannah czekała już dziesięć minut i nadal stała pod ścianą, kiedy przyszedł Dillon.

– Szukałem cię. Gdzie nasz przyjaciel?

– Tam – wskazała mu drzwi. – Widziałam, jak wchodził, ale nie wyszedł.

Dillon uśmiechnął się.

– Niektóre sprawy nie leżą w możliwościach nawet najlepiej wyszkolonych policjantek. Zostaw to mnie.

Czekała, obserwując tłum, zasilony jeszcze przez spóźnialskich. W końcu Dillon wyszedł, przystając po drodze, żeby zapalić papierosa.

– Ani śladu.

– To dziwne, przecież tam wszedł. – Nagle ogarnął ją niepokój. – Sprawdźmy, czy jest w sali balowej.

Poszła przodem.

Wytrych pasował idealnie. Helen Lang w mgnieniu oka znalazła się w apartamencie Cohana i zamknęła drzwi. Pokój był luksusowo urządzone. Wspaniała sypialnia i łazienka, prysznic, w salonie boazeria. Pokojówka zostawiła zaciągnięte zasłony. Helen wślizgnęła się za nie, otworzyła drzwi i wyszła na taras. Naprzeciwko był Hyde Park, a za nim paliły się światła miasta. W dole, na Park Lane, panował ożywiony ruch. Stojąc tak, poczuła dziwną tęsknotę. Mżyło, więc weszła pod markizę, zapaliła papierosa i czekała.

Cohan wysiadł z windy i z mocno bijącym sercem pospieszył korytarzem. Chryste, co się ze mną dzieje? – pomyślał. Potrzebuję drinka. Dotarł do swojego apartamentu, otworzył drzwi i wszedł do środka. Otworzył drzwiczki chińskiego barku z laki i drżącą ręką nalał sobie dużą szkocką. Wypił i ponownie nappełnił szklaneczkę. Do diabła, co tu robić? Jeszcze nigdy nie był w takiej sytuacji.

Wszystko usuwało mu się spod nóg. Nagle przyszło mu do głowy, że jedyną osobą, która mogła mu powiedzieć, co ma robić, jest Barry. Poszedł do sypialni, wyjął z torby podróżnej telefon komórkowy, a potem wrócił do salonu i zadzwonił.

Barry, nadal ukrywający się w melinie w County Down, zapytał:

– Kto tam?

– Cohan. Rany boskie, co się dzieje?

– O co ci chodzi?

– Posłuchaj, rozmawiałem z Łącznikiem. Wiem o twoim pobycie w Londynie zeszłej nocy. Mam na karku brygadiera Charlesa Fergusona i tego całego Dillona. Oni mi powiedzieli.

– Co ci powiedzieli?

Cohan powtórzył mu wszystko, co zapamiętał.

– Łącznik mówił, że miałeś mnie tu ochraniać.

– To prawda.

– A Dillon twierdził, że chciałeś mnie kropnąć.

– To komu wierzysz? – zapytał Barry. – Przyjaciołom czy temu małemu torysowskiemu śmieciowi? Siedzimy w tym razem, i razem z tego wyjdziemy. Kiedy wracasz do Nowego Jorku?

– Jutro.

– Wspaniale – skłamał Barry, jak zawsze gładko. – Tutaj dzieją się różne rzeczy, o których nic nie wiesz, ale obiecuję ci, że wkrótce rozwieją się twoje wątpliwości.

– W porządku, w porządku – powiedział Cohan. – Będziemy w kontakcie.

– Koniecznie.

Barry zastanawiał się chwilę, a potem zadzwonił do Łącznika.

– Właśnie miałem telefon z Londynu, od Cohana.

– I?

– Traci głowę. Musisz coś z tym zrobić.

– Na przykład co?

– Może mógłbyś się postarać, żeby przejechała go ciężarówka, kiedy senator wróci do Nowego Jorku?

– Pomyślę o tym – powiedział Thornton i rozłączył się.

Cohan odłożył telefon komórkowy i podniósł szklaneczkę.

– Po co ja się w to pakowałem, do diabła? – szepnął.

Podniósł szklaneczkę do ust, a wtedy zasłona przy oknie odchyliła się i do pokoju weszła lady Helen Lang. W prawej ręce trzymała colta 25 z przykręconym tłumikiem.

– Kim pani jest, do diabła? – zawołał Cohan, zaskoczony niespodziewanym pojawieniem się tej nobliwej starszej pani z bronią w ręku. Kobieta wydała mu się dziwnie znajoma.

– Namezis, senatorze, chyba tak najkrócej można to ująć.

– Proszę posłuchać – rzucił gorączkowo. – Jeśli chce pani pieniędzy...

Roześmiała się.

– Nie, nie chcę. Pamięta pan te stare filmy, w których rabuś wołał: „pieniądze albo życie”? Ja wolę pańskie życie. Mam pieniądze.

Cohan przeraził się.

– Kim pani jest?

– Niech pan usiądzie, zaraz panu wyjaśnię.

Opadł na sofę, drżąc jak liść.

– O co chodzi?

– Sądzę, że, jak powiadają w telewizyjnych kryminałach, nadszedł dzień zapłaty.

– Cóż takiego zrobiłem?

– Och, osobiście nic. Jestem pewna, że ma pan czyste ręce, w końcu jest pan typowym politykiem. Jednak jest pan winien współudziału, tak jak pozostali Synowie Erin.

Cohan nigdy w życiu nie był tak przerażony.

– O mój Boże, to pani! Ale dlaczego? Dlaczego?

Jedną ręką wyjęła srebrną papierośnicę, włożyła do ust papierosa i zapaliła go.

– Miałam syna, senatorze, dzielnego i wspaniałego młodzieńca. Opowiem panu, co go spotkało przez te głupie mrzonki pana i pańskich przyjaciół.

Kiedy skończyła, Cohan miał twarz szarą jak popiół. Siedział skulony na sofie. Nalała whisky do szklaneczki i podała mu.

– To niewiarygodne – wykrztusił.

– Jednak prawdziwe, senatorze, chociaż wydaje się koszmarnym snem. To ja zastrzeliłam tutaj, w Londynie, Tima Pata Ryana i pojechałam do Nowego Jorku, gdzie zabiłam pozostałych pańskich przyjaciół: Brady’ego, Kelly’ego i Cassidy’ego.

Duszkciem wypił whisky.

– Czego pani chce?

– Na początek niech mi pan odpowie na kilka pytań. Łącznik. Kto to jest?

– Tylko głos w telefonie, przysięgam.

– Chyba ma pan jakieś podejrzenia?

– Nie! On wie o różnych sprawach, ale nie mam pojęcia skąd! Nigdy nie mówi!

– A Jack Barry? Gdzie on jest?

– Gdzieś w Irlandii Północnej, tylko tyle wiem.

– Przecież rozmawiał pan z nim, słyszałam.

– Przez specjalny telefon komórkowy, szyfrujący rozmowy. Ma numer, ale nie można go zlokalizować.

– Naprawdę? – Podniosła aparat. – Jaki to numer?

Zawahał się, a Helen Lang wycelowała colta. Cohan podał jej numer.

Barry jadł kolację, kiedy zadzwonił telefon.

– Kto mówi?

– Nikt szczególnie, panie Barry, ale będziemy w kontakcie.

Schowała aparat do torebki, podeszła do biurka, pospiesznie

zanotowała numer na kartce wyrwanej z notatnika i kartkę także włożyła do torebki. Zanim zaczęła pisać, przełożyła colta do lewej ręki i Cohan skorzystał z okazji. Rzucił w nią szklaneczką po whisky i wybiegł przez drzwi na taras.

Naturalnie popełnił błąd. Nie miał dokąd uciec. Na tarasie stała mała fontanna w kształcie plującej wodą ryby, a krok za nią była już tylko balustrada. Wychylił się przez nią i ujrzał wstęgę przesuwających się po Park Lane świąteł. Tuż za krawędzią balustrady dostrzegł żelazną drabinę, wmurowaną w ścianę, zapewne przeznaczoną do prac konserwacyjnych. Szybko usiadł okrakiem na balustradzie, usiłując wymacać nogą szczebelek, i w tym momencie w drzwiach pojawiła się Helen Lang z coltem w ręku.

– Nie, na Boga, nie! – wrzasnął, stracił równowagę i spadł.

Helen spojrzała w dół, zobaczyła gwałtownie hamujące samochody, usłyszała ryk klaksonów. Odwróciła się na pięcie, przemaszerowała przez apartament, otworzyła drzwi i wyszła. Po chwili zjechała do foyer. Wkroczyła do sali balowej, wzięła kieliszek szampana z tacy trzymanej przez jednego ze stojących przy drzwiach kelnerów i wmieszała się w tłum.

Nemesis – to było właściwe słowo. Tym razem nawet nie musiała użyć broni. Cohan zapłacił za śmierć jej syna. Tak było sprawiedliwie. Może obeszłoby się bez jej interwencji, ale musiała to zrobić. Wystarczy. Zauważyła zamieszanie przy głównym wyjściu, dostrzegła Fergusona i Dillona, a potem poczuła ból w piersi. Znalazła fiolkę z proszkami, popiła dwa z nich łykiem szampana i ruszyła w kierunku wyjścia.

– Może poszedł na górę do swojego apartamentu – rzucił Dillon, gdy nie znaleźli senatora w sali balowej.

Ich uwagę zwrócił ryk klaksonów przed hotelem i zamieszanie przy drzwiach. Hannah powiedziała do Fergusona:

– Sprawdzę, co się stało, panie brygadierze.

Ruch na ulicy zamarł i Hannah od razu zrozumiała dlaczego. Gromada ludzi otaczała leżące na chodniku ciało, a obok stał motocykl i policjant rozmawiał przez krótkofalówkę. Hannah pokazała mu odznakę.

– Nadinspektor Bernstein, Służba Bezpieczeństwa. Co się stało?

– Właśnie przejeżdżałem, proszę pani. Spadł z góry, prawie na głowy jakiejś przechodzącej pary. Kobieta jest w szoku. Wezwałem ambulans i wsparcie.

Hannah się pochyliła i natychmiast poznała Cohana. Wyprostowała się.

– Znam tego człowieka, konstablu. To gość hotelowy. Trzymaj język za zębami, nie odpowiadaj na pytania, nie rozmawiaj z dziennikarzami ani nikim innym. Ogłaszam czerwony alarm. Rozumiesz, co to oznacza?

– Oczywiście, proszę pani.

– Wejdę do środka, ale zaraz wrócę.

We trójkę, w towarzystwie wstrząśniętego kierownika recepcji, sprawdzili apartament Cohana.

– Nic, żadnych śladów walki – stwierdziła Hannah.

– Ma pani rację, pani nadinspektor – rzekł Ferguson. – Pytanie tylko, czy wypadł, czy też został wypchnięty? – Zwrócił się do Dillona: – Jak myślisz?

– Och, niech pan da spokój, brygadierze. Kto w naszym fachu wierzy w przypadki?

– Też tak sędzę – pokiwał głową Ferguson. – Ona musi być niezwykłą kobietą.

– Jestem skłonny zgodzić się z panem – przytaknął uprzejmie Dillon. Ferguson powiedział do kierownika recepcji:

– Ten apartament ma być zamknięty i pilnowany. Wkrótce zjawi się tu ekipa dochodzeniowa, która zabezpieczy ślady.

– Oczywiście, brygadierze.

Ferguson ponownie obrócił się do Dillona.

– Przekażesz złe wiadomości Blake'owi, a on prezydentowi. Ja zawiadomię premiera.

– Szkoda, że tytuł szlachecki przeszedł panu koło nosa – zauważył Dillon.

Ferguson uśmiechnął się.

– Zawsze wiedziałem, że mi dobrze życzysz, Dillon.

Chociaż dom przy South Audley Street był niedaleko, lady Helen poprosiła Hedleya, żeby czekał na nią w mercedesie na Park Lane. Przepisnęła się przez tłum gapiów, mijając to, co zostało z senatora Michaela Cohana. Hedley zauważył ją, wyskoczył z wozu i otworzył tylne drzwi. Wsiadła, a on wrócił za kierownicę i ruszył.

– Pojeździmy chwilę po okolicy, Hedley. To była ciężka noc.

Zapaliła papierosa.

– Co się stało?

Opowiedziała mu wszystko.

– A więc Cohan zginął, a ja mam teraz kontakt z Jackiem Barrym. – Pokazała mu telefon komórkowy. – Zadzwońię do niego jeszcze raz. Co ty na to?

Barry zgłosił się po pierwszym sygnale.

– Kto mówi?

– Namezis – powiedziała. – Najpierw jednak najświeższe wiadomości. Senator Michael Cohan spadł przed chwilą z siódmego piętra hotelu „Dorchester”. Dzwonię z jego komórki.

Jack Barry był wstrząśnięty jak jeszcze nigdy w życiu.

– O czym pani mówi?

– O tym, że senator Michael Cohan leży na chodniku przed hotelem „Dorchester” przy Park Lane. To przypomina burzliwą sobotnią noc w Belfaście. Policja, karetki, gapie... Wie pan, jak to jest.

Dziwne, ale Barry nawet nie był zły. Właściwie był przestraszony.

– Kim jesteś, do diabła?

– Brady, Kelly i Cassidy w Nowym Jorku, Tim Pat Ryan

w Londynie, a teraz senator Michael Cohan. Oto kim jestem. –
Roześmiała się. – Teraz został tylko pan i Łącznik.

Barry zaczerpnął tchu.

– W porządku, kim jesteś? Pracujesz dla lojalistów? Czerwonej Ręki
Ulsteru? Protestanckiego śmiecia?

– Może to pana zdziwi, panie Barry, ale jestem katoliczką. Religia
nie ma z tym nic wspólnego i dziwię się, że nazywa pan protestantów
śmieciami. Przecież sam pan jest protestantem. Tak jak Wolfe Tone,
twórca irlandzkiego republikanizmu, albo Parnell, któremu prawie
udało się doprowadzić do zjednoczenia Irlandii. – Helen świetnie się
bawiła. – Oscar Wilde, George Bernard Shaw, Sean O’Casey – oni
wszyscy byli protestantami.

Przerwał jej gniewnie.

– Co to za gówno? Nie potrzebuję pieprzonych lekcji historii. O co
chodzi? Kim jesteś?

– Kobieta, która wykona na tobie egzekucję, tak samo jak na
tamtych. Sprawiedliwość, panie Barry, właśnie o to chodzi. To dzisiaj
rzadki towar, ale zamierzam ją osiągnąć.

Słuchał jej łagodnego, spokojnego głosu, zupełnie nie pasującego do
treści jej wypowiedzi. Narastał w nim gniew.

– Jesteś stuknięta.

– Wcale nie. Trzy lata temu w Ulsterze zamordowałeś mojego syna
i czterech jego przyjaciół, w tym kobietę. Na pewno tego nie pamiętasz,
panie Barry. Ma pan tyle krwi na rękach, że trudno spamiętać wszystkie
trupy, panie Barry.

Podawała mu zbyt wiele informacji, ale nie szkodzi. W jej głowie już
formował się plan.

Barry jeszcze nigdy nie był tak wściekły.

– Posłuchaj, komórka Cohana na nic ci się nie przyda. Rozmowy są
szyfrowane. Nie da się ich zlokalizować.

– Tak, ale przynajmniej możemy sobie porozmawiać.

– W porządku, czego chcesz?

– To proste. Jak już powiedziałam, przed trzema laty zamordowałeś

w Ulsterze mojego syna. Ja zamierzam zamordować ciebie.

Nagle znów ogarnął go strach.

– Nie uda ci się. Jesteś stuknięta, kobieto!

– Ten telefon to bardzo pożyteczna rzecz. W każdej chwili mogę z panem porozmawiać. Możemy nawet umówić się na spotkanie. Będziemy w kontakcie.

– Kiedy tylko chcesz, suko! Podaj tylko miejsce i czas! – wrzasnęła, ale ona już się rozłączyła.

– Podaj mi butelkę, Hedley – poprosiła lady Helen. Spełnił jej prośbę. Pociągnęła łyk i oddała mu ją. – Wspaniale. Czuję się świetnie. – Wyjęła srebrną papierośnicę, zapaliła papierosa i zaciągnęła się głęboko. – Cudownie. Pojeździmy jeszcze chwilkę. Koło pałacu Buckingham, po Pall Mall.

Deszcz padał coraz silniej, wycieraczki stukwały, przesuwając się tam i z powrotem. Hedley ostrożnie prowadził samochód.

– Lubię jeździć w deszczu – powiedziała. – Człowiek czuje się tak bezpiecznie. Jakby reszta świata nie istniała. Lubisz deszcz, Hedley?

– Deszcz? – Roześmiał się. – Lady Helen, za dużo go było w Wietnamie, kiedy patrolowałem bagna w delcie Mekongu, gdzie pijawki przyczepiały mi się do najważniejszych części ciała i nieustannie szalały monsunowe ulewy.

– Na samą myśl przechodzą mnie ciarki. Znajdź jakiś pub. Mam ochotę na drinka.

Podjechał pod szacowny lokal „Grenadier” opodal pałacu Świętego Jakuba. Bywali tu już. Właściciel, Sam Hardaker, były sierżant gwardii, znał Hedleya z czasów, gdy ten pilnował ambasady.

– To dla mnie prawdziwa przyjemność, lady Helen.

– Miło mi cię widzieć, Sam. Pewnie nie masz czegoś takiego jak butelka szampana?

– Mam jedną w chłodziarce. Nic wyszukanego, tylko bollinger. Obiecałem go oficerowi gwardii pałacowej, ale będzie musiał jeszcze poczekać.

Usiadła z Hedleyem w kącie. Sam przyniósł szampana w wiaderku,

odkorkował butelkę i napełnił dwa kieliszki. Lady Helen skosztowała.

– Boski. – Uśmiechnęła się, gdy Sam nalewał trunek. – Mówią, że jeśli nie masz ochoty na szampana, to nie masz ochoty żyć.

– Nie wiedziałem – odparł Sam. – Ja jestem zwolennikiem piwa.

Odszedł, a lady Helen zapaliła następnego papierosa.

– Wszystko w porządku, Hedley?

– W najlepszym, lady Helen – przytaknął.

Podniosła kieliszek.

– A więc za nas. Za miłość, życie i poszukiwanie szczęścia. – On także podniósł kielich i brzęknęło szkło. – I niech diabli wezmą Jacka Barry’ego oraz Łącznika.

Hedley wypił łyk szampana i odstawił kieliszek.

– Chyba nie chce pani spotkać się z tym draniem?

Zaciągnęła się i marszcząc brwi, zastanawiała się nad tym.

– Jedyne sposoby, żeby się z nim spotkać, Hedley, to nakłonić go, żeby sam do mnie przyszedł.

Hedley pokiwał głową.

– No dobrze, powiedzmy, że załatwi go pani tak jak pozostałych. Co wtedy? Zostanie jeszcze Łącznik, a nigdy się pani nie dowie, kto nim jest. Żaden z nich tego nie wiedział.

– Należ mi jeszcze szampana i spójrzmy na to filozoficznie. – Oparła się wygodnie. – Polityka, Hedley, jest odpowiedzialna za wiele zła. Weźmy na przykład sytuację, z jaką mamy do czynienia. Zapomnijmy o Synach Erin i Łączniku. Wszystko zaczyna się od dialogu między rządami. Nie doszłoby do tego, gdyby nie było dialogu między rządem brytyjskim a amerykańskim, telefonicznych pogawędek premiera z prezydentem.

– A więc? – dociekał Hedley.

– Gdyby nie zaczęli dzielić się informacjami, Łącznik nie miałby żadnych ciekawych materiałów od naszych służb wywiadowczych. – Sięgnęła po butelkę i napełniła mu pusty już kieliszek. – A więc kto tak naprawdę ponosi za to odpowiedzialność?

– Nie rozumiem, do czego pani zmierza.

– W tym wypadku odpowiedzialne są najwyższe kręgi władzy. Jeżeli jest w to wmieszany Biały Dom, to odpowiedzialny jest prezydent. – Spojrzała na zegarek. – Och, jak późno. Chodźmy.

Hedley otworzył jej drzwiczki, obszedł samochód i usiadł za kierownicą. Ruszył i zapytał:

– Rany boskie, co pani chce przez to powiedzieć?

– Na przyszły tydzień załatwiłam sobie zaproszenie na przyjęcie u Chada Luthera w jego posiadłości na Long Island.

Hedley o mało nie stracił panowania nad kierownicą.

– Mój Boże, chyba pani tego nie zrobi!

Zmarszczyła brwi, a potem się roześmiała.

– Och, wielkie nieba, Hedley, czy ty podejrzewasz, że chcę go zabić?

O Boże, za kogo ty mnie masz? – Pokręciła głową. – Jeszcze nie oszalałam, Hedley. Nie, chcę to z nim tylko przedyskutować.

– Przedyskutować? Chce pani wyłożyć kawę na ławę i powiedzieć mu o wszystkim? O zabójstwach? Do licha, on każe panią aresztować.

– Nie rozumiesz tego, prawda? – zapaliła papierosa. – To jego Biały Dom, a więc jego bałagan. On nie chce, żeby to wyszło na jaw, tak samo jak ja. To powiązanie z Białym Domem wywołałoby niebotyczny skandal. Mogłoby zagrozić jego prezydenturze. I z pewnością doprowadziłoby do załamania procesu pokojowego w Irlandii, w co włożył tyle pracy. On musi zdemaskować Łącznika. – Spojrzała na Hedleya. – W przeciwnym razie kto wie, co przecieknie do prasy...

Hedley był wstrząśnięty.

– Zamierza pani szantażować prezydenta? Posunie się pani tak daleko? – Pokręcił głową. – Załatwiła pani złych facetów, lady Helen. Niech pani na tym poprzestanie. Proszę.

– Nie mogę – odparła. – Niewiele mi już zostało czasu, mniej, niż przypuszczasz, Hedley, a to zbyt ważna sprawa. Dlatego pójdę na to przyjęcie na Long Island. Jeśli jesteś temu przeciwny, to nie leć ze mną.

– Ej, nie zasłużyłam sobie na to.

– Wiem, że nie. Byłeś dla mnie prawdziwym oparciem. Najlepszym przyjacielem.

– Nie musi mi pani schlebiać.

– A zatem polecisz ze mną?

Westchnął.

– A co mam robić? – Zmienił bieg. – Chyba nie poleci tam pani z coltem w torebce, prawda?

– Oczywiście, że go wezmę – odparła. Uśmiechnęła się. – Kto wie, może spotkam Łącznika?

Blake wysłuchał relacji Dillona. Kiedy Irlandczyk skończył, powiedział:

– Kojarzy mi się to z czasem, gdy pracowałem dla FBI, i z listą najbardziej poszukiwanych przestępców. Ten zabójca ma własną listę.

– A więc uważasz, że Cohana załatwiła ta sama osoba, która zabiła tamtych?

– Oczywiście. Tak samo jak ty nie wierzę w zbiegi okoliczności.

– Ta kobieta?

– Chyba tak.

– Jak to się ma do statystyk FBI i CIA? Chcę powiedzieć, że znane są przypadki, gdy kobiety działały w organizacjach terrorystycznych, na przykład w grupie Baader-Meinhof w Niemczech, w IRA czy OWP, ale zdarzało się to dość rzadko.

– I co z tego?

– Jeżeli przyjmiemy takie założenie, to oznacza, iż jedna kobieta zlikwidowała Synów Erin. Zabiła pięciu ludzi.

– Sean, przyjacielu – rzekł Blake. – Przychodzi ci do głowy coś lepszego?

– Właściwie nie, ale sądzę, że powinieneś ponownie skorzystać z pomocy twojego przyjaciela z policji, kapitana Parkera.

– Czego mam szukać?

– Nie mam zielonego pojęcia, ale gliniarze mają swoje sposoby. Zauważają rzeczy, których nie dostrzegają inni. Może jeśli powęszy koło naszego nieodżałowanego senatora, odkryje jakieś użyteczne

informacje.

– W porządku, zajmę się tym.

Blake rozłączył się, siedział przez chwilę, rozmyślając, a potem zadzwonił do prezydenta.

– Słyszał pan o Cohanie?

– Trudno byłoby nie słyszeć – odparł Cazalet. – Trąbią o tym w CNN.

– Możemy się spotkać?

– Przyjdź natychmiast.

Prezydent siedział za biurkiem w Gabinetcie Owalnym. Był w koszuli z krótkimi rękawami i podpisywał dokumenty podawane mu przez szefa personelu. Thornton, również w koszuli z krótkimi rękawami, podniósł głowę i uśmiechnął się kącikiem ust.

– Masz ponurą minę, Blake... I nic dziwnego.

Cazalet usiadł wygodniej.

– Dokończymy później. I co teraz, Blake?

– Bóg wie.

– Myślisz, że został wypchnięty?

– Oczywiście, że został wypchnięty albo uległ panice i wyskoczył – rzucił niecierpliwie Blake. – Dajcie spokój, panowie, znacie tło wydarzeń i fakty. Naprawdę wierzycie, że to mógł być wypadek, że Cohan po prostu za bardzo wychylił się z balkonu?

– Podsumujmy to – zaproponował Cazalet. – Ktoś zabił pięciu amerykańskich członków Synów Erin.

– Można powiedzieć, że zniszczył tę organizację – wtrącił Thornton.

– Kto pozostał? – spytał Cazalet.

– Ukrywający się w Ulsterze Jack Barry i Łącznik w Waszyngtonie.

– Czy w świetle tego, co się stało, ma to jakieś znaczenie!

– Ujmijmy to tak – odparł Blake. – Siłą Łącznika nie są jedynie ściśle tajne informacje, do których ma dostęp. Mógł je wykorzystywać tylko dlatego, że miał do tego odpowiednich ludzi.

– A oni wszyscy nie żyją – uzupełnił Cazalet.

– Oprócz Barry'ego. On wciąż jest cały i zdrowy, a także bardziej niebezpieczny od nich wszystkich razem wziętych. Ponieważ jeszcze nie zdemaskowaliśmy Łącznika, a Barry do tej pory nie został schwytany, nadal stanowią poważny problem.

– Co proponujesz? – zapytał prezydent.

– Pomyślałem, że powinienem sprawdzić nowojorskie kontakty Cohana. Mój przyjaciel, kapitan Parker, może na coś trafić. – Blake popatrzył na Cazaleta. – I uważam, że nadszedł czas, aby rozpocząć śledztwo w Białym Domu, panie prezydencie.

– Dobrze, zgadzam się – powiedział Cazalet. – Ty sprawdź Cohana. A ty zobacz, co uda ci się tutaj znaleźć, Henry – polecił Thorntonowi. – Jeśli w Białym Domu jest przeciek, to uważam, że powinien zająć się tym szef personelu.

– Zaraz się do tego zabiorę, panie prezydencie – rzekł Thornton.

Kiedy obaj byli już na korytarzu, Blake zapytał Thorntona.

– Co zamierzasz?

– Bóg wie. Musimy utrzymać to w tajemnicy. To polityczny dynamit. Ty rób swoje, Blake. Ja zacznę sprawdzać wszystkich pracowników Białego Domu. Przydzielę to zadanie agentom Tajnej Służby.

– Wyjaśnisz im powód?

– Dobry Boże, nie! Nie w tej chwili. Będziemy działać dyskretnie. Jeśli nic nie znajdziemy, zaczniemy od nowa. Bądźmy w kontakcie.

Blake odszedł, a Thornton z uśmiechem odprowadził go wzrokiem. Wcale się nie bał. To dziwne, ale był tylko podekscytowany.

Blake przekazał wieści Fergusonowi, a ten przeprowadził krótką telefoniczną rozmowę z premierem.

– Ta sprawa naprawdę wydaje się wymykać spod kontroli, brygadierze.

– To ja ponoszę całkowitą odpowiedzialność za to, co się wydarzyło

zeszłej nocy – powiedział Ferguson.

– Nie chcę o tym słyszeć, brygadierze – rzekł premier. – To nie pana wina i nie moja, ale załatwmy to.

Odłożył słuchawkę. Siedzący za biurkiem Ferguson powiedział do Hannah Bernstein i Dillona:

– Dobrze chociaż, że nie szuka kozła ofiarnego.

– I co teraz, panie brygadierze? – zapytała Hannah.

Odpowiedział jej Dillon.

– Powiedziałbym, że wszystko zależy od Blake'a.

– Tak, chyba masz rację – mruknął Ferguson.

Thornton zadzwonił do Barry'ego.

– Cazalet, Thornton i Blake Johnson właśnie odbyli krótką rozmowę w Gabinetcie Ovalnym.

– Mam się cieszyć? – spytał Barry. – Mów.

Kiedy Thornton skończył, Barry powiedział:

– Ach, to żaden problem. Co oni mogą tam znaleźć o Cohanie? Może chodził na dziewczynki albo za często korzystał z męskiej toalety? Daj spokój!

– Masz rację. To strata czasu. Nie sądzę, żebyśmy mieli jakieś powody do niepokoju.

– My? – rzekł Barry. – Oni dobrze wiedzą, gdzie ja jestem. A o tobie nie mają zielonego pojęcia.

– I tak też zostanie. Dlatego niech ci nie przychodzą do głowy jakieś głupie pomysły. Pamiętaj, że nie dostaną mnie, nawet jeśli złapią ciebie.

– Drań – syknął Barry, a Thornton się rozłączył.

Barry zapalił papierosa i podszedł do okna. Deszcz bębnił w szyby. Oczywiście nie powiedział Łącznikowi o telefonie komórkowym Cohana oraz o tym, że skontaktowała się z nim ta tajemnicza kobieta. Co za upiorna więź psychologiczna. Barry odwrócił się i spojrzał na telefon komórkowy leżący na stole. Prawie chciał, żeby zadzwoniła. Chciał znów usłyszeć jej głos.

A ona w tym momencie wracała do Norfolk, siedząc tym razem z przodu. Jedynym źródłem światła była deska rozdzielcza mercedesa i przecinające ciemność smugi reflektorów. Było miło i wygodnie. Znow poczuła się bezpieczna w znajomym wnętrzu samochodu.

Z magnetofonu płynęła cicha, ledwie słyszalna muzyka. Lady Helen poprosiła Hedleya, żeby puścił jedną z ulubionych kaset jej męża, z nagraniami Ala Bowlly'ego, w swoim czasie najpopularniejszego brytyjskiego piosenkarza, w latach trzydziestych cieszącego się znacznie większą popularnością niż Bing Crosby. Zginął podczas nalotu.

– Lubię tę piosenkę – powiedziała. – „Moonlight on the Highway”. Odpowiedni tytuł, chociaż ty nie lubisz takiej muzyki.

– Zna pani moje upodobania, lady Helen – odparł Hedley. – Uznaję tylko Ellę Fitzgerald i Counta Basie.

– Dziwny człowiek, ten Al Bowlly. – Zapaliła papierosa. – Zdaje się, że pochodził z Południowej Afryki, chociaż niektórzy twierdzili, że ze Środkowego Wschodu. W Anglii odmłodził o dziesięć lat. Został słynnym piosenkarzem. Kobiety uwielbiały go. Jadał z arystokratami w „Savoyu”, przyjaźnił się z najgroźniejszymi gangsterami w Londynie.

– Ciekawy facet – mruknął Hedley.

– Wierzył, że jest wybrańcem losu, szczególnie po jednym z nalotów na Londyn w czterdziestym czwartym, kiedy hitlerowcy usiłowali nas złamać. Bowlly szedł wieczorem ulicą, kiedy w pobliżu spadła bomba. Cała siła eksplozji poszła w inną stronę. Nic mu się nie stało.

– Do licha, w Wietnamie często tak bywało.

– Bowlly uznał to za znak z niebios. Uwierzył, że jest niezniszczalny.

– I co się stało?

– Och, zginął kilka tygodni później, podczas nalotu. Mieszkańcy jego kamienicy zeszli do schronu. On został w łóżku. Rozumiesz, nie miał się czego bać.

– Ico?

– Znalaziono go martwego w łóżku. Podmuch wybuchającej bomby wyrwał z zawiasów drzwi.

– A one trafiły Bowlly'ego?

– Właśnie.

Hedley przez chwilę jechał w milczeniu, a w końcu zapytał:

– Jaki miał być morał tej historii?

– Chyba taki, że nie można uciec przed przeznaczeniem. Myślisz, że udało ci się wymknąć śmierci w jednym miejscu, a ona dopada cię w drugim.

– Jasne. Rozumiem, tylko nie wiem, co to ma z panią wspólnego.

– Ależ ma, Hedley. – Oparła się wygodnie. – Ta historia dowodzi nieuchronności wydarzeń.

– Na przykład konieczności przyparcia do muru prezydenta? Nie kupuję tego, lady Helen, naprawdę.

– Pamiętasz tę wywieszkę, którą jeden z prezydentów postawił sobie na biurku? „Tutaj kończą się żarty”. No cóż, miał rację. – Spojrzała w ciemność. – Och, spójrz, gdzie jesteśmy. Mam ochotę na herbatę i kanapkę. Zatrzymajmy się na chwilę.

Zaparkowali przy staromodnym ruchomym barze ustawionym na poboczu, z brezentowym daszkiem osłaniającym od deszczu. Już kiedyś korzystali z jego usług. W pobliżu stały dwie ciężarówki, a ich kierowcy posilali się w kabinach. Hedley zamówił dwa steki, tosty z białego pieczywa oraz gorącą i mocną herbatę. Lady Helen stała obok niego i obserwowała, jak bufetowa podsmaża steki.

– Nieźle pachną, Hedley.

– Jak zawsze, lady Helen.

Ugryzła kanapkę i sos pociekł jej po brodzie. Kobieta przechyliła się przez ladę i podała jej papierową serwetkę.

– Masz, kochana.

Z brezentowego daszka spływał deszcz. Lady Helen zjadła kanapkę, popiła ją mocną i gorzką herbatą, a kiedy skończyła, rzekła:

– Jedźmy.

Usiadła znów na przednim siedzeniu obok kierowcy.

– Myślisz, że oszalałam, Hedley – stwierdziła.

– Uważam, że posuwa się pani za daleko, lady Helen.

Zapaliła kolejnego papierosa.

– Większość ludzi postępuje inaczej, godzi się na różne rzeczy ze względu na dobre maniery i z grzeczności. Pamiętam, jak raz siedziałam w londyńskiej restauracji z człowiekiem, który był moim księgowym. Obok nas siedziały cztery kobiety, jedna na wózku inwalidzkim. Wszystkie paliły. Mój znajomy szepnął, że nie może znieść dymu i musi wyjść. Kobieta na wózku inwalidzkim głośno powiedziała, że niektórzy ludzie powinni wykazać choć odrobinę tolerancji.

– I co się stało?

– Wsadziłam go do taksówki, a potem wróciłam i powiedziałam tej kobiecie na wózku inwalidzkim, że powinna cieszyć się z tego, że żyje, podczas gdy mój znajomy umiera na raka płuc i zostało mu już tylko trzy tygodnie życia. – Zmarszczyła brwi. – Dlaczego ci o tym mówię? Zapewne dlatego, że wtedy po raz pierwszy naprawdę sprzeciwiłam się czemuś publicznie. Nie mogłam tolerować czegoś takiego.

– Tak samo jak nie mogła pani tolerować działalności Synów Erin. W porządku, rozumiem. Jednak przyciskać prezydenta? – Pokręcił głową.

– Nic nie rozumiesz, Hedley. Jesteś cudownym człowiekiem, ale jak większość ludzi, widzisz tylko to, co chcesz widzieć. Patrzą na mnie i myślisz, że jestem tą samą kobietą, którą zawsze byłam. To nieprawda. Ja muszę się spieszyć, Hedley, ponieważ nie mam czasu do stracenia.

– Proszę tak nie mówić.

– To prawda, Hedley. Ja umrę. Nie dziś i nie jutro, ale wkrótce. Zbyt szybko, a mam jeszcze kilka spraw do załatwienia i zamierzam je załatwić, na Boga! Udam się na Long Island na spotkanie z prezydentem i w każdej chwili mogę sobie porozmawiać przez telefon komórkowy z Barrym. Muszę go jakoś zwabić.

Wyjęła fiolkę i wytrząsnęła dwie tabletki na dłoń. – Tak więc podaj mi flaszkę i dodaj gazu. O trzeciej powinniśmy być w domu.

Jednak pogoda się pogorszyła, a deszcz lał bez przerwy. Kiedy wjechali na szczyt wzgórza wznoszącego się nad wioską, panowało

w niej zamieszanie. Ulice znalazły się już pod wodą, a ludzie zmagali się z kołowrotem śluzy.

Hedley podjechał pod pub. Stary Tom Armsby układał worki z piaskiem w drzwiach, a Hetty mu pomagała. Podniosła głowę i zobaczyła mercedesa oraz wysiadającą lady Helen.

– Kiepsko to wygląda.

– Tak jest wszędzie, a wszystko przez radę gminy. Ci skąpi dranie nie znaleźli pieniędzy na naprawę śluzy od czasu poprzedniej powodzi, kiedy uratował nas Hedley. Jeszcze godzina deszczu i cała wioska znajdzie się pod wodą.

Lady Helen zwróciła się do Hedleya.

– To biedni ludzie, przeważnie emeryci. Powódź ich zrujnuje.

– Wiem. – Wsiadł z wozu, zdjął uniform szofera i stojąc w kałuży wody, podwinął rękawy. – Jak nazywa się to uczucie, kiedy masz wrażenie, że już tu kiedyś byłeś?

– Déjà vu. Z francuskiego.

– Właśnie.

Odwrócił się i poszedł w kierunku mocujących się ze stawidłem mężczyzn, a lady Helen wysiadła i podążyła za nim. W rwącej wodzie koło zastawki pływał młody chłopak. Był wyczerpany, a mimo to kolejny raz spróbował zanurkować, lecz woda znów wypchnęła go na powierzchnię.

– Wyciągnijcie go – polecił Hedley. Kaszlącego chłopca wyciągnięto z wody i położono na brzegu. – Macie łom?

Ktoś podał mu łom. Hedley chwycił narzędzie i bez namysłu wskoczył do rzeki. Wynurzył się, wziął głęboki wdech i ponownie zanurkował. Wymacał żelazne uchwyty na wrotach, prowizorycznie umocowane tam po poprzedniej powodzi. Wepchnął pod nie łom i zaczął podważać, ale wkrótce musiał się wynurzyć i nabrać tchu.

Schodził pod wodę jeszcze trzykrotnie, za każdym razem z większym trudem, zanim uchwyty puściły, wrota rozchyliły się, a napór wody otworzył je na oścież. Hedley wynurzył się przy wtórce owacyjnych okrzyków – poziom wody już zaczął opadać.

Kilka par rąk pomogło mu wyjść z wody. Podniósł się i stał na deszczu, a Hetty Armsby podbiegła z kocem i narzuciła mu go na ramiona.

– Ty wspaniały draniu! Chodź do pubu i wy wszyscy też. Do diabła z przepisami.

Wszyscy ruszyli do gospody, a lady Helen precyzyjnie się do Hedleya.

– Niech ci to tylko nie uderzy do głowy. Może nie będą bluźnić, opowiadając, że umiesz chodzić po wodzie, ale gotowi są nazwać twoim imieniem kościółek.

Nazajutrz w Compton Place pogoda wciąż była okropna. Wschodni wiatr niósł deszczowe chmury, a na plażach Horseshoe Bay załamywały się spienione grzywacze.

Okryta sztormiakiem Helen skierowała klacz do sosnowego lasu, który osłonił ją przed wiatrem, przystanąła pod murem zrujnowanej kapliczki i z trudem zapaliła papierosa, osłaniając dłonią płomień.

Popatrzyła na wzburzone morze, wspominając wizytę, którą przed kilkoma laty złożyła przyjacielom na Long Island, nie latem w pełni sezonu, ale w zimie. Pokazali jej posiadłość Chada Luthera, prawdziwy pałac z trawnikami ciągnącymi się aż do wód zatoki. Wówczas nie było tam nikogo, więc nie była zbyt zadowolona z wycieczki. Chad zapraszał ją wielokrotnie, głównie dlatego, że lubił pieniądze, a ona miała ich więcej niż on. Nigdy nie przyjęła zaproszenia z prostej przyczyny: nie lubiła go. Był wulgarny, próżny, ograniczony.

Wyprostowała się i powiedziała do siebie:

– Daj spokój, moja droga, kim jesteś, żeby go osądzać? Ktoś na pewno go kocha. Chociaż jeden Bóg wie, kto.

Nadal jednak rozmyślała o Long Island. Chwyła wodze i popędziła klacz do galopu.

Hedley pojechał do wioski, żeby sprawdzić, jak wygląda sytuacja. Nadal lało i w kanale utrzymywał się wysoki poziom wody, ale niebezpieczeństwo już minęło. Zaszedł do sklepu spożywczego, załatwił zakupy i pojechał z powrotem do domu. Nigdzie nie dostrzegł lady Helen. Zostawił zakupy w kuchni, wyszedł na dziedziniec i usłyszał odgłos strzałów z pistoletu, dochodzący ze starej stodoły. Kiedy tam wszedł, zastał lady Helen strzelającą do tarcz z colta 25.

– Domyślam się, że nadal zamierza pani udać się z pistoletem w torebce na Long Island? – rzekł.

– Pojutrze – odparła i powtórnie naładowała broń. – Skorzystam z jednego z gulfstreamów firmy. Możemy wylądować na lotnisku Westhampton na Long Island. Bardzo dogodne połączenie.

– Mimo wszystko wolałbym, żeby pani nie brała broni.

– Już ci mówiłam, że chcę być gotowa na wszystko. Może nadarzy się okazja. Nie musisz lecieć, jeżeli nie chcesz.

– Och, jednak muszę – westchnął.

Z kilku leżących na stole pistoletów wybrał browninga i oddał kilka szybkich strzałów do tarcz, trafiając w głowy czterech sylwetek.

– Znów się popisujesz, Hedley?

– Nie – odparł. – Sprawdzam tylko, czy jestem w formie i pani też. Co będzie, jeśli spotka pani Łącznika?

– A więc polecisz? Będiesz przy mnie?

– Och, pewnie, że polecę. Ktoś musi na panią uważać. – Wziął od niej colta, sprawdził go i oddał jej broń. – W porządku, proszę przyjąć postawę strzelecką i pamiętać, co mówiłem.

NOWY JORK

WASZYNGTON

11

Następnego ranka Blake siedział sam w gabinecie Parkera, jadł kanapkę z szynką i popijał kawę. Za oknem była typowo marcowa, paskudna pogoda. Lepkie płatki mokrego śniegu lepiły się do szyb. Otworzyły się drzwi i wszedł Parker.

– Powiedzieli mi, że tu jesteś. Widzę, że dobrałeś się do mojego śniadania.

– Właśnie przyleciałem z Waszyngtonu. Pogoda była tak kiepska, że w samolocie nie podali posiłku.

– Dobrze ci tak. To kara za latanie odrzutowcem dziurawiącym atmosferę. – Parker usiadł, podniósł słuchawkę i zamówił kanapkę i więcej kawy. Pokręcił głową. – Wpadłeś w gówna po uszy, przyjacielu.

– Co proszę?

– Daj spokój, mówię o Cohanie. We wszystkich gazetach piszą o nieszczęśliwym wypadku, ale my dwaj wiemy lepiej.

W tym momencie weszła bez pukania jego asystentka, starsza pani w stopniu sierżanta, i postawiła na biurku kawę oraz kanapki.

– Masz moje. Już zamówiłam więcej. Domyśliłam się, że pan Biały Dom zje twoje śniadanie.

Wyszła. Blake zauważył:

– Prawdziwy skarb. I ma zdrowy apetyt. To dla ciebie za dużo, przy twojej tuszy.

Sięgnął po następną kanapkę, a Parker mruknął:

– Pieprz się, Blake. – Też wziął jedną i dodał: – O co więc chodzi?

– To proste. Wszyscy Synowie Erin przenieśli się do pubu na tamtym świecie. Cohan, Ryan, Kelly, Brady, Cassidy. To razem pięciu. – Blake otworzył jeden z kubków z kawą.

– Posłuchaj, stary draniu, ile prowadziłeś dochodzeń w sprawach o morderstwo przez te wszystkie lata na ulicy?

– Sto czterdzieści siedem. Zapisuję je sobie.

– I co o tym myślisz? Chyba nie wierzysz w tę gadaninę o lojalistach?

– Bzdura. – Parker skończył kanapkę. – Najwyraźniej chodzi o zemstę.

– Zemstę za coś, za co Synowie Erin byli odpowiedzialni.

– Tak sądzę.

Blake przez chwilę zastanawiał się nad tym.

– Zgadzam się z tobą. Tylko że to nam niewiele daje. Myślałem o Cohanie. Dlaczego nie zaatakowano go w Nowym Jorku, tak jak tamtych? Nie masz czasem żadnych zgłoszeń o próbach włamania do jego domu, co? Albo o czymś podobnym?

– Zaraz sprawdzę.

Z ostatnią kanapką w ręce Parker podszedł do komputera, usiadł i postukał w klawisze.

– Nie, żadnych takich meldunków. – A po chwili dodał: – Czekaj. To ciekawe.

– Co?

– W zeszłym tygodniu miało miejsce podwójne zabójstwo w zaułku obok domu Cohana. Typowe bandziory. Zastrzeleni. Sekcja wykazała mnóstwo alkoholu i ślady kokainy. Obaj byli wielokrotnie zatrzymywani przez policję. Handel narkotykami, jeden był sutenerem.

Po ekranie przewijały się dane. Blake, walcząc z rosnącym podnieceniem, zapytał:

– Z jakiej broni ich zabito?

Parker postukał w klawisze, a potem się wyprostował.

– Dobry Boże, z colta 25. – Odwrócił się. – Porównam pociski.

Gwałtownie zaatakował klawiaturę i obejrzał wynik.

– No widzisz, Blake. Myślałeś, że tylko czterech Synów Erin zastrzelono z tej samej broni, a ja mam dla ciebie jeszcze dwóch.

Blake był oszołomiony.

– Dlaczego ci dwaj?

Parker rozmyślał przez chwilę.

– Widzisz, oczywistym ogniwem jest dom Cohana. To dobra dzielnica, a ci dwaj to oprychy. Pewnie tylko tamtędy przechodzili.

– Chcesz powiedzieć, że znaleźli się w niewłaściwym czasie w niewłaściwym miejscu?

– A skąd mam wiedzieć, do licha? Mam za mało danych. Może ktoś czekał na Cohana i ci dwaj nadziali się na niego.

Blake pokiwał głową.

– Masz rację. Do licha!

– I co zamierzasz zrobić?

– Chcę obejrzeć miejsce zbrodni. – Wstał. – Dzięki, Harry. Na pewno jeszcze tu wrócę.

Wyszedł.

Lady Helen wyszła na spacer, osłaniając się parasolką. Przystanąła w sosnowym lasku, popatrzyła na wzburzone morze, wyjęła telefon komórkowy i zadzwoniła do Barry'ego.

– A, jest pan tam – powiedziała.

– Czego chcesz?

– Niczego szczególnego. Pomyślałam, że możemy porozmawiać. Tutaj jest okropna pogoda. Leje jak diabli.

Barry był zadziwiająco spokojny.

– Gdzie jesteś?

– No, robimy postępy. Po raz pierwszy pan o to pyta. Podpowiem panu. Na wschodnim wybrzeżu Anglii.

– Yorkshire czy Norfolk?

– Za dużo chce pan wiedzieć.

Zdziwiło go, że zachowywała się tak rozsądnie.

– A czego pani właściwie chce?

– Pana, panie Barry. Martwego.

Rozłączyła się. Barry podszedł do kredensu, wyjął butelkę whisky i nalał sobie szklaneczkę. Paliła go w gardle. Kiedy zapalał następnego papierosa, trzęsły mu się ręce. Nie ulegało wątpliwości, że ta wiedźma nie zrezygnuje. Zadzwoił do Łącznika.

– Posłuchaj, nie powiedziałem ci jeszcze wszystkiego o tej historii z Cohanem.

– No to lepiej zrób to teraz – rzekł Thornton.

Barry opowiedział wszystko. Kiedy skończył, Thornton poprosił: – Powtórz jeszcze raz, co powiedziała o synu.

Barry się zastanowił.

– Mówiła, że trzy lata temu zamordowałem w Ulsterze jej syna oraz jego przyjaciół. Czterech, w tym jedną kobietę.

– Czy to ci coś mówi?

– Rany boskie, jestem na wojnie od lat. Chcesz wiedzieć, ilu ludzi zabiłem?

– Dobrze, dobrze. Zostaw to mnie. Może to jakiś ślad. Sprawdzę.

Blake kazał się podwieźć pod dom Cohana na Park Avenue, ale zaparkowali po drugiej stronie ulicy. Siedział w samochodzie, czytając raport z miejsca zbrodni. Sprawozdanie było jasne i zwięzłe. Zabójstwo miało miejsce po północy, kiedy deszcz przepłoszył ludzi z ulic.

Usiłował to sobie wyobrazić, patrząc na dom Cohana. Było ciemno i mokro, a wszystko musiało się wydarzyć błyskawicznie, gdyż patolog stwierdził natychmiastowy zgon obu opryszków. Blake zmarszczył brwi. Coś tu się nie zgadzało. Wrócił do raportu patologa i szybko go przejrzał. Ofiara pierwsza, grupa krwi 0, Ofiara druga, grupa krwi A. Rzecz w tym, że na koszuli ofiary numer dwa znaleziono ślady krwi z innej grupy, a mianowicie B.

Tak więc był jeszcze ktoś trzeci, kto wziął udział w starciu. Czyżby zabójca? Blake pokręcił głową. Z jakiegoś powodu nie wierzył w to. Obaj ci faceci zostali zastrzeleni zbyt sprawnie i fachowo. Zabójca nie

dopuszczyłby do bezpośredniego kontaktu. Znow zmarszczył brwi. Chyba że był ktoś jeszcze. Cztery osoby, nie trzy.

Postanowił spojrzeć na to z innego miejsca, z chodnika po drugiej stronie ulicy.

– Wróć do głównej kwatery i czekaj tam na mnie – polecił kierowcy.
– Wezmę taksówkę. Daj mi tylko parasol.

Szofer zrobił, co mu kazano, i odjechał, a Blake otworzył parasol. A więc była noc, a ona czekała, aż Cohan wróci z jakiegoś spotkania. Gdzie powinna czekać? Po tej stronie ulicy, nie po tamtej, gdyż stąd miała dobre pole widzenia i mogła oddać w miarę pewny strzał.

Odwrócił się i zajrzał do zaułka. Mnóstwo bram, w których cieniu można się ukryć. Co więc się stało? Czyżby coś poszło nie tak? Do diabła z tym, pomyślał Blake, wyjął paczkę papierosów i zapalił. To nie była pora na rzucanie palenia. Głęboko się zaciągnął, a ten przeklęty marcowy deszcz pociekł mu z parasola na ramię.

Te dwie ofiary weszły do zaułka, zapewne chowając się przed deszczem. Nie powinny się tu znaleźć, nie o tej porze i nie w tej dzielnicy. Gdybym był zabójcą i czekał na Cohana – pomyślał Blake – co bym wtedy zrobił? Spojrzał na dom Cohana i w tym momencie zza rogu wyszło dwoje młodych ludzi, kuląc się pod parasolem. Blake patrzył, jak idą Park Avenue, mijają zaułek, skręcają za następny róg i znikają mu z oczu.

– No właśnie – mruknął pod nosem. – Tak myślałem. Ktoś się pojawił. W nieodpowiednim miejscu i czasie.

Osoba mająca krew grupy B opuściła miejsce zbrodni, Bóg wie, w jakim stanie. Dokąd się udała?

Blake przeszedł przez ulicę i przystanął u wylotu zaułka. Powiedzmy, że ktoś stąd uciekał. W jakim kierunku by pobiegł? W prawo czy w lewo? Do licha, on najpierw pójdzie na lewo, tylko dlatego, że w tę stronę poszli teraz ci młodzi ludzie.

Zapalił następnego papierosa, miarowym krokiem pomaszerował chodnikiem, skręcił za róg i dotarł do następnego bloku, mijając po drodze szereg biur i butików, które na pewno były zamknięte po

pólnocy.

– Wszystkie oprócz tego – mruknął, spoglądając na budynek po przeciwnej stronie. – Ten jest zawsze czynny.

Z napisu wynikało, że tutaj mieści się St. Mary's Hospital. Szpital był prywatny i wielka tablica głosiła, że świadczy rozmaite usługi, włącznie z transportem, wyjazdami karetok pogotowia i nocnymi dyżurami.

– A więc jesteś tutaj – powiedział do siebie Blake. – Jest noc, pada deszcz i krwawisz. Dokąd pójdziesz?

Wszedł do bramy, wyjął telefon komórkowy i zadzwonił do Harry'ego Parkera.

– Harry, jesteś mi potrzebny.

– Masz coś?

– Powiedzmy, że coś wyczuwam, a jeśli mam rację, to powinien mi towarzyszyć policjant.

– Gdzie jesteś? – Blake podał mu adres. – Dobrze, zaraz tam będę.

Parker z Blake'em weszli do izby przyjęć, zaskakująco eleganckiego wnętrza: stonowane wykładziny podłogowe, wygodne fotele, spokojna muzyka. Dyżurująca w recepcji pielęgniarka miała na sobie strój, który mógłby być zaprojektowany przez Armaniego, i pewnie był.

– Panowie? – zapytała czujnie. – W czym mogę pomóc?

Harry błysnął złotą odznaką.

– Kapitan Parker, z policji nowojorskiej. Potrzebne mi są pewne informacje w związku z dochodzeniem w sprawie morderstwa.

– Zatem lepiej sprowadzę tu dyrektora administracyjnego, pana Schofielda.

– Zrób to, skarbie – rzekł Harry.

Schofield nosił granatowy garnitur w białe paski, był opalony i wypoczęty. Usiedli w jego wystawnie urządzonej gabinecie i Parker powiedział mu tyle, ile powinien wiedzieć. W pobliżu miało miejsce podwójne morderstwo i być może podczas strzelaniny została ranna

jeszcze trzecia osoba.

– To wygląda na poważną sprawę – zauważył Schofield.

– Owszem. Mój kolega jest z FBI, to najlepszy dowód, jak bardzo poważna jest ta sprawa – rzekł Harry Parker.

– Czego panowie ode mnie oczekują?

Blake sięgnął po notatnik i napisał datę.

– Wczesny ranek tego dnia. Czy po północy w izbie przyjęć zjawiała się jakaś ranna osoba?

– Panowie, musimy przestrzegać tajemnicy lekarskiej.

– Tutaj ma pan upoważnienie podpisane osobiście przez prezydenta. Blake wyjął dokument i pokazał dyrektorowi.

– O Jezu! – powiedział Schofield. – W porządku, zaraz sprawdzę. Usiadł za biurkiem, przejrzał książkę przyjęć i kiwnął głową.

– Mamy tu odnotowaną pacjentkę. Niejaką Jean Wiley. Przybyła 0 pierwszej piętnaście tamtego dnia. Miała ranę twarzy. Opatrzył ją lekarz dyżurny, doktor Bryant.

Recepcjonistka powiedziała:

– Doktor Bryant ma dzisiaj dyżur, panie Schofield. Widziałam, jak schodził do bufetu.

– Doskonale – ucieszył się Parker. – Proszę tylko wskazać nam drogę, panie Schofield.

Bryant był lekko otyłym mężczyzną około trzydziestki. Miał okulary, ciemne kręcone włosy i brodę. Siedział w kącie, jedząc bułkę paryską i zupę. Podniósł głowę.

– Schofield, człowieku, co znów chcesz mi sprzedać?

– Ci panowie chcą zamienić z tobą kilka słów. – Schofield odwrócił się do nich. – Doktor Bryant skończył z wyróżnieniem studia medyczne na Harvardzie. Mamy szczęście, że zechciał u nas pracować. Proszę o tym pamiętać, dobrze?

– Och, Clarence – rzekł Bryant – przestań mnie dopieszczać. O co chodzi?

Parker przedstawił siebie i Blake'a, pozbył się Schofielda i wyjaśnił, o co chodzi. Potem dodał:

– Jestem pewien, że pan może nam pomóc.

– W porządku, niech pomyślę.

– Przyniosę panu kawę – zaproponował Blake.

– Herbatę, człowieku, herbatę. Przez trzy lata pracowałem w Guy's Hospital w Londynie i zasmakowałem w niej. Te angielskie śniadania.

Blake wrócił z kawą. Bryant wyrzucił właśnie puste opakowanie po papierosach. Blake wyjął swoje marlboro.

– Myślałem, że wy, lekarze, jesteście przeciwnikami palenia?

– Czyżby pan chciał mnie pozbawić przysługujących mi praw?

– W porządku, wróćmy do tamtego paskudnego nocnego dyżuru, kiedy zjawiała się tu niejaka Jean Wiley. Co jej dolegało?

– Miała rozciętą twarz, niezbyt głęboko, ale z całą pewnością nożem.

– Pytał pan, jak to się stało?

– Oczywiście. Twierdziła, że się poślizgnęła w kuchni.

– Bzdura? – podsunął Blake.

– Nie, bujda, jak mówią w Londynie. To była rana od noża. Pięknie ją pozszywałem, dziewczyna podała nam numer swojej polisy i poszła.

– W porządku – rzekł Parker. – Jeśli podała numer polisy, to będą ją mieli w komputerze. W ten sposób dowiemy się, jaką ma grupę krwi.

– To niepotrzebne – powiedział Bryant. – Pamiętam ją.

Spojrzeni na niego, a on lekko się zaczerwienił.

– Kilka razy widziałem ją w pobliżu. Przychodzi na lunch do restauracji „U Nicka”, za rogiem. Ona... no cóż, jest bardzo atrakcyjna. – Wzruszył ramionami i uśmiechnął się. – Poza tym ma krew grupy B.

Parker spojrział na zegarek.

– Właśnie zbliża się pora lunchu.

Bryant zawahał się, a potem powtórzył to samo, co wcześniej powiedział Schofield:

– Posłuchajcie, musimy przestrzec tajemnicę lekarskiej.

– Chwilkę przed tym, jak tutaj przyszła, na sąsiedniej ulicy miało miejsce podwójne zabójstwo. To ważne, doktorze. Ani policja, ani FBI nie wysyłają kapitanów policji na ulicę w błahych sprawach.

– To jeszcze dziecko. Chyba nie chcecie powiedzieć, że ona kogoś

zabiła?

– Nie, nic takiego nie mówię – odparł Blake. – Jednak, jak zawsze mówią policjanci w takich wypadkach, w celu wyjaśnienia wątpliwości musimy skreślić ją z listy.

– W porządku – powiedział ze znużeniem Bryant. – Wskażę wam ją. Tylko potraktujcie ją łagodnie, dobrze?

– My jesteśmy z nowej szkoły – powiedział mu Parker. – Mieliśmy zajęcia z wrażliwości. Chodźmy już.

Lokal Nicka był mały, ukryty w bocznej uliczce, a trzech faceci za ladą trajkotali między sobą po grecku, przyjmując zamówienia i robiąc świeże kanapki. W pomieszczeniu było ciepło i szyby częściowo zaparowały. Bryant zajrzał do środka.

– Nie widzę jej.

– Dobrze, postoiśmy tam i poczekamy – rzekł Parker.

– Muszę wracać do pacjentów. – zaczął Bryant, gdy ruszyli w kierunku pobliskiej bramy, ale nagle zeszywniał. – O, ona tam idzie, przechodzi przez ulicę. To ta mała brunetka w niebieskiej pelerynie, z czarnym parasolem.

Jean Wiley złożyła parasolkę i weszła do lokalu.

– Ma niezłe nogi – zauważył Bryant.

– Owszem, tylko niech pan pamięta o właściwych relacjach między lekarzem a pacjentem – przypomniał mu Parker. – Bardzo dziękujemy, doktorze Bryant. Może pan już iść.

– Gdybym był potrzebny, wiecie, gdzie mnie znaleźć – odparł Bryant i odszedł, postawiwszy kołnierz płaszcz.

Blake i Parker podeszli do okna restauracji i zajrzeli do środka. Dziewczyna wzięła tacę z kawą i kanapkami, po czym usiadła przy stoliku w głębi lokalu. Było jeszcze wcześnie i w knajpce nie było wielu gości.

– Jak to rozegramy? – zapytał Harry Parker.

– Chyba nie będziemy musieli odgrywać złego i dobrego gliniarza.

Powiedzmy, że ty będziesz wielkim dobrodusznym gliną z ubolewaniem spełniającym swój obowiązek, a ja miłym federalnym. Tylko pamiętaj o jednym, stary druhu, ja tu dowodzę. To ja decyduję, co z nią zrobić.

– Im więcej się dowiaduję o tej sprawie, tym bardziej się cieszę, że nie ja ją prowadzę – mruknął Parker. – Wchodzimy.

Jean Wiley jadła kanapkę z kurczakiem i sałatkę, jednocześnie czytając książkę. Blake zauważył, że jest to „Emma” Jane Austen. Podniosła głowę i lekko zmarszczyła brwi.

– Możemy się przysiąc? – zapytał Parker.

– Wydaje mi się, że w lokalu jest mnóstwo wolnych stolików.

– Lepiej będzie, jeśli porozmawiamy – dodał łagodnie Blake.

Parker błysnął swoją złotą odznaką.

– Policja, kapitan Harry Parker. Mój kolega, pan Johnson, jest z FBI.

– Sądźmy, że pani może nam pomóc – rzekł Blake. – Chodzi o to podwójne zabójstwo w zeszłym tygodniu.

Jej twarz mówiła wszystko. Skurczyła się i pobladła.

– O mój Boże! – Dziewczyna nagle postarzała się o kilka lat. – Muszę iść do toalety.

– Oczywiście – przytaknął Harry Parker. – Tylko proszę nie wychodzić tylnymi drzwiami. Wiem, kim pani jest, i musiałbym posłać po panią radiowóz, a pani szefowi z pewnością by się to nie spodobało.

Wstała z cichym łkaniem, wywracając filiżankę z kawą. Pobiegnęła do toalety na zaplecze, a jeden z mężczyzn wyszedł zza lady ze ścierką w ręce.

– Hej, co jest? – warknął z oburzeniem. – To miły dzieciak. Nie możecie przychodzić tu i męczyć moich gości.

– Mogę nawet zamknąć ten lokal, jeśli zechcę – odparł Harry, znów pokazując odznakę. – Policja.

– Ta młoda dama była świadkiem przestępstwa – wyjaśnił Blake. – Chcemy tylko zadać jej kilka pytań.

Mężczyzna natychmiast się uspokoił.

– W porządku, ja jestem Nick i to mój lokal. Chcecie kawy?

– Jasne – powiedział mu Parker. – Oto, co lubię: chęć do współpracy.

Dziewczyna wróciła po kilku minutach, blada, ale spokojna.

W oczach miała stalowy błysk. Blake doszedł do wniosku, że ta mała ma charakter. Usiadła i upiła łyk świeżej kawy, którą przyniósł Nick.

– No dobrze. Czego panowie chcą?

– Ustalić parę szczegółów. Jean Wiley, zgadza się? – powiedział Parker. – Lat dwadzieścia cztery?

– I co z tego?

– Ma pani małą bliznę na lewym policzku. Zniknie z czasem, ale nawet teraz wygląda z nią pani interesująco.

Była zła i spojrzała na niego gniewnie.

– Czym się pani zajmuje? – spytał Blake.

– Jestem aplikantką u Weingartena i Moore’a, tuż za rogiem. Dwa lata temu skończyłam studia prawnicze na uniwersytecie stanu Columbia, więc znam moje prawa, panowie.

– Dalej mamy być mili? – jęknął Parker, spoglądając na Blake’a, i zaatakował dziewczynę: – Może nam pani wyjaśni, w jaki sposób pani krew znalazła się na koszuli zamordowanego człowieka?

To naprawdę nią wstrząsnęło. Badawczo i niespokojnie spojrzała na Blake’a, który dodał:

– Może skończymy z tą zabawą? W zeszłym tygodniu kilkaset metrów stąd zastrzelono dwóch oprychów, mniej więcej po północy.

– Jeden z nich miał krew grupy A, a drugi grupy 0 – dorzucił Parker.

– A ponadto ślady krwi grupy B na koszuli.

– Najwidoczniej poplamiał ją, kiedy rozciął pani policzek. Zapewne trzymał panią, a pani usiłowała się wyrwać. Mam rację, prawda? Złapali panią, kiedy szła pani ulicą.

Skrzywiła się i powiedziała cicho:

– Dranie. Parszywe dranie. – Nabrała tchu i łyknęła kawy. Trzęsły się jej ręce. – To niezła historyjka, kapitanie, ale ja znam moje prawa i nic nie powiem.

– Do licha, badanie DNA powie nam wszystko.

Nagle Blake zrozumiał, co się wydarzyło. Wszystkie kawałki ułożyły się na właściwych miejscach. Dillon w Wapping, patrzący z Tamizy w celującego do niego Tima Pata Ryana i uratowany przez kobietę, tajemniczą zabójczynię, która likwidowała jednego Syna Erin po drugim.

– Zamierzali panią zgwałcić, może zamordować – powiedział łagodnie Blake. – Szarpała się pani, zagrozili pani nożem, skaleczyli twarz, a wtedy z ciemności i deszczu wyszła ta kobieta i zastrzeliła obu.

Parker spojrział na niego, marszcząc brwi.

– Co mówisz?

Dziewczyna była wstrząśnięta i nie zdołała tego ukryć.

– Skąd pan wie?

Zapadła chwila ciszy. Potem Blake powiedział:

– Czasem takie sprawy są jak układanka. Przez pewien czas niczego nie widać, a potem nagle wszystko układa się na swoim miejscu i powstaje wyraźny obraz.

Parker też już złagodniał.

– Opowiedz nam wszystko, kochanie.

– Nie mogę – odparła. – Wolalabym umrzeć, niż zaszkodzić tej kobiecie.

Drżała. Blake odwrócił się i zawołał do Nicka:

– Możemy dostać brandy? Macie? Dobrze. I gorącą kawę, może po turecku?

Otworzyła torebkę, próbowała wyjąć paczkę papierosów, ale upuściła je.

– Niech to diabli! – mruknęła. – Powinnam rzucić palenie.

– Pani, ja i wszyscy moi znajomi.

Blake wyjął swoje marlboro, zapalił jednego i podał jej.

– Jak w filmie – zaśmiała się nerwowo.

– Tak, naprawdę romantyczny z niego gość. – Parker wziął brandy od Nicka i podał dziewczynie. – Proszę wypić.

Zrobiła, co kazał, zakrztusiła się lekko i sięgnęła po kawę.

– Najlepsza używka na świecie – dodał Parker. – W dodatku zupełnie legalna.

– Jest jeszcze coś, co jest legalne – powiedział jej Blake. – Coś, o czym zapewne tylko szeptano na wykładach prawa.

Podał jej upoważnienie podpisane przez prezydenta. Pospiesznie przeczytała i spojrzała na niego z podziwem.

– Mój Boże.

– To oznacza, że może pani powiedzieć obecnemu tu kapitanowi Parkerowi, że to pani zabiła tych dwóch facetów, a on nic nie będzie mógł pani zrobić.

Zerknęła na Parkera.

– On ma rację, kochanie.

Pokiwała głową i jakby zapatrzyła się w przeszłość.

– Wy, mężczyźni, nie macie pojęcia, jak to jest, kiedy kobieta znajdzie się w prawdziwych opałach. To najgorsza rzecz na świecie. – Zadrzała. – To okropne, potworne. Jakby wszystko się skończyło.

– A wtedy pojawia się anioł stróż? – odpowiedział Blake. – Proszę nam o tym opowiedzieć.

– Miałam randkę, która nie wypaliła. Facet mnie okłamał, nie powiedział, że jest żonaty. Jedliśmy kolację we włoskiej knajpce kilka przecznic stąd, późny posiłek po spektaklu. Upił się i wygadał, że w domu czeka na niego żona i dzieciaki. Zerwałam się i wyszłam.

– I nie mogła pani znaleźć taksówki? – podsunął Parker.

– Było po północy, a poza tym lało jak diabli, a czy w taką pogodę na Manhattanie można złapać taksówkę?

– A więc poszła pani piechotą?

– Taka byłam mądra. Miałam parasolkę, ale i tak całkiem przemokłam. Byłam tak zła, że nogi same mnie niosły, a potem, na rogu, usłyszałam jakieś krzyki, ktoś mnie złapał i wciągnął w ciemną uliczkę. Jeden z tych facetów mnie trzymał, a drugi rozciął mi policzek nożem sprężynowym. – Zadygotała jeszcze mocniej. – Mówili, co ze mną zrobią. Wygadywali obrzydliwe rzeczy.

– A wtedy pojawiła się ona? – zapytał Blake.

Dziewczyna mówiła jakby do siebie, jakby ich tam wcale nie było.

– To było niewiarygodne. Miała taki łagodny głos. Rozkazała im, żeby mnie puścili. Widziałam, jak stała tam, u wylotu uliczki. Jeden trzymał mnie od tyłu, a drugi krzyczał coś do niej, groził. Nie pamiętam, co mówił, a potem chyba ruszył w jej kierunku, a ona podniosła rękę, w której trzymała kapelusz i zastrzeliła go.

– Czy strzał był głośny? – zapytał Parker.

– Nie, zupełnie cichy.

– Tłumik – pokiwał głową. – A ten drugi?

– Próbował zasłonić się mną jak tarczą i wyjął nóż, ale ona strzeliła mu w głowę.

Parker obrócił się do Blake'a.

– Powiem ci coś. Ona musi być piekielnie dobra, jeśli zaryzykowała taki strzał. W dodatku w ciemności. Miałaś rację, Blake. Nie spodziewałem się, że to profesjonalistka takiej klasy.

– Proszę, mi ją opisać – poprosił Blake.

– To było najdziwniejsze. To była prawdziwa dama. Mogła mieć około sześćdziesięciu lat. Miała kapelusz przeciwdeszczowy, prochowiec i parasolkę. Jej włosy, jeśli dobrze widziałam, były siwe.

– A twarz?

– Nie każcie mi oglądać zdjęć. To byłaby czysta strata czasu. Nie widziałam jej tak dobrze, żeby ją rozpoznać, i nie zrobię tego.

– W porządku – rzekł Blake. – Nie będę się tego domagał. Ta historia ma znacznie szerszy aspekt, którego nie mogę pani wyjaśnić, bo chodzi o bezpieczeństwo narodowe. Nie jest to sprawa, która trafi do sądu. Ci dwaj zastrzeleni faceci to tylko kolejne nazwiska na liście niewyjaśnionych zabójstw w Nowym Jorku.

– A więc nie zostanę zatrzymana... ani nic?

– Na pewno nie – obiecał Blake i zwrócił się do Parkera. – Potwierdź to, proszę.

Kapitan powiedział:

– On tu dowodzi, a ja tylko służę mu wszelką możliwą pomocą. To podpisane przez prezydenta pełnomocnictwo nadaje mu wszelkie

możliwe uprawnienia.

– Gwarantuję, że pani nazwisko nigdzie nie zostanie wymienione – dodał Blake. – Złożę raport bezpośrednio prezydentowi, ale solennie przysięgam, że nawet jemu nie wyjawię pani nazwiska.

– A on? – ruchem głowy wskazała Parkera.

– Powiedz jej, Harry.

– Nie wiem, o czym mówisz, kochanie – powiedział Harry Parker. – Nigdy cię nie widziałem.

Obaj wstali.

– Jeśli wszystko dobrze pójdzie, nie będę już pani niepokoił, panno Wiley. – Już miał odejść, ale zawahał się. – Jeszcze jedno. Jaki miała głos?

– Och, dystyngowany, jak u damy. No, wiecie, panowie... Prawie jakby była Angielką.

– Chce pani powiedzieć, że to może być Angielka? – zaniepokoił się Parker.

– Och nie, to był raczej akcent Amerykanki z wyższych sfer.

– Takiej, jaką można spotkać u Bergdorfa Goodmana?

– Albo u Harrodsa w Londynie. – Wzruszyła ramionami. – To dama z towarzystwa. Co więcej mogę powiedzieć?

– Dobrze – skinął głową Parker. – Następnym razem proszę kazać restauratorowi wezwać taksówkę.

Wyszli i stanęli na deszczu. Blake zapytał:

– I co to tym myślisz?

– To najdziwniejsza historia, jaką kiedykolwiek słyszałem, Blake. Mamy do czynienia z jakąś miłą staruszką o manierach mamusi prezydenta, która niczym leciwy Brudny Harry odstrzeliwuje gwałcicieli.

– I Tima Pata Ryana w Londynie.

– A także Brady'ego, Kelly'ego i Cassidy'ego w Nowym Jorku, i chyba także Cohana w Londynie. Mówię ci, Blake, instynkt policjanta podpowiada mi, że to czysto osobista sprawa.

– Masz rację.

– Myślę, że ma to ściślejszy związek z Synami Erin, niż ci się zdaje, ale to nie mój problem, tylko twój. Zgodnie z tym, co nakazuje upoważnienie podpisane przez prezydenta, nigdy nie byliśmy na lunchu z tą małą Wiley. – Zerknął na zegarek. – Muszę iść. Zaraz mam spotkanie z komisarzem i wiesz, co jest najbardziej irytujące? Nie mogę mu się pochwalić, co zrobiłem w tej sprawie.

Ruszył jak burza i natychmiast złapał taksówkę. Blake odprowadził go wzrokiem, a potem odwrócił się i odszedł.

Złapał samolot do Waszyngtonu i podczas lotu zastanawiał się nad różnymi rzeczami. Potem zadzwonił do Alice Quarmby i poprosił, żeby go umówiła z prezydentem.

– Doszedłeś do czegoś? – zapytała ostrożnie, jak zwykle.

– To wprost niezwykła historia, Alice – odparł. – Opowiem ci ją później.

Na szczęście siedział sam i następny fotel też był wolny. Blake odchylił oparcie, wyciągnął się, zamknął oczy i zaczął sobie wszystko układać, przechodząc od jednego wydarzenia do drugiego, usiłując powiązać je w spójną całość. Odprężył się tak bardzo, że zasnął, i obudziło go dopiero dotknięcie ręki stewardesy, kiedy wylądowali w Waszyngtonie.

Alice czekała na niego z mocną i gorącą kawą, a on usiadł za biurkiem, upił łyk i spojrzał na tackę z korespondencją.

– Zdaje się, że jest pełna, Alice.

– Większość mogę załatwić sama. Wystarczy twój podpis. Co się stało?

Opowiedział jej o wszystkim, czego dowiedzieli się od Jean Wiley, ale nie ujawnił nazwiska dziewczyny.

– Myślę, że kapitan Parker ma rację – powiedziała, kiedy skończył. – Nie wiemy nic o jakichś pobudkach osobistych, o czymś związanym z tymi skurwielami, Synami Erin.

– Alice, w twoim wieku takie brzydkie słowa.

– Nie śmieć się. – Spojrzała na zegarek. – Jeśli chcesz wiedzieć, to masz sześć minut, żeby wejść na górę i zobaczyć się z prezydentem. Spróbuj najpierw na basenie.

– Piękne dzięki. – Odsunął fotel i zerwał się na równe nogi. – Kiedyś ci się odwdzięczę, Alice.

Pospiesznie opuścił gabinet.

Jake Cazalet pływał tam i z powrotem, pokonując jedną długość basenu po drugiej, pilnowany przez dwóch ubranych w nienagannie odprasowane mundury sierżantów piechoty morskiej, pełniących rolę ratowników. Podpłynął do brzegu i spojrzał na Blake'a.

– Udana wycieczka?

– Można tak powiedzieć, panie prezydencie.

– Dobrze, ale teraz nie możemy rozmawiać. Wezmę prysznic, ubiorę się i spotkamy się na górze, ale nie będę miał dużo czasu. Mam mnóstwo roboty.

Kiedy Blake wszedł do Gabinetu Owального, Henry Thornton układał stos papierów na biurku.

– Jak poszło?

– No cóż, powiedzmy, że dowiedziałem się wiele, ale nie dosyć.

Thornton podniósł rękę.

– Nic nie mów. Poczekajmy na prezydenta. Zawsze lepiej przekazywać złe wieści w obecności osób trzecich. To uwalnia od poczucia osobistej odpowiedzialności.

– A czy prowadzone przez ciebie śledztwo coś dało? – zapytał Blake.

– Na razie nie – odparł Thornton.

Przyszedł prezydent. Włosy miał jeszcze wilgotne i rozczochrane.

– No dobrze, Blake, powiedz nam najgorsze.

Kiedy Blake skończył, obaj jego rozmówcy mieli poważne miny.

Thornton rzekł:

– No cóż, to już coś, panie prezydencie. Wiemy przynajmniej, że ta tajemnicza kobieta, o której mówił Dillon, naprawdę istnieje.

– Nie tylko. Najwidoczniej to ona odpowiada za śmierć wszystkich tych ludzi, co naprawdę jest wprost niewiarygodne – powiedział Cazalet. – Ale dlaczego?

– Z zemsty – odparł Blake. – To jedyne wytłumaczenie.

– A ta dziewczyna, której nazwiska nie chcesz nam wyjawić – spytał Thornton – nie mogłaby nam jakoś pomóc?

– Jak już mówiłem, opisała nam tę kobietę na tyle, na ile mogła.

– Cóż to za rysopis – skrzywił się Thornton. – Po sześćdziesiątce, siwowłosa, miły głos. Najwyraźniej dama z towarzystwa. Daj spokój, Blake, czy ta dziewczyna nie może powiedzieć czegoś więcej?

Cazalet podniósł rękę.

– Nie, Blake wyciągnął z niej wszystko, co mógł. Akceptuję to tak samo, jak jego prawo do dotrzymania słowa, które dał zarówno tej młodej kobiecie, jak i kapitanowi Parkerowi.

– Dobrze, panie prezydencie – zgodził się Thornton. – Tylko co nam to daje? Nie mamy żadnego punktu zaczepienia.

– Czy twoje śledztwo posunęło się naprzód?

– Obawiam się, że nie – przyznał Thornton.

Cazalet pokiwał głową i zmarszczył brwi.

– Proponuję, żebyś porozmawiał z brygadierem Fergusonem, Blake. Powiadom go o ostatnich wynikach dochodzenia. Czy możesz zrobić coś więcej?

– Zastanawiałem się, czy kamery wideo zamontowane w pobliżu zaułka, w którym miała miejsce strzelanina, mogły coś zarejestrować.

– Na przykład obraz tej kobiety?

– Może. Chociaż to mało prawdopodobne.

– Dobrze, idź tym tropem i, jak już mówiłem, poinformuj o wszystkim Fergusonem – rzekł Cazalet. – Może nawet byłoby dobrze ściągnąć tu Dillona.

– A co to pomoże, panie prezydencie? – zdziwił się Thornton.

– No cóż, podczas strzelaniny z Timem Patem Ryanem w Wapping widział przez chwilę tę tajemniczą kobietę.

– Tylko przez moment – przypomniał Blake.

– Owszem, ale może mógłby zidentyfikować ją na filmie z kamery wideo. Czy mamy jakiś inny trop?

– Raczej nie, panie prezydencie.

– A więc przejdźmy do innych spraw. – Zwrócił się do Thorntona: – To przyjęcie u Chada Luthera, pojutrze w Quogue. Jakies problemy, Henry?

– Żadnych, panie prezydencie. – Tu Thornton wyjaśnił Blake'owi. – Dobry stary Chad zebrał dla nas największe fundusze, a na jego przyjęciu będzie cały świat.

– Polecą pan Air Force One, panie prezydencie? – zapytał Blake.

– Nie. Wezmę jeden z gulfstreamów – odparł prezydent. – Prowadź swoje śledztwo, ale chciałbym, żebyś przyłączył się do mojej ochrony i towarzyszył mi tam. Weź helikopter.

– Proszę mi wybaczyć, panie prezydencie, ale wtedy będzie tu już Sean Dillon.

– Zabierz go ze sobą, oczywiście. Chętnie go znów zobaczę. – Cazalet uśmiechnął się. – Teraz jednak naprawdę muszę zabrać się do pracy. Nasz zacny stary Henry zaraz zacznie ziać ogniem i dymem.

Thornton zaśmiał się, a Blake opuścił Gabinet Ovalny.

Wróciwszy do swojego biura, zadzwonił do Harry'ego Parkera i poruszył sprawą kamer wideo.

– To niezły pomysł – rzekł Parker. – Kiedy rozmyślałem o tej sprawie po twoim wyjeździe, też na to wpadłem. Sprawdzę.

– No to na razie – powiedział Blake. – Aha, widziałem się z prezydentem i opowiedziałem mu o naszej rozmowie z tą dziewczyną. Powiedział, że jest ci wdzięczny za pomoc, Harry.

– No, nie rób ze mnie wała.

– To prawda, Harry. Będę cię informował o sprawie.

Harry Parker siedział za biurkiem, marszcząc brwi i rozmyślając o tym, co powiedział mu Blake. Nagle ponownie zadzwonił telefon i kobiecy głos spytał:

- Kapitan Parker?
- Kto mówi?
- Łączę pana z prezydentem.

Parker otworzył usta ze zdziwienia i kurczowo ścisnął słuchawkę, a prezydent rzekł:

- Harry Parker? Tu Jake Cazalet.
- Panie prezydencie? – zdołał wymamrotać Parker.

– Chcę tylko podziękować panu za pańskie starania. Blake Johnson zreferował mi sprawę. Wiem, że to prezydenckie upoważnienie musiało stanowić dla pana pewien problem, jako niezgodne z całym pańskim zawodowym doświadczeniem. Jestem głęboko wdzięczny za pomoc, jakiej bez namysłu pan udzielił w tej tak poważnej i poufnej sprawie.

– Panie prezydencie, jestem zawsze do pańskiej dyspozycji.

– Kapitanie, Blake kieruje tu specjalną jednostką podlegającą bezpośrednio mnie i szczerze mówiąc, coraz częściej korzystam z jego usług. Wiem, że żądałbym zbyt wiele, gdybym poprosił o to kapitana nowojorskiej policji o tak długim stażu pracy, ale może zechciałby pan przenieść się do niej?

Parker z trudem zachował spokój.

– Powiedziałem, że jestem do pańskiej dyspozycji, panie prezydencie, i tak też jest.

– Wspaniale. Nie od razu, ale niedługo Blake zwróci się do pana w tej sprawie.

Prezydent zakończył rozmowę. Harry Parker siedział, gapiąc się na słuchawkę, a potem powoli ją odłożył. Wstał, podszedł do okna i spojrzał na zasnuty deszczem Nowy Jork. W momencie, gdy jego koledzy myśleli o emeryturze, otwierały się przed nim zupełnie nowe możliwości.

Wrócił za biurko, otworzył drugą szufladę od góry i wyjął kubańskie cygaro „Romeo&Julietta”, których import do Stanów

Zjednoczonych był surowo zabroniony. Odgryzł koniec, zapalił i usiadł.

– No, no – uśmiechnął się szeroko. – No, no.

W Londynie był już wieczór, kiedy Blake połączył się z Fergusonem. Dokładnie zreferował brygadierowi, co się wydarzyło, rozmowę z Jean Wilej i słowa prezydenta. Ferguson uważnie go wysłuchał, a potem zapytał:

– A więc jeśli chodzi o tę tajemniczą kobietę to możemy jedynie liczyć na to, że uchwyciła ją któraś z kamer wideo zamontowanych przy Park Avenue?

– Czekam, aż to sprawdzą. Prezydent uważa, że byłoby dobrze, gdyby przyleciał tutaj Dillon. On też widział tę kobietę. Może mógłby ją zidentyfikować na taśmie wideo.

– Wątpię, ale wsadzę go do pierwszego odlatującego samolotu.

– Bardzo dziękuję, brygadierze.

– Dobrze, kontaktuj się ze mną.

Ferguson odłożył słuchawkę, pomyślał, a potem zadzwonił do wydziału transportu Ministerstwa Obrony.

– Mówi brygadier Ferguson. Jakie jest najszybsze połączenie z Waszyngtonem?

– Concord odlatujący rano, panie brygadierze.

– No cóż, myślę, że rząd Jej Królewskiej Mości będzie musiał pogodzić się z tym wydatkiem. Zarezerwujcie miejsce dla Dillona, a gdyby mieli komplet pasażerów, niech kogoś wysadzą.

Potem zadzwonił do Stable Mews. Nikt się nie zgłosił. Spróbował zadzwonić pod numer telefonu komórkowego Dillona i tym razem poszło mu lepiej. Na tle gwaru i muzyki usłyszał wyraźny głos Irlandczyka.

– Kto mi przeszkadza w kolacji? – zapytał Dillon.

– Ja, ty głupi draniu. Gdzie jesteś?

– U Mulligana.

Ferguson zawahał się, ale zaraz uległ pokusie.

– No cóż, tamtejsze ostrygi są smaczne, nawet w twoim towarzystwie, Dillon. Będę tam za dwadzieścia minut.

Dillon siedział na pięterku w irlandzkiej restauracji Mulligana przy Cork Street, niedaleko hotelu „Ritz”. Przed nim stał talerzyk z tuzinem ostryg i butelka szampana Crystal. Ferguson wszedł po schodach i przepchnął się przez tłum.

– A więc tu jesteś. – Podniósł butelkę szampana. – Dlaczego nie Krug?

Pojawiła się młoda Irlandka.

– Jakies problemy? – zapytała Dillona po irlandzku.

– Oto miła dziewczyna z Cork, która mnie rozumie – powiedział Dillon do brygadiera, a do kelnerki po irlandzku z uśmiechem; – Nie denerwuj się, kochanie. Wygląda na jednego z tych nadętych Angoli, którzy dawali wam popalić, ale jego świętej pamięci mamusia pochodziła z Cork. Przynieś mu tuzin ostryg i kufel guinnessa.

Obdarzyła go uśmiechem i znikła w kuchni.

– Nie zrozumiałem ani słowa, ale zdaje się, że chcesz mnie nakarmić? – powiedział Ferguson.

– Oczywiście. Co się stało?

– Wstajesz o świcie, jedziesz na Heathrow i lecisz concordem do Waszyngtonu.

Dillon nadal się uśmiechał, ale tylko wargami.

– Mów.

Czterdzieści minut później brygadier z ekstatycznym wyrazem twarzy przełknął ostatnią ostrygę.

– Wspaniale! Tylko w irlandzkim barze podają takie ostrygi. I co o tym myślisz, Dillon?

– O Blake’u i sytuacji? Bóg wie. Ja ani przez chwilę nie wątpiłem, że mamy do czynienia z kobietą, ponieważ ją widziałem. Teraz opowieść tej dziewczyny tylko potwierdza to, co zawsze podpowiadał rozsądek. To nie jakaś organizacja wykończyła Synów Erin, lecz ktoś szukający zemsty. Tylko za co?

– Może tam czegoś się dowiesz – podsunął Ferguson.

– Zawsze uważałem, że podróże kształcą. – Dillon nalał mu kieliszek szampana. – Wiesz co, jedno mnie intryguje.

– Co takiego?

– Tyle wiemy o tych Synach Erin, a tymczasem tajny wywiad nie ma o niczym pojęcia. Tylko standardowe informacje o Barrym, ale nic poza tym. Zupełna pustka. To mi wygląda na jedną z tych spraw-które-nigdy-nie-miały-miejsca, w stylu Simona Cartera i jego ludzi.

– Możesz mieć rację.

– Jak zawsze – mruknął Dillon.

Blake siedział w swoim gabinecie w Piwnicy i rozmyślał. W końcu nacisnął guzik i wezwał Alice. Weszła i usiadła.

– Wyglądasz tak, jakbyś miał jakiś problem.

– Ten przeciek. Przeciek w Białym Domu. Musimy coś z tym zrobić.

– Czyżbyś nie miał zaufania do wysiłków szefa personelu?

– Nie o to chodzi. Czuję, że coś przeoczyliśmy. Posłuchaj, Alice, postaw się na miejscu Łącznika. Wszyscy Synowie Erin zginęli. Możesz porozmawiać tylko z jedną osobą, Jackiem Barrym.

– I co?

– Pamiętasz, jak kilka lat temu wytropiliśmy tego szpiega z Pentagonu? Pattersona?

W jej oczach pojawił się błysk zrozumienia.

– Masz na myśli „Synod”?

– Właśnie. Może spróbujemy prześledzić połączenia za pomocą tego komputera. Wprowadź nazwisko Jack Barry. Zobaczymy, co znajdzie.

– Szukać w Irlandii Północnej?

– Nie. Na pewno używają aparatów szyfrujących rozmowy, więc to na nic. Sprawdź nazwisko Barry i zobacz, co znajdziesz. Najpierw połączenia z Białym Domem, potem z Waszyngtonem.

– To miliony rozmów, Blake. Synod rejestruje wszystkie.

– W ten sposób przynajmniej dowiemy się, skąd ten ktoś dzwoni do Barry’ego. Spróbujmy, Alice. Co mamy do stracenia?

W Waszyngtonie Thornton zadzwonił do Barry'ego.

– Mam dla ciebie nowe wiadomości. Blake Johnson zdołał wytropić w Nowym Jorku dziewczynę, która opowiedziała mu niewiarygodną historię.

– Mów.

Kiedy Thornton skończył, Barry warknął:

– A to stara wiedźma, niech no tylko dostanę ją w ręce.

– Nie podniecaj się tak. Nawet nie wiesz, co to za jedna.

– Ty też nie.

– Tak samo jak Johnson, prezydent i nasz stary znajomy Dillon w Londynie. Nawiasem mówiąc, Dillon wkrótce tu przyleci i spróbuje rozpoznać tę kobietę na taśmie wideo.

– Wciąż się zastanawiam, skąd ty o tym wszystkim wiesz.

– Już ci mówiłem, mam swoje źródła. Nie martw się o mnie, tylko o siebie.

– W porządku. To co z tą kobietą?

– Zostaw to mnie. Może na coś wpadnę.

Tego wieczoru Thornton zaczął poszukiwania za pomocą swojego komputera. Miał dostęp do większości, a może nawet do wszystkich istniejących baz danych. Na początek sprawdził dane CIA o paramilitarnych lojalistycznych organizacjach protestanckich w Irlandii Północnej. Przejrzał dane Jacka Barry'ego oraz wszystkich aktywistów IRA i Sinn Fein, od Gerry'ego Adamsa do Martina McGuinnessa.

Jack Barry spędził sporo czasu na Środkowym Wschodzie i wtedy trzykrotnie odwiedził pod fałszywymi nazwiskami Stany Zjednoczone. Motywy zabójstwa członków Synów Erin, od Tima Pata Ryana po senatora Cohana, nadal pozostawały zagadką. Nie ulegało wątpliwości, że ktoś postanowił pozabijać ich wszystkich.

Dlaczego? Thornton pokiwał głową. Z zemsty, ale za co? Cóż takiego zrobili? Zastanawiał się nad tym i przypomniał sobie, co ta

kobieta powiedziała Barry'emu: „Przed trzema laty zamordowałeś w Ulsterze mojego syna i czworo jego przyjaciół, w tym kobietę”.

Zaczął sprawdzać dane sprzed trzech lat, szukając informacji przekazanych przez Brytyjczyków Białemu Domowi, a potem sobie przypomniał. Jego pierwszy duży sukces. Grupa agentów działających w Belfaście. W tym czasie rząd zachęcał służby wywiadowcze do dzielenia się wszelkimi informacjami z Białym Domem. Napływało ich tyle, że Thornton zdążył już zapomnieć, które przekazał Barry'emu. Ponownie postukał w klawiaturę komputera i przywołał dane na ekran.

Jason, porucznik piechoty morskiej, zastrzelony w Londonderry. Archer, porucznik żandarmerii, zginął w Omagh w wyniku eksplozji bomby podłożonej w samochodzie. Jakaś kobieta, również z żandarmerii, zastrzelona na ulicy w Belfaście. I młody zawodowy kapitan piechoty, najwidoczniej wybrany do tego zadania, ponieważ jego matka pochodziła z Ulsteru.

Pozostał jeszcze jeden. Thornton siedział, rozmyślając, a potem sprawdził piątego członka grupy, a zarazem jej dowódcę. Major Peter Lang, Gwardia Szkocka i SAS, zabity w South Armagh w wybuchu tak silnej bomby, że nie znaleziono ani śladu ciała. Thornton zastanawiał się chwilę, aż w końcu doszedł do wniosku, że wpadł na jakiś trop. Podniósł słuchawkę i wybrał numer telefonu komórkowego Barry'ego.

Usłyszał zaspany głos Irlandczyka.

– Kto mówi?

– Powiedz – rzekł Thornton – ta grupa tajnych brytyjskich agentów, których załatwiłeś trzy lata temu.

– O co chodzi?

– Twoja rozmówczyni powiedziała, że zamordowałeś jej syna i czterech jego przyjaciół, w tym kobietę. Właśnie przypomniałem sobie, że to ja przekazałem ci informację o nich w tych dawnych, dobrych czasach, kiedy Brytyjczycy nam ufali.

Barry natychmiast oprzytomniał.

– Przypominam sobie.

– A ich dowódca, major Peter Lang? Według naszych danych zginął

w wyniku eksplozji bomby podłożonej w samochodzie. Wybuch był tak silny, że nie znaleziono ani śladu ciała.

Barry sięgnął po papierosa.

– On nie zginął w samochodzie. Podłożyliśmy silny ładunek pod wóz, żeby zmylić przeciwnika.

– Co z nim zrobiliście?

– A po co ci to wiedzieć? Wtedy nigdy nie pytałeś o szczegóły.

– To ważne. Powiedz.

– To był typowy angielski arystokrata, nadęty bubek. Zgarnęliśmy go, kiedy wychodził z pubu. Jeden z naszych służył w Gwardii Szkockiej i poznał go.

– Co zrobiliście?

– Wzięliśmy go w obroty. Teraz sobie przypominam. Miał aż za dobry akcent. Śmierdząca sprawa.

– Torturowaliście go?

– Można tak powiedzieć – warknął Barry. – Dlaczego ten facet tak cię interesuje?

– A po co wysadziliście w powietrze jego samochód?

Barry zaśmiał się.

– Gość był w takim stanie, że przepuściliśmy go przez wielką betoniarkę, która stała przy budowanym właśnie odcinku autostrady.

Na samą myśl o tym Thorntonowi zrobiło się niedobrze.

– Czemu to takie ważne? – zapytał Barry.

– Być może trafiłem na coś. Zadzwoń później.

Thornton rozłączył się.

Wrócił do Petera Langa z Gwardii Szkockiej i SAS, odznaczonego Krzyżem za jakieś tajemnicze zasługi, syna sir Rogera Langa, pułkownika Gwardii Szkockiej. Nagle znalazł informację, która zaparła mu dech. Matką majora była lady Helen Lang, obywatelka amerykańska urodzona w Bostonie. Po chwili miał na monitorze wszystkie szczegóły. Jej firmy, ogromny majątek, adresy w Londynie i w Norfolk. Nawet informacje o jej szoferze, weteranie z Wietnamu.

Thornton siedział przez chwilę, gapiąc się w ekran, a potem

podszedł do kredensu, znalazł butelkę Southern Comfort i nalał sobie sporą porcję. Stał przed oknem, rozkoszując się drinkiem i spoglądając na padający deszcz ze śniegiem. Jednego był pewien. Odkrył tożsamość tej tajemniczej kobiety.

W melinie w County Down Barry wstał z łóżka, włożył szlafrok i zrobił sobie w kuchni herbatę. Przeglądał wczorajszą „Belfast Telegraph”, gdy ponownie zadzwonił telefon.

– Zamknij się i słuchaj – rzekł Thornton. – Zabiliście majora Petera Langa z Gwardii Szkockiej i SAS. Jego ojcem był sir Roger Lang, którego żoną, to jest najlepsze, jest lady Helen Lang. Sądzę, że to ona do ciebie dzwoniła i to ona powiedziała, że zamordowałeś jej syna. Wszystko się zgadza: czas i tożsamość czwórki pozostałych.

– A to suka! – wybuchnął Barry. – Już po niej. To, co zrobiłem z jej synem, to nic w porównaniu z tym, co ją czeka.

– W porządku, nie podniecaj się. Co chcesz zrobić?

– Gdzie ją znajdę?

– W Londynie i w Norfolk.

Thornton podał mu adresy.

– Sprawdzę, gdzie jest teraz – mruknął Barry. – Mam w Londynie przyjaciół, którzy się tym zajmą.

– Ico?

– Skorzystam z mojej prywatnej firmy przewozowej. Polecę z chłopakami w odwiedziny i zajmę się tą babą.

– Dobrze wiedzieć. Chciałbym mieć jasną sytuację.

– Możesz na to liczyć. Zostaw to mnie.

Thornton odłożył słuchawkę i siedział, zastanawiając się nad tym. Z jakiegoś powodu nadal był zaniepokojony. Właściwie dlaczego?

Następnego ranka concorde wystartował z Heathrow do Waszyngtonu, a Dillon wziął kieliszek szampana, wyciągnął się w fotelu i rozmyślał o całej sprawie. W jakiś dziwny sposób czuł się

związany z tą tajemniczą kobietą. Intrygująca sytuacja. Dlaczego zabiła tyle osób? Z jakiego powodu? Nie posunęli się daleko. Ta cała Wiley tylko potwierdziła istnienie tej kobiety i jej niezwykle umiejętności strzeleckie.

Dlaczego, dlaczego? To pytanie wciąż go dręczyło i Dillon nie potrafił znaleźć na nie odpowiedzi.

Następnego dnia rano, mniej więcej wtedy, kiedy Dillon dolatywał do Waszyngtonu, przeglądający informacje o Helen Lang Thornton ze zdziwieniem spostrzegł, że jej prywatny gulfstream miał wylądować nazajutrz po południu na lotnisku Westhampton na Long Island. Siedział przez dłuższą chwilę, zastanawiając się nad tym. Odpowiedź na pytanie, po co przylatywała, była oczywista. Na przyjęcie u Chada Luthera. Thornton otworzył na ekranie inne okienko, przejrzał listę zaproszonych przez Luthera gości i znalazł ją. Po chwili namysłu znów zadzwonił do Barry'ego.

– Lady Helen Lang będzie jutro na przyjęciu dla grubych ryb na Long Island, więc nie szukaj jej w domu.

– Zaczekam – odparł Barry. – Nie martw się. Już przeszła do historii.

Przy South Audley Street lady Helen Lang nastawiała w kuchni czajnik z wodą, podczas gdy Hedley znosił po schodach jej bagaże. Przyszedł, kiedy woda się zagotowała. Lady Helen zaparzyła mu herbatę.

– Czy mogę coś dla pani zrobić?

– Nie. Rano odlecimy z Gatwick, po południu wylądujemy na Long Island i pojedziemy na przyjęcie u Chada Luthera.

– Zostaniemy tam?

– Być może będziemy musieli odjechać w pośpiechu.

Hedley nie dał się sprowokować.

– Jak pani każe, lady Helen.

Odwrócił się i wyszedł.

Siedzący za swoim biurkiem Ferguson zadzwonił do Hannah Bernstein i wezwał ją do siebie.

– Jak ci idą poszukiwania komputerowe?

– Nadal szukam, panie brygadierze. Nie mogę tylko zrozumieć, jak to możliwe, że chociaż tyle wiemy o Synach Erin i ich zamiarach, nie mamy żadnych wiadomości wyjaśniających ewentualne pobudki działania tej tajemniczej kobiety.

– A więc zgadzasz się z Johnsonem i Parkerem.

– Och tak, panie brygadierze. Jak ktoś przez długie lata pracuje na ulicy, prowadząc jedną sprawę zabójstwa po drugiej...

– Wtedy wyrabia się w nim instynkt, policyjny węch?

– Właśnie, panie brygadierze. Kiedy udam się na miejsce zbrodni i zobaczę, kto jest w to zamieszany, w większości wypadków od razu potrafię wytypować sprawców. To zupełnie inaczej niż w powieściach Agathy Christie.

Ferguson uśmiechnął się.

– Zgadzam się z tym, pani inspektor, a więc co nam pozostaje? Co podpowiada ci ten bystry, kształcony w Oxfordzie umysł?

– Centralnym punktem sprawy jest Jack Barry, ale w komputerze można znaleźć tylko listę jego przestępstw. Nie ma nic o jego powiązaniach z Synami Erin, ani jednej wzmianki o nich, a to bardzo dziwne, brygadierze.

– Jaki stąd wniosek?

– Nie ma tych danych, ponieważ ktoś je usunął.

– Tajna Służba Wywiadowcza?

– Obawiam się, że tak.

Ferguson uśmiechnął się.

– Wiesz co, ty naprawdę jesteś bardzo dobra, moja droga. Najwyższy czas, żeby Służba Bezpieczeństwa awansowała cię do stopnia nadinspektora. Muszę porozmawiać z komisarzem Scotland Yardu.

– Nie chodzi mi o awans, brygadierze. Jest tu czarna dziura, którą musimy wypełnić. Co mamy robić?

– A co proponujesz?

– Sądzę, że powinien się pan zobaczyć z zastępcą dyrektora Służb Specjalnych i, jak mówią nasi amerykańscy koledzy, skopać mu tyłek.

– Och, moja droga, Simonowi Carterowi to się nie spodoba, ale uważam, że masz rację. Zadzwoń do niego i powiedz, żeby za godzinę spotkał się z nami w „Szarym Lisie” przy St. James.

– Z nami, panie brygadierze?

– Nie chciałbym pozbawiać cię przyjemności nadeptnięcia mu na stopę obcasem jednej z tych szpilek od Manolo Blahnika, pani inspektor. Hannah uśmiechnęła się.

– Z przyjemnością, panie brygadierze.

„Szary Lis” był jednym z kilku ekskluzywnych pubów znajdujących się nieopodal pałacu Świętego Jakuba. Była druga trzydzieści, minęła już pora lunchu i w środku było prawie pusto. Ferguson i Hannah usiedli w kącie, w łoży oddzielonej przegródką od reszty sali.

– Dżin z tonikiem, pani inspektor?

– Woda mineralna, panie brygadierze.

– Jaka szkoda. Ja wypiję jednego głębszego.

Barmanka przyniosła napoje i niemal natychmiast pojawił się Simon Carter. Miał przemoczony płaszcz i energicznie strząsnął mokry parasol. Najwyraźniej nie był w najlepszym humorze.

– Co to, do diabła, ma znaczyć, Ferguson? Twoja pani inspektor dosłownie mi groziła, mnie, wicedyrektorowi Służb Specjalnych.

– Dopiero wtedy, kiedy pan powiedział, że jest pan zbyt zajęty, żeby się z nami spotkać – przypomniała Hannah.

Zdjął płaszcz, zamówił whisky z wodą i usiadł.

– Mówię o groźeniu mi skargą do premiera. To nie w twoim stylu, Ferguson.

– Mój drogi Carter, nie lubisz mnie, a gdybym się nad tym zastanowił, zapewne doszedłbym do wniosku, że ja też ciebie nie lubię. Jednak mamy teraz poważny problem, więc może wysłuchasz pani

inspektor.

Wypił dzin z tonikiem i zamówił następny. Hannah opowiadała o wszystkim: o zastrzeleniu Tima Pata Ryana, o śmierci Synów Erin, o Jacku Barrym i zeznaniu Jean Wiley. Carter był oszołomiony.

– W życiu nie słyszałem takich bzdur – wykrztusił.

Ferguson wzruszył ramionami.

– No to mamy jasną sytuację. – Zwrócił się do Hannah. – Na którą wyznaczono spotkanie z premierem?

Skłamała z przyjemnością:

– Na piątą, panie brygadierze, chociaż nie będzie mógł poświęcić panu wiele czasu. Wieczorem ma być w parlamencie.

Ferguson zaczął wstawać z fotela, ale Carter powstrzymał go:

– Zaraz, poczekaj.

Ferguson opadł na fotel.

– Na co?

Hannah Bernstein, policjantka jak zawsze, powiedziała:

– Może pan dopomóc nam w śledztwie?

– Och, dajmy spokój tym policyjnym formalnościom. – Carter zamówił następną szkocką i zwrócił się do Fergusona. – Niczego takiego nie powiedziałem. W razie czego zaprzeczę.

– Oczywiście.

– I żądam słowa pani inspektor, że pozostanie to tylko między nami. Jeśli nie może go dać, niech odejdzie.

Ferguson zerknął na Hannah, która kiwnęła głową.

– Ma pan moje słowo.

– No dobrze. A więc słuchamy.

– Nasze organizacje nie najlepiej współdziałają ze sobą, Ferguson. Jesteś zbyt niezależny. – Pokręcił głową. – Prywatna armia premiera. Nie podoba mi się to. Ludzie powinni być kontrolowani, a ty robisz, co ci się żywnie podoba.

– A pan nie? – zapytała łagodnie Hannah.

Carter upił łyk szkockiej.

– Są sprawy, o których nigdy ci nie mówiliśmy, Ferguson, ponieważ

nie ufaliśmy ci. Ty także nie mówisz nam o pewnych sprawach.

Ferguson skinął na Hannah, która powiedziała:

– Zna pan fakty. Jestem oficerem policji i nauczono mnie szukać odpowiedzi. Widzę „, że wszystkie ofiary zginęły z ręki jednej osoby i musi być po temu jakiś powód. Wydarzyło się coś okropnego i uważam, że pan wie, co to było. Sądzę, że wymazał pan to z komputerów firmy i zniszczył pan akta.

– Niech was szlag! – warknął Carter.

– Barry – rzekł Ferguson. – On musi być przyczyną tego wszystkiego. Mów.

Carter nabrał tchu.

– W porządku. Kiedy zaczął się proces pokojowy, kazano nam być miłymi wobec naszych amerykańskich kuzynów i przekazywać im wszelkie użyteczne informacje o tym, co dzieje się w Irlandii.

– Wiem o tym – mruknął Ferguson.

– Potem zorientowaliśmy się, że wiadomości przekazywane Białemu Domowi wpadają w ręce IRA. Kulminacyjnym punktem była odrażająca zbrodnia, jak dowiedzieliśmy się później, popełniona przez Jacka Barry’ego i jego bandę. Straciliśmy całą grupę, kilku naszych najlepszych agentów.

– Kogo?

– Pięciosobowy zespół, dowodzony przez majora Petera Langa, byłego żołnierza Gwardii Szkockiej i SAS. Poza nim jeszcze trzech innych mężczyzn i kobietę.

– Tak, przypominam sobie tę historię – rzekł Ferguson. – Jego rodzice byli moimi bliskimi przyjaciółmi. Zginął w wyniku tak silnej eksplozji, że nie znaleziono żadnych szczątków ciała.

– To nieprawda. Nasz informator zawiadomił nas później, że Peter Lang był torturowany, a następnie zamordowany i przepuszczony przez wielką betoniarką używaną do budowy tamtejszej autostrady.

– Mój Boże! – wykrzyknęła Hannah.

– Od tego samego informatora dowiedzieliśmy się o Jacku Barrym, Synach Erin i Łączniku.

– I co zrobiliście?

– Proces pokojowy wchodził w niezwykle delikatną fazę, nie chcieliśmy zdestabilizować sytuacji.

– A więc nie zawiadomiliście premiera?

– Gdybyśmy to zrobili, wiedziałbyś o tym, Ferguson, tak samo jak Blake Johnson, Piwnica, prezydent i Bóg wie kto jeszcze. Postanowiliśmy rozegrać to inaczej.

– Niech się domyślę – powiedziała Hannah. – Jak zawsze, podsuwaliście im dezinformujące wiadomości zmieszane z okruchami mało ważnych informacji, jakie można znaleźć w każdej lepszej gazecie.

– Coś w tym stylu – odparł Carter nieprzekonywająco.

– No dobrze – Ferguson wstał. – Dzięki za pomoc.

– Nie udzieliłem wam żadnej pomocy. – Carter wbił się w płaszcz i sięgnął po parasol. – Czy to już wszystko?

– Chyba tak.

Carter wyszedł.

– I co pan sądzi, panie brygadierze? – zapytała Hannah.

– Zadam pani pytanie, pani inspektor – odparł Ferguson. – Gdyby straciła pani w Ulsterze ukochanego syna, tak gwałtownie, jakby nigdy nie istniał, a wywołany tym szok zabił pani męża. I gdyby poznała pani prawdę, że pani syn został zamęczony, zamordowany i przepuszczony przez betoniarkę...

– A jak dowiedziałabym się o tym?

– Nie mam zielonego pojęcia. To tylko spekulacje. Jednak determinacja i energia, jaką wykazała osoba, która zabiła wszystkich tych ludzi, niewątpliwie wpływała z niezwykle silnych pobudek. Sądzę, że z tej piątki tajnych agentów los Petera Langa był najstraszniejszy.

– Mścicielka musiała się jakoś o tym dowiedzieć.

– Właśnie. Zwróć jednak uwagę, że dopiero po upływie trzech lat. To pozwala mi przypuszczać, że prawda wyszła na jaw dopiero niedawno.

– Co pan sugeruje? – zapytała Hannah.

– No cóż, to proste. Kobieta, która zastrzeliła Tima Pata Ryana, która zabiła Brady'ego, Kelly'ego, Cassidy'ego oraz niechlubnej pamięci senatora Cohana, jest moja stara i dobra znajoma. Lady Helen Lang.

LONG ISLAND

NORFOLK

W biurze Blake'a Johnsona Dillon pił herbatę i jadł dostarczone przez Alice Quarmby kanapki z żółtym serem.

– Dobrze wyglądasz, mój irlandzki przyjacielu – powiedział Blake.

– Och, to dzięki concorde'owi. Lubię podróżować jak bogacz.

– Sean, przecież ty jesteś bogaty. Wszyscy o tym wiemy.

– Nie rozumiesz – odparł Dillon. – Najprzyjemniej jest, kiedy za podróż płaci ktoś inny. Mniejsza o to. Do czego jestem ci potrzebny?

– Harry Parker sprawdza taśmy z kamer wideo zainstalowanych po drugiej stronie ulicy i w pobliżu zaułka, w którym miały miejsce opisane przez Wileya zabójstwa. Pomyśleliśmy, że któraś z nich mogła zarejestrować tę kobietę i może uda ci się ją zidentyfikować.

– Może uda mi się rozpoznać ją jako tę z Wapping, ale to nie oznacza, że wiem, co to za jedna.

– Wiem, ale czy mamy inny trop?

Do gabinetu zajrzała Alice Quarmby.

– Mam na linii Harry'ego Parkera. Połączyć?

– Oczywiście.

Blake podniósł słuchawkę.

– Harry? Jak leci?

– Kiepsko, Blake. Sprawdziłem taśmy wideo. Tylko trzy kamery obejmowały całą ulicę. Przejrzałem cały zapis. Ani śladu.

– Kiepsko – rzekł Blake. – Tak czy owak, dzięki, Harry. Jeśli coś ci

wpadnie do głowy, to proszę, daj mi znać. Wkrótce się odezwę.

Blake odłożył słuchawkę.

– Kolejny ślepy zaułek? – zapytał Dillon.

– Obawiam się, że tak.

– A zatem przeleciałem się za darmo concordem.

– Na to wygląda. Przykro mi, Sean. Przynajmniej możemy cię zabawić, skoro już tu jesteś. Bardzo ważny zwolennik prezydenta, niejaki Chad Luther, wydaje dziś wieczorem huczne przyjęcie na Long Island. Znasz powieść Scotta Fitzgeralda „Wielki Gatsby”? Luther ją uwielbia. Posiadłość ma taką samą jak Gatsby, z trawnikami do morza. Każdy, kto jest kimś, znajduje się na liście jego gości.

– Niech zgadnę – rzekł Dillon. – Jeśli jesteś nikim, też znajdujesz się wśród zaproszonych. Jeżeli masz kolczyk w nosie i umiesz zagrać trzy akordy na gitarze, też będziesz na tej liście.

– Jak zwykle jesteś nieprzyjemnie bliski prawdy, mój przyjacielu. Ten fakt okropnie martwi naszą Secret Service. – Blake podniósł stos kartek.

– Osobiście sprawdziłem listę gości.

– Czego szukałeś? Arabów w białych prześcieradłach?

– Nie śmieję się. Prezydent przylatuje tam gulfstreamem. Helikopter przerzuci ludzi z ochrony. W tym ciebie i mnie.

– Jestem zaszczycony.

Zapukano do drzwi i zajrzała Alice.

– Świeżej kawy? Herbaty?

– Nie, jeszcze mamy. Co z tym... o czym rozmawialiśmy niedawno?

– Jeszcze sprawdzamy.

Wyszła. Dillon zapytał:

– Sprawdzacie?

Johnson zawahał się, a potem powiedział:

– Och, do diabła, Hannah na pewno i tak o tym wie. To specjalny program komputerowy nazywany „Synodem”. Przepuszczamy przez niego tysiące rozmów, miliony słów. Na przykład wprowadzasz nazwisko i komputer wyszukuje wszystkie zrealizowane przez tego

abonenta połączenia. Wtedy przesłuchujesz przeprowadzone przez niego rozmowy.

– Jezu – mruknął Dillon. – I to działa?

– Pamiętasz Pattersona? W ten sposób go złapaliśmy.

– Czyje nazwisko wprowadziliście?

– Jacka Barry'ego.

– Chcecie złapać Łącznika.

– Właśnie.

– Nauka i technika – rzekł Dillon. – Wkrótce tacy ludzie jak ty i ja staną się zbędni.

Zadzwonił telefon i Blake podniósł słuchawkę.

– Brygadierze, jak pan się ma? – Zmarszczył brwi. – Oczywiście, jest tutaj. – Podał Dillonowi słuchawkę. – To Ferguson. Do ciebie.

– Brygadierze?

– Mam dla ciebie raczej zdumiewające wiadomości. Słuchaj uważnie.

Po kilku minutach Dillon powoli odłożył słuchawkę.

– Złe wieści? – spytał Blake.

– Właśnie mi powiedział, kim, jego zdaniem, jest owa tajemnicza kobieta.

Blake usiadł prosto.

– Rany boskie, mów!

Dillon wymienił jej nazwisko, a Blake pokręcił głową.

– Poznałem ją. To prawdziwa dama. Jednak fakty są nieubłagane. Ta okropna historia w Ulsterze wydarzyła się naprawdę?

– Na to wygląda. – Dillon rąbnął pięścią w biurko. – Niech szlag trafi Jacka Bany'ego!

– Lady Helen Lang... – Blake zastanowił się. – Chwileczkę.

Podniósł listę gości zaproszonych na przyjęcie Chada Luthera i przekartkował ją.

– Tak myślałem. Jest na liście. Jutro wieczorem ma wziąć udział w przyjęciu na Long Island.

– A więc? – zapytał Dillon.

– No cóż, będziemy tam.

– I powiesz prezydentowi?

Blake milczał przez chwilę.

– A co mam robić? Jeśli brygadier ma rację, zabiła kilka osób.

– Właśnie przypomniałem sobie coś – rzekł Dillon. – To zebranie forum na rzecz pokoju w Irlandii, w którym Cohan uczestniczył w Dorchester tego wieczoru, kiedy spadł z balkonu.

– Co ono ma do rzeczy?

– Helen Lang była tam. Rozmawiałem z nią. To cudowna kobieta, Blake. Wiedziałem, że jej syn zginął w Belfaście, ale nie miałem pojęcia, w jaki sposób.

– Najwidoczniej ona to wie.

– To wiele wyjaśnia. – Dillon wstał, zapalił papierosa i zaczął przechadzać się po pokoju. – Od początku wyczuwałem w niej coś, już podczas tamtego pierwszego spotkania na pogrzebie. Nie zrozum mnie źle, od pierwszej chwili polubiłem ją, ale zawsze coś mnie niepokoiło.

Blake pokiwał głową.

– Lepiej porozmawiam z prezydentem. – Podniósł słuchawkę i zadzwonił na górę, do Gabinetu Ovalnego. – Blake Johnson, do prezydenta. – Kiwnął głową. – Rozumiem. – Odłożył słuchawkę. – Już wyjechał na Long Island. – Zastanowił się. – Mamy czas. Zdążę mu powiedzieć. Wolę zrobić to osobiście.

Drzwi otworzyły się i weszła podekscytowana Alice.

– Synod znalazł prawdziwą bombę, ale to ci się nie spodoba, na Boga! Prześledził rozmowy Jacka Barry'ego w ciągu kilku ostatnich dni. Lepiej zejdź do pracowni.

Usiedli w ciasnym pomieszczeniu, gdzie obracały się wielkie szpule magnetofonów, i wysłuchali ostatniej rozmowy Łącznika z Barrym.

– Lady Helen Lang będzie jutro obecna na przyjęciu dla grubych ryb na Long Island, więc nie szukaj jej w domu.

– Zaczekam. Nie martw się. Już przeszła do historii.

Komputer zamruczał i wyłączył się.

– Kto by pomyślał? – powiedziała Alice.

– Chcecie powiedzieć, że wiecie, kto to jest?

– Och tak – odparł Blake. – Poznałbym ten głos wszędzie. – Obrócił się do Dillona. – To szef personelu. Henry Thornton.

Dillon przez chwilę przetrwał tę wiadomość.

– Prezydent padnie z wrażenia, kiedy się dowie, co ten drań wyprawiał.

– Łagodnie powiedziane. – Blake zwrócił się do Alice. – Sprawdź jego życiorys i zobacz, czy uda ci się znaleźć jakiś powód. – Zerknął na zegarek. – Ja też muszę sprawdzić kilka rzeczy. Za dwie godziny chcę polecieć na Long Island. Zarezerwuj miejsce dla mnie i dla Dillona.

– Już się robi.

Alice wyszła.

– Widzę, że cię to ruszyło – powiedział Dillon.

– Jestem wkurzony, mój irlandzki przyjacielu. Nienawidzę zdrajców.

– A co z Fergusonem?

Blake pomyślał chwilę, a potem skinął głową.

– Ufam ci, Sean, i ufam Fergusonowi. Jednak to tylko do jego wiadomości. Niech nic nie mówi premierowi. Prezydent sam zdecyduje, co z tym fantem zrobić.

Siedzący w swoim gabinecie w Ministerstwie Obrony Ferguson z ponurą miną wysłuchał wieści.

– Istotnie, to sprawa Blake'a i prezydenta – rzekł. – Cieszę się, że tam jesteś. Oczywiście, jestem wstrząśnięty wieścią, kim jest zdrajca. Chętnie postawiłbym drania pod ścianą i osobiście go zastrzelił. Co do tej drugiej sprawy, Sean, to nie muszę ci nic mówić. Znamy się od dawna. – Milczał chwilę. – Od wielu lat przyjaźnię się z lady Helen Lang.

– Nie musi pan nic mówić, brygadierze. Zrobię, co będę mógł.

– Dziękuję ci, Sean.

Gulfstream wylądował na Westhampton i lady Helen i Hedley przeszli przez symboliczną odprawę paszportową. Helen Lang przebrała się w samolocie i miała na sobie wieczorowy stój z czarnego jedwabiu: dopasowaną suknię i żakiet. Hedley był w szarym uniformie. Właśnie minęła piąta.

– O szóstej podają koktajle – powiedziała. – Limuzyna czeka?

– Oczywiście.

– Powiedz kapitanowi Frankowi, że chcę odlecieć z powrotem nie później niż o dziesiątej.

– Jest pani pewna?

– Najzupełniej. Zawiadam go.

Hedley zostawił ją w poczekalni dla VIP-ów, i odszedł, a ona wyjęła telefon i zadzwoniła do Barry'ego. Kiedy się zgłosił, powiedziała:

– Dzień dobry, panie Barry. To ja.

– Tak, a ja wiem, kim jesteś, suko. Wiem nawet, gdzie teraz jesteś. Na Long Island.

– No proszę, jest pan dobrze poinformowany.

– Wkrótce będzie po wszystkim, lady Helen Lang. Znam twój londyński adres i położenie twojego domu w Norfolk. To, co zrobiłem z twoim synem, to nic w porównaniu z tym, co zrobię z tobą.

– Och, panie Barry, strasznie się pan podnieca. To zaszkodzi panu na serce – powiedziała i rozłączyła się.

Chad Luther urodził się w Charlesville, w Teksasie, jako trzecie z sześciorga dzieci farmera, kompletnego nieudacznika. Pięcioro dzieci umarło, a ich ojciec pograżył się w pijaństwie i apatii. Chad dostał powołanie do wojska, spędził dwa lata w Wietnamie i odkrył, że potrafi sobie radzić. Wrócił do kraju, gdzie ojciec już umarł, a matka była umierająca. Odziedziczył czterysta dwadzieścia osiem akrów ziemi jałowej i bezużytecznej – dopóki ktoś nie znalazł w pobliżu ropy. Towarzystwa naftowe zleciały się jak sępy i Chad zarobił dziesięć milionów. To był początek jego imperium. Te dziesięć milionów

zmieniło się od tej pory w osiemset, ulokowanych w firmach naftowych i budowlanych oraz w parkach rozrywek, a Luther obracał się wśród wielkich i możnych, z prezydentem włącznie.

Szczególnym powodem jego dumy był dom w Quogue, wspinała posiadłość. Były tu trawniki schodzące na sam brzeg morza, była także przystań dla jego jachtu i kilku łodzi motorowych. W miarę jak zapadał aksamitny mrok, posiadłość zaczęła tętnić życiem. W oknach zapaliły się światła, wokół rozchodziły się dźwięki muzyki. W przyjęciu uczestniczył każdy, kto był kimś i - jak zauważył Dillon - nie tylko.

Luther, odziany w kosztowny smoking z granatowego aksamitu i koszulę z żabotem, powitał prezydenta i Henry'ego Thorntona.

- To dla mnie prawdziwa przyjemność, panie prezydencie.

- Miło mi cię widzieć, Chad.

- Przygotowaliśmy apartament na parterze.

Luther poszedł pierwszy, prezydent i Thornton za nim, a Clancy Smith zamykał pochód. Salon był ładnie urządzone, z kominkiem, boazerią i wyjściem na taras. Prezydent stanął w drzwiach. Brzeg morza był niedaleko.

- Bardzo tu ładnie.

- Oczekuję pana później na kolacji, panie prezydencie.

- Przyjdę z przyjemnością. - Luther wyszedł, a Jake Cazalet rzekł do szefa personelu: - Co też ja muszę znieść dla dobra Ameryki.

Helikopter wylądował na Westhampton, gdzie na Blake'a i Dillona czekała limuzyna. W tym samym czasie Helen Lang przyjechała do posiadłości Luthera w lincolnie prowadzonym przez Hedleya. Wsiadła, wygładziła suknię i stała z torebką w ręce.

- Może być?

- Jak zawsze.

Hedley miał przypięty plastikowy identyfikator, który im przysłano.

- Zobaczymy się później.

Weszła po schodach do otwartych drzwi, gdzie stanęła oko w oko

z dwoma agentami ochrony.

– Pani zaproszenie?

Otworzyła torebkę, żeby je wyjąć, i krew zastygła jej w żyłach, gdy dotknęła kolby pistoletu. Boże, ależ była głupia! Jak mogła się spodziewać, że przejdzie z bronią przez obstawę? Za chwilę zajrzą jej do torebki i co wtedy? Zamarła z dłonią w torebce na ułamek sekundy, który zdawał się trwać wieki, a w tym momencie przez tłum przedarł się Chad Luther.

– Dajcie spokój. Ta pani nie musi okazywać zaproszenia. Moja droga – pocałował ją w policzek – wyglądasz jak zawsze cudownie. Masz honorowe miejsce przy stole, obok prezydenta i mnie.

– Zawsze byłeś miły, Chad.

– To łatwe, kiedy ma się do czynienia z kimś takim jak ty. No chodź, jest tu ktoś, kogo chciałbym ci przedstawić.

Agenci chcieli zaprotestować, ale zanim zdążyli coś powiedzieć, Luther wciągnął ją do środka.

Uśmiechnęła się, wzięła od kelnera kieliszek szampana i wmieszała się w tłum.

Dillon i Blake przybyli trochę później. Było już tłumnie i zobaczyli, że prezydent jest obłożony.

– Na razie nie zdołasz się do niego dopchać – zauważył Dillon.

– Mamy czas.

Przy drzwiach wywieszono rozkład miejsc przy stole i Dillon przestudiował go.

– Jaka szkoda, nie jesteśmy zaproszeni na kolację.

– No cóż, takie jest życie – rzekł Blake. – Muszę załatwić kilka spraw. Miej na oku głównych graczy.

Odszedł. Dillon zapalił papierosa i sięgnął po kieliszek szampana, a potem przecisnął się przez tłum do ogrodu. Było tu chłodno i pusto, mało kto przechadzał się po alejkach. Stał przy balustradzie, a w tym momencie weszła po schodach Helen Lang.

– O, to pan, panie Dillon.

– Wciąż wpadamy na siebie. Czy mogę coś dla pani zrobić?

– Proszę poczęstować mnie papierosem.

Wyjął starą papierośnicę.

– Proszę.

– Co pana tu sprowadza, panie Dillon?

Skorzystał z okazji.

– Och, być może to samo, co panią, lady Helen. Myślę, że coś nas łączy. Może Biały Dom?

Zapalił zapalniczkę zippo i podał jej ogień. Lady Helen Lang nawet nie mrugnęła okiem.

– Och, to ciekawe – powiedziała po prostu.

– To już koniec – dorzucił pospiesznie. – Nie wiem, co pani chce zrobić, ale już jest po wszystkim...

Zanim zdążył dokończyć, uśmiechnęła się tak, że ścisnęło mu się serce.

– Nonsens, przyjacielu. Będzie po wszystkim, kiedy ja tak zdecyduję. – Znów się uśmiechnęła. – Mój biedny panie Dillon, zabija pan bez chwili wahania, a jednak jest pan takim porządnym człowiekiem.

Odwróciła się i odeszła.

Chad Luther zdołał wyciągnąć prezydenta z otaczającego go tłumu.

– Panie i panowie, pan prezydent musi trochę odetchnąć przed kolacją. Proszę.

– Jestem ci wdzięczny, Chad – rzekł prezydent, gdy odchodzili, a Clancy Smith za nimi.

Luther zaprowadził ich z powrotem do saloniku.

– Tam jest łazienka, panie prezydencie, a jeśli życzy pan sobie drinka, to tutaj znajdzie pan wszystko.

Fragment boazerii odsunął się, odsłaniając ukryty za nim, doskonale zaopatrzone barek.

– Jak zwykle jesteś wspaniałym gospodarzem, Chad.

– Teraz pana opuszczę.

Luther wyszedł, a Clancy Smith wszedł do apartamentu i szybko się w nim rozejrzał. Sprawdził łazienkę, a potem otworzył drzwi na taras. Po chwili zamknął je.

– Clancy, jesteś jak pies myśliwski, nigdy nie przestajesz węszyć – rzekł Cazalet.

– Za to mi płacą, panie prezydencie. W ogrodzie są agenci Secret Service. Ja będę na zewnątrz.

Wyszedł na korytarz i zamknął drzwi.

Cazalet podszedł do barku i zastanowił się, czy z niego skorzystać. Wziął z półki butelkę szkockiej, a potem zmienił zamiar i odstawił ją na miejsce. Lepiej nie. W końcu czekał go długi wieczór. Zamiast tego wyjął paczkę marlboro i wyciągnął jednego papierosa. Do licha, człowiek powinien mieć prawo do jakiegoś nałogu. Zapalił papierosa, podszedł do drzwi na taras i otworzył je.

Księżyc już wzeszedł i przelotny deszcz przestał padać. Ta część domu znajdowała się bardzo blisko brzegu. Za trawnikiem i kępą sosen znajdowała się zatoczka, prawie całkiem otoczona przez dwa cypelki. Nad wodą stał hangar na łodzie i była drewniana przystań, a przy niej czekała zacumowana wspaniała motorówka. Zauważył kręcącą się tam parę ludzi.

Widok był naprawdę uroczy. Cazalet głęboko wciągnął powietrze w płuca, a w tym momencie spokojny i miły głos powiedział:

– Byłby pan łaskaw użyć mi ognia?

Odwrócił się i zobaczył Helen Lang, która wyszła z otaczających taras zarośli.

Spacerowała po ogrodzie, dziwnie smutna, jakby zmartwiona zakończeniem całej tej sprawy. Musiała przysiąść na ławce, żeby przeczekać kolejny atak duszności. Połknęła dwie tabletki i została tam przez jakiś czas, aż poczuła się lepiej.

Myślała o Cazaletcie. Powinna to zrobić teraz, gdyż wieczorem będzie za późno. Przez chwilę wahała się, dziwnie niepewna. Cazalet był dobrym człowiekiem, bohaterem z bogatej i wpływowej rodziny, który mógł wymigać się od Wietnamu, a jednak odbył tam służbę i był wielokrotnie odznaczony. Potem został solidnym i postępowym prezydentem, odpornym na pokusy władzy. Przez wiele lat opiekował się umierającą na białaczkę żoną. Dobry człowiek. Jednak Peter też był dobrym człowiekiem. A ona nie miała wiele czasu.

Wstała i szła ścieżką z powrotem w kierunku domu. Wtedy zobaczyła otwarte drzwi na taras, a potem Cazaleta, który tam stał i palił papierosa. Zawahała się i otworzyła torebkę. Jej palce musnęły kolbę colta, gdy wyjmowała srebrną papierośnicę.

– Byłby pan łaskaw użyć mi ognia?

– Och, oczywiście.

Zszedł po stopniach i błysnął zapalniczką. Przytrzymała jego rękę.

– To niezwykle. Łuska po naboju do Lee Enfielda.

– Pamiątka z Wietnamu, ale skąd pani wie, że to pocisk do Lee Enfielda?

– Mój ojciec był pułkownikiem brytyjskiej armii. Miał podobną zapalniczkę. Pan mnie nie pamięta. Tylko raz wymieniliśmy uścisk dłoni, na przyjęciu w Bostonie. Jestem lady Helen Lang.

Uśmiechnął się ciepło.

– Ależ oczywiście. Nasi ojcowie robili kiedyś razem interesy w Bostonie. Jeśli dobrze pamiętam, wyszła pani za angielskiego szlachcica.

– Sir Rogera Langa.

– Czy on jest tu z panią?

– Och nie, zmarł dwa lata temu. Nasz jedyny syn został zabity na służbie w Irlandii Północnej, a mąż był stary i schorowany. Nie wytrzymał tego.

– Naprawdę bardzo mi przykro.

– Wierzę panu.

Z jakiegoś powodu ujął ją za rękę, a ona otworzyła usta, żeby coś

powiedzieć, kiedy usłyszeli pukanie do drzwi.

– Przepraszam – powiedział Cazalet i wszedł po schodkach. Kiedy wrócił na taras, przystanął i rozejrzał się. Lecz ona już znikła, jakby jej nigdy nie było.

Dillon i Blake stali w kącie zatłoczonej sali balowej, gdy zadzwonił telefon Blake’a. Dzwoniła Alice Quarmby.

– Sprawdziłam życiorys Thorntona, szefie, tak jak kazałeś. Człowieku, ale znalazłam bombę! Posłuchaj.

Mówiła przez kilka minut, a twarz Blake’a nie zdradzała żadnych uczuć. W końcu powiedział:

– Dziękuję Alice, jesteś aniołem.

– Coś ważnego? – zapytał Dillon.

– Można tak powiedzieć. Thornton rzeczywiście jest tym, którego szukamy, a teraz już wiem dlaczego. Wyjaśnię to później. Teraz lepiej znajdziemy prezydenta.

– Chyba nie ma go tutaj.

– Tam stoi Luther. On będzie wiedział, gdzie jest prezydent – powiedział Blake.

Jednak kiedy do niego podeszli, zastali Luthera pogrążonego w rozmowie z Henrym Thorntonem. Obaj się śmiali i trzymali w dłoniach kieliszki z szampanem.

– Hej, panowie, nic nie pijecie! – zawołał na ich widok Luther.

– Obowiązki wzywają, Chad – rzucił niedbale Blake. – To mój kolega z Londynu, pan Dillon. Prezydent chciał się z nim widzieć.

– Prezydent teraz odpoczywa.

Thornton wyciągnął rękę.

– To prawdziwa przyjemność, panie Dillon. Pańska reputacja pana wyprzedza.

– Miło mi to słyszeć.

Szef personelu odstawił kieliszek i powiedział do Luthera:

– Wiem, gdzie jest salon, więc zaprowadzę ich tam. Tędy, panowie.

Przecisnął się przez tłum i poprowadził ich korytarzem, na końcu którego na krzesle ustawionym obok drzwi siedział Clancy Smith.

– Wszystko w porządku, Clancy?

– W najlepszym, panie Thornton.

Szef personelu zapukał, otworzył drzwi i wprowadził ich do środka. Cazalet był jeszcze na zewnątrz, kiedy stanęli w drzwiach na taras.

– Czy coś się stało, panie prezydencie? – zapytał Thornton.

– Nie. Właśnie rozmawiałem z niezwykłą kobietą, ale chyba gdzieś mi zniknęła – odparł i uśmiechnął się. – O, pan Dillon. – Serdecznie uściskał mu dłoń. – Cieszę się, że pana widzę.

– Wątpię, panie prezydencie. Myślę, że tym razem wolałby pan zabić posłańca, niż wysłuchać tego, co mamy z Blake'em do powiedzenia.

– Aż tak źle? – Cazalet oparł się o balustradę. – Lepiej więc zapalę papierosa. – Wyjął paczkę marlboro i Dillon podał mu ogień. – No dobrze, panowie, wysłuchajmy najgorszego.

Ukryta w zaroślach u stóp tarasu Helen Lang nadstawiła uszu.

– Wie pan wszystko o Synach Erin, panie prezydencie – zaczął Blake – tak samo jak my. Zawsze uważaliśmy, że te zabójstwa są dziełem jednej osoby. Podejrzewaliśmy również, że zabójca działa z pobudek osobistych.

Cazalet skinął głową.

– Akt zemsty za jakiś okrutny czyn.

– No cóż, teraz już wiemy dokładnie, jak okrutny. – Obrócił się do Dillona. – Sean?

– Działający w Białym Domu Łącznik od lat przekazywał Synom Erin i Jackowi Barry'emu informacje dostarczane przez brytyjski wywiad. W wyniku tego trzy lata temu Jack Barry i jego ludzie zabili pięciu tajnych agentów. Ich dowódcą był major Peter Lang. Torturowano go, a później zamordowano i wrzucono do betoniarki.

– Odrażająca zbrodnia – rzekł Blake.

– Czyja dobrze słyszę? – zapytał Cazalet. – Major Peter Lang?

– Zgadza się.

– Przecież dopiero co rozmawiałem tutaj z jego matką. Powiedziała mi, że jej syn został zabity w Irlandii.

– Tak, panie prezydencie – przytaknął Dillon. – Ona jest jego matką.

– A także osobą odpowiedzialną za likwidację Synów Erin – dodał Blake.

Prezydent był oszołomiony, a Thornton wtrącił:

– Dajcie spokój, to niewiarygodne. Jedna kobieta? Starsza pani? Nie wierzę.

– Obawiam się, że nie ma żadnych wątpliwości – powiedział Blake.

– Owszem, trzeba przyznać, że nieźle się spisała – dodał Dillon. – Pozostał tylko Jack Barry i Łącznik.

– I co teraz? – zapytał Thornton. – Jeżeli to prawda, to dlaczego nie aresztowano tej kobiety?

– Blake? – Prezydent spojrzał pytająco na Johnsona.

– Powiedziałem, że nie ma co do tego wątpliwości. Obawiam się też, że nie ma na to żadnych dowodów, panie prezydencie. Z oczywistych względów tę sprawę należy załatwić po cichu. I jest coś jeszcze, panie prezydencie.

– Co takiego?

– No cóż, cała ta przykra historia jest ściśle powiązana z istnieniem Łącznika, zdrajcy w Białym Domu.

– Owszem, ale nikt nie wie, kto nim jest – powiedział szef personelu.

– Och, my wiemy – rzekł Dillon. – Widząc, że prowadzone przez pana śledztwo nie daje żadnych wyników, panie Thornton, Blake rozpoczął własne dochodzenie.

Blake wyjął z kieszeni mały magnetofon.

– Poleciłem, żeby program Synod prześledził wszystkie połączenia telefoniczne z Jackiem Barrym, najpierw z Białego Domu, a potem z Waszyngtonu. Komputer wybiera nazwiska, a potem sprawdzamy rozmowy.

– I znaleźliście coś?

– Mamy zapis kilku rozmów telefonicznych, ale wystarczy ta jedna.

Postawił magnetofon na balustradzie i włączył. Usłyszeli wyraźny

głos.

– Lady Helen Lang będzie jutro obecna na przyjęciu dla grubych ryb na Long Island, więc nie szukaj jej w domu.

– Zaczekam. Nie martw się. Już przeszła do historii.

Blake wyłączył magnetofon, a wstrząśnięty Cazalet spojrział na swojego szefa personelu.

– Mój Boże, Henry, przecież to twój głos.

Thornton okłapał i ze zwieszoną głową oparł się o balustradę. Pozostał w tej pozycji, ciężko dysząc, a jednak kiedy podniósł głowę, miał w oczach iskry.

– Dlaczego, Henry, dlaczego? – pytał Cazalet.

– Może ja na to odpowiem. Zobaczmy, czy mam rację. – Blake zwrócił się do Thorntona: – Pana matka miała przyrodniego brata w Dublinie. Walczył jako ochotnik Michaela Collinsa w powstaniu wielkanocnym w tysiąc dziewięćset szesnastym. Został rozstrzelany przez Brytyjczyków.

– Zamordowany – poprawił go Thornton. – Zabili go jak psa. Wpakowali w niego siedem kul. Matka nigdy o tym nie zapomniała i ja też nie zapomnę.

– A kiedy robił pan studia podyplomowe na Harvardzie, miał pan dziewczynę z Irlandii Północnej, niejaką Rosaleen Fitzgerald, która zginęła w przypadkowej strzelaninie w Belfaście – ciągnął Blake. – Kochał ją pan.

– Zamordowali ją – powiedział mu Thornton. – Brytyjscy żołnierze. Dranie!

Dillon wtrącił się do rozmowy:

– Po latach został pan szefem personelu Białego Domu, a kiedy brytyjski wywiad zaczął dostarczać wszystkie te smakowite informacje, nadarzyła się okazja, by się zemścić – rzekł. – Niech żyją rebelianci, Irlandia musi być wolna.

– W jaki sposób skontaktował się pan z Synami Erin i Jackiem

Barrym? – spytał Blake.

– Och, to przez Cohana. Zostałem zaproszony jako gość na imprezę, której celem była zbiórka funduszków na Sinn Fein. Upił się i zaczął opowiadać o tym ich klubie oraz w jaki sposób pomagają w walce o słuszną sprawę.

– A Barry?

– Zjawił się w Nowym Jorku, żeby zorganizować dostawy broni dla IRA. Brady, facet ze związku transportowców, znał go i przedstawił pozostałym członkom klubu. Wtedy zaczęli nazywać się Synami Erin. Cohan chwalił się znajomością z prawdziwym bojownikiem.

– A jak skontaktował się pan z Barrym?

– Kiedy rozpoczął się proces pokojowy, przez pewien czas zupełnie legalnie przebywał w Nowym Jorku, mieszkając pod własnym nazwiskiem w hotelu „Mayfair”. O jego obecności przeczytałem w „The New York Timesie”. To było proste. Dostarczałem mu informacji za darmo i anonimowo. Znał tylko mój głos.

– A potem nadszedł czas zapłaty.

Thornton uśmiechnął się.

– Czy to nie najbardziej zwariowana historia, jaką słyszeliście? Taka kobieta jak ona? Kto by w to uwierzył?

Cazalet zwrócił się do Blake’a:

– Ależ galimatias. Co z tym zrobimy?

W tym momencie Thornton oparł dłoń o balustradę i skoczył w krzaki.

Wylądował na czworakach, zerwał się i pobiegł, nie wiedząc, że ukryta w gąszczu Helen Lang słyszała całą rozmowę.

– Nie masz dokąd uciec, Henry! – zawołał Cazalet i już zbiegał po schodkach w ślad za Blake’em i Dillonem.

Zaalarmowany krzykami Clancy Smith otworzył drzwi i wpadł do salonu.

– Panie prezydencie?

– Za mną, Clancy! – zawołał Cazalet i pobiegł za Dillonem.

Clancy natychmiast zaalarmował pozostałych agentów i ruszył za prezydentem.

Helen Lang zaczekała, aż się oddalą, a potem ostrożnie poszła za nimi.

W ogrodzie było teraz wielu gości, którzy wyszli z kieliszkami w rękach, aby podziwiać zachód słońca i morze. Wśród nich był Hedley. Niepokoił się o lady Helen, zdjął więc czapkę szofera i poszedł do ogrodu na tyłach domu. Tam sprawdzili go agenci ochrony, ale identyfikator okazał się wystarczającą przepustką. W ogrodzie było sporo ludzi i tylko szczęśliwy traf sprawił, że Hedley dostrzegł zmierzającą w kierunku tarasu lady Helen, a także wychodzącego z salonu prezydenta. Widział, jak weszła po schodkach i zaczęła rozmawiać z Cazaletem.

Nie miał pojęcia, co się dzieje, gdy pojawili się Thornton, Blake i Dillon, a lady Helen znikła w krzakach. Z daleka słyszał cichy szmer ich głosów, a potem Thornton przeskoczył przez balustradę. Prezydent i pozostali pobiegli za nim. Hedley nigdzie nie widział lady Helen. Bez namysłu poszedł w kierunku, w jakim musiała się udać.

Thornton, klucząc, pobiegł przez zarośla, a potem przykłęknął i czekał. Dotknął rewolweru, który wcześniej wepchnął za pasek. Zamierzał skorzystać z niego tego wieczoru, rozprawiając się z Helen Lang, ale teraz może będzie musiał go użyć w innym celu. Był bliski paniki. Zaalarmowani przez Clancy'ego agenci Secret Service przetrzasali ogród, budząc niepokój zaskoczonych już wcześniejszymi krzykami gości. Helen deptała Thorntonowi po piętach. Tropiła go od chwili, gdy przeskoczył przez balustradę i zniknął w krzakach.

Nie wiedziała tylko, że Hedley jest tuż za nią. Odgłosy pościgu przycichły i spostrzegła, jak Thornton wychodzi z zarośli przed nią i nisko pochylony biegnie w kierunku wody. Dotarł do drewnianej

przystani obok hangaru. Jego kroki zadudniły na deskach pomostu. Zatrzymał się przy motorówce i właśnie odwiązywał cumy, gdy pojawiła się Helen.

– Panie Thornton! – zawołała.

Znieruchomiał, a potem odwrócił się z rewolwerem w rękę. Zobaczył kobietę i mimo wieczornego półmroku natychmiast ją poznał.

– To ty, suko.

– Tak, panie Thornton, obawiam się, że tak. Sądzę, że pan wie, co się stało z moim synem. Można powiedzieć, że dziś nadszedł czas zapłaty.

– Pieprzę cię! – Thornton poderwał rękę, celując z rewolweru.

Helen Lang sięgnęła do torebki po colta.

Idący za nią Hedley przemknął w ciemności na dziób motorówki i zaczął skradać się do zdrajcy od tyłu, lecz poślizgnął się na mokrym pokładzie. Łącznik obrócił się na pięcie, szykując broń do strzału, a Helen wpakowała mu kulę w tył głowy. Thornton osunął się na kolana, a potem runął na twarz. Hedley wstał.

– Proszę czekać na mnie na parkingu. Ja się tym zajmę. Proszę iść.

Odwróciła się i pobiegła.

Hedley wcześniej dokładnie przestudiował dostarczoną przez londyńską filię jej firmy mapę posiadłości Chada i wiedział, że przy wejściu do zatoki znajduje się rafa, niewidoczna tylko przy wysokiej fali. Teraz był odpływ. Zepchnął ciało Thorntona na dno łodzi, wszedł do sterówki i włączył silnik. Kiedy śruba weszła na wysokie obroty, Hedley przeskoczył na pomost i zrzucił cumy. Motorówka skoczyła naprzód i z takim impetem wpadła na rafę przy wejściu do zatoczki, że wyskoczyła w powietrze i zmieniła się w ognistą kulę.

W ogrodzie rozległy się krzyki gości i gorączkowe nawoływania agentów. Hedley znikł w krzakach na moment przed pojawieniem się na przystani Dillona, Blake'a i prezydenta.

– O mój Boże! – powiedział Cazalet, patrząc na płonące szczątki motorówki.

Hedley wycofał się i ruszył do ogrodu. W następnej chwili usłyszał kobiecy krzyk. Rozpoznał głos Helen.

– Puść!

– Muszę zajrzeć do pani torebki, madam.

W słabym świetle lampy ogrodowej Hedley ujrzał Clancy'ego Smitha, który trzymał za rękę lady Helen. Hedley doskoczył, chwycił agenta za ramię i odciągnął go.

– Zostaw ją w spokoju, chłopcze.

– Jestem z ochrony prezydenta – powiedział Clancy. – Wykonuję moją pracę.

– Proszę bardzo, ale nie z tą damą.

Clancy, weteran wojny w Zatoce, wiedział, że nadchodzą kłopoty. Błyskawicznie wydobył berettę w kabury pod lewą pachą, ale w porównaniu z Hedleyem poruszał się jak mucha w smole. Niewiarygodnie szybkie uderzenie odbiło broń w bok. Pocisk z zaopatrzonej w tłumik beretty z cichym kasznięciem wbił się w ziemię. Clancy jeszcze nigdy nie spotkał równie silnego człowieka. Hedley wykręcił mu rękę.

– Byłeś w jednostkach specjalnych, prawda?

– Och, pieprzę cię!

– Nie potrafiłbyś wypieprzyć własnej babci, synku. Ja odbyłem trzy tury w Wietnamie. Dosłużyłem się starszego sierżanta. W porównaniu z tym wojna w Zatoce to pestka. Rzuć to.

Clancy Smith był odważnym człowiekiem, ale przeciwnik z potworną siłą wyłamywał mu rękę. Beretta upadła na ziemię, a Hedley obrócił go, wyjął mu z kieszeni kajdanki i skuł obie ręce na plecach. Clancy upadł na murawę.

– Nie bierz tego do siebie – powiedział mu Hedley. – Zabiłem więcej ludzi, niż możesz to sobie wyobrazić. – Obrócił się do Helen. – Chodźmy, proszę pani.

Pospiesznie odeszli ścieżką. Clancy z trudem podniósł się z ziemi. Po chwili znaleźli go dwaj jego koledzy.

Hedley wsadził lady Helen do limuzyny, usiadł za kierownicą i ruszył.

– Wszystko w porządku?

Z trudem łapała oddech.

– W najlepszym, Hedley. Z powrotem na lotnisko. Zadzwoń do nich. Niech będą gotowi do natychmiastowego odlotu do Londynu.

Sięgnął po słuchawkę.

– Widziała pani prezydenta?

– Tak. To dobry człowiek, Hedley. I ma szczęście.

Nie zrobił żadnej uwagi, przekazał tylko przez telefon polecenia i odłożył słuchawkę.

– A więc skąd to całe zamieszanie? I kim był ten facet?

– To był Łącznik i źle skończył. Niejaki Henry Thornton, szef personelu Białego Domu.

– Wielki Boże! – pokręcił głową. – Nie do wiary!

– Muszę ci powiedzieć jeszcze o czymś, Hedley. Oni wiedzą o mnie. Prezydent, Blake Johnson, Dillon, Ferguson. To już koniec.

Przeraził się.

– I co pani zamierza zrobić?

– Wrócimy do Compton Place i zastanowimy się nad sytuacją. – Zapaliła papierosa. – Jedź, Hedley, jedź.

Wyjęła telefon komórkowy, zadzwoniła do Barry'ego i zastała go jeszcze w łóżku.

– To znów ja – oznajmiła. – Chcę tylko przekazać panu ostatnie wiadomości.

Usiadł, sięgnął po papierosa i zdołał jakoś zachować spokój.

– Dobre czy złe?

– Obawiam się, że wyłącznie złe. Pana Łącznikiem okazał się niejaki Thornton, szef personelu w Białym Domu. Popierał rebeliantów, ponieważ jego wuj został zastrzelony przez Brytyjczyków podczas powstania wielkanocnego, a jego dziewczyna zginęła w strzelaninie na ulicy Belfastu. Znalazła się w niewłaściwym czasie w niewłaściwym miejscu.

– A skąd pani to wszystko wie?

– Och, zdemaskowali go Sean Dillon i Blake Johnson. Ujawnili prawdę w obecności prezydenta. Przypadkiem byłam wtedy w ogrodzie i podsłuchałam ich rozmowę.

– A Thornton?

– Strzeliłam mu w tył głowy. Później został rozerwany na kawałki w wyniku dość silnej eksplozji. Czy to panu coś przypomina?

Zapadła długa cisza.

– No cóż – rzekł w końcu Barry. – A więc zostaliśmy tylko my dwoje. Gdzie pani teraz jest?

– Jeszcze na Long Island, ale zaraz odlatuję na Gatwick, a potem do domu w Norfolk.

– Compton Place. Wiem.

– A więc mogę oczekiwać wizyty?

– Może pani na nią liczyć. Zaraz tam lecę.

– Cieszę się.

Schowała telefon, a Hedley powiedział:

– Sama się pani o to prosi, lady Helen. Inni też będą pani szukać, na przykład brygadier Ferguson.

– Mało mnie to obchodzi, Hedley, byle tylko Barry znalazł mnie pierwszy. Podaj mi butelkę.

Niechętnie spełnił jej prośbę. Wytrząsnęła na dłoń dwie tabletki i popiła je whisky.

– Dobrze. Teraz zawieź mnie na lotnisko.

Na tarasie Clancy Smith opowiedział, co zaszło, prezydentowi, Blake'owi i Dillonowi.

– No tak – mruknął Blake. – Był wielki, czarnoskóry i powiedział, że służył w Wietnamie?

– Zgadza się – odparł Clancy.

Dillon poinformował prezydenta:

– To musiał być Hedley Jackson. Powiedziałbym, że to ostatni

dowód.

Blake polecił Clancy'emu:

- Niech twoi chłopcy zaczną jej szukać.
- Tutaj jest ponad pięćset osób – zaprotestował Clancy.
- Zrób to.

Clancy wyszedł. Cazalet zapytał:

- Co się stało z Thorntonem? To był bardzo szczęśliwy zbieg okoliczności, prawda?

- Skoro tak pan twierdzi, panie prezydencie – odparł Dillon.
- Tylko że ty nie wierzysz w takie przypadki?
- Nigdy nie wierzyłem, panie prezydencie – uśmiechnął się Dillon. –

A już na pewno nie wtedy, kiedy mamy do czynienia z tą damą.

Wkrótce po tym, jak Helen Lang zadzwoniła do Barry'ego, Dillon obudził Fergusonona w jego mieszkaniu przy Cavendish Square.

– Zdaje się, że zawsze dzwonię do pana o nieludzkich porach, żeby przekazać złe wieści.

– Mów.

Dillon zdał sprawę z wydarzeń.

– Straszny galimatias – mruknął Ferguson. – Szef personelu. I kto by to pomyślał?

– Teraz to już nie ma znaczenia – rzekł obojętnie Dillon. – Poszedł na pokarm dla rybek i wcale mi go nie żal. Był odpowiedzialny za śmierć wielu osób, a w przypadku Petera Langa za potworne cierpienia. Heinrich Himmler byłby z niego dumny.

– Gdzie jest teraz Helen Lang?

– Blake to sprawdza. Będę pana informował. Tutaj na pewno jej nie ma.

Ferguson odłożył słuchawkę, zastanawiał się chwilę, a potem zadzwonił do Hannah Bernstein. Odpowiedziała zdumiewająco trzeźwym głosem, ale w końcu miała za sobą czternaście lat w policji.

– Bernstein? To ja – rzekł Ferguson. – Właśnie usłyszałem niesamowitą historię. Long Island zmieniła się w scenę współczesnego odpowiednika greckiego dramatu. Przykro mi, pani inspektor, ale muszę panią prosić o wczesne rozpoczęcie pracy.

- Oczywiście, panie brygadierze.
- Jeszcze jedno. Wczoraj wieczorem zadzwonił do mnie komisarz Scotland Yardu.
- Jakież kłopoty?
- Tylko dla niektórych. Jest pani teraz nadinspektorem Służby Bezpieczeństwa Scotland Yardu.
- Oj – mruknęła Hannah. – Chłopcom w kantine to się nie spodoba.
- Postawię sprawę brutalnie – powiedział jej Ferguson. – Zapomnij o swoim dyplomie z psychologii. Jeśli dobrze pamiętam, w trakcie pełnienia obowiązków zabiłaś cztery osoby.
- I nie jestem z tego dumna, panie brygadierze.
- Jeśli to uspokoi twoje chasydzkie sumienie, pani nadinspektor, Mieczu Gideona, ci ludzie w pełni zasługiwali na śmierć. Sama przy tym zostałaś ranna i jestem dumny z tego, że dla mnie pracujesz. No nic, Kim zaraz zacznie smażyć jajecznicę, a my razem poczekamy na dalsze złe wieści od Dillona. Opowiem ci wszystko, kiedy już tu będziesz.

Blake wszedł do apartamentu i zastał prezydenta przy kominku, pogrążonego w rozmowie z Dillonem. Cazalet odwrócił się.

- Są jakieś wiadomości?
- O lady Helen Lang, panie prezydencie? Tak. Przyleciała z Gatwick jednym ze swoich gulfstreamów i wylądowała na Westhampton.
- I?
- Zanim zdążyłem to ustalić, odleciała stąd, tuż przed dziesiątą.
- Dokąd?
- Na Gatwick. – Blake zawahał się. – Co mam robić, panie prezydencie?
- W sprawie lady Helen? – Cazalet zmarszczył brwi. Doszedł w nim do głosu twardy i doświadczony polityk. – Jeśli ta historia wyjdzie na jaw, załamie się cały proces pokojowy. Bądźmy praktyczni. Śmierć Thorntona można przedstawić jako nieszczęśliwy wypadek. Jakiś człowiek próbował mnie zaatakować, on pogonił za nim i obaj zginęli.

Zabójstwa Brady'ego, Kelly'ego i Cassidy'ego już zostały wyjaśnione. A Tim Pat Ryan w Londynie?

– Był gangsterem – odpowiedział Dillon. – Każdy gangster w Londynie chciał zająć jego miejsce.

– No właśnie. Co do Cohana... – Cazalet wzruszył ramionami. – Nie zamierzam wylewać łez po tym draniu. Za dużo wypił i spadł z tarasu swojego apartamentu.

– Chce pan powiedzieć, że to nigdy się nie zdarzyło, panie prezydencie? – zapytał Blake.

– Blake, to śmierzcząca sprawa nie tylko dla Białego Domu, ale i dla Downing Street. Wszyscy pragniemy pokoju, a taka historia...

– Zatopiłaby łódź – podsunął Blake.

– Jest jeszcze Jack Barry. – Dillon zapalił papierosa. – Ostatni z Synów Erin. A gdyby zabrakło i jego?

– Wtedy można by uznać, że ta historia nigdy się nie zdarzyła – dokończył Blake.

Po chwili milczenia odezwał się Cazalet:

– Pozostaje jeszcze lady Helen. Z tego, co wiemy, zabiła sześciu ludzi.

– Rozumiem – stwierdził Dillon. – Chce pan powiedzieć, że ona musi zapłacić za to, że uwolniła ten padół łez od bandy skończonych drani, odpowiedzialnych za śmierć wielu dzielnych ludzi, w tym jej zamęzonego syna?

– Złamała prawo w najbardziej drastyczny sposób – przypomniał prezydent.

– W swoim czasie zabiłem o wiele więcej ludzi i czasem z mniej istotnych powodów – odparł Dillon. – Skoro o tym mowa, to pan również dostał kilka medali w Wietnamie, panie prezydencie, a obecny tu Blake także. Ilu macie na rozkładzie?

– Niech cię diabli, Dillon – mruknął Cazalet. – Masz rację. Nadal jednak pozostaje problem: co z nią zrobić?

– Teraz znajduje się poza naszą jurysdykcją – przypomniał mu Blake.

– Nadal jednak ponoszę za to odpowiedzialność. – Cazalet zawahał się. – No dobrze, połączcie mnie z brygadierem Fergusonem.

Po chwili Ferguson odebrał telefon.

– Panie prezydencie.

– Dillon mówi, że wie pan już najgorsze. Natomiast nie wie pan, że lady Helen Lang odleciała gulfstreamem z Long Island na Gatwick. Trzeba jakoś załatwić tę przykrą sprawę. Streszczę panu moją rozmowę z Dillonem i Blake'em Johnsonem.

– A zatem to nigdy się nie wydarzyło, panie prezydencie – usłyszeli w słuchawce wyraźny głos Fergusonona. – W porządku, załatwię to tutaj. A co z lady Helen?

– Mam nadzieję, że coś pan wymyśli. Może pan porozmawiać z premierem, jeśli pan chce. Zadzwoń do niego później, ale na pewno potrzebujemy pańskiej pomocy. Powiem panu coś. Natychmiast wyślę Dillona i Blake'a do Londynu. Mam tu samolot, którym mogą polecieć.

– Proszę zdać się na mnie – rzekł Ferguson. – Bóg wie jak, ale jakoś to załatwię.

Cazalet odwrócił się do Blake'a i Dillona.

– Słyszeliście. Ze względu na to, co wcześniej mówiłem, mam nadzieję, że jakoś uda mu się zatuszować tę sprawę.

– Będziemy w kontakcie – powiedział Blake.

– Proszę informować mnie na bieżąco. – Prezydent uśmiechnął się. – W drogę, panowie.

Gulfstream wzniósł się na wysokość piętnastu tysięcy metrów i skręcił nad Atlantyck. Lady Helen Lang, niegdyś pracująca w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, zadzwoniła do Ministerstwa Obrony i poprosiła o pilną rozmowę z brygadierem Fergusonem. Z czasów, kiedy żył jej mąż, pamiętała właściwy kod. Udało jej się uzyskać połączenie z mieszkaniem brygadiera przy Cavendish Street.

– Kto mówi? – spytała Hannah Bernstein.

– Lady Helen Lang. – Helen uśmiechnęła się. – Ach, znam panią. Przemiała policjantka. – Hannah włączyła głośnik i gwałtownie pomachała do Fergusona. – Jesteś tam, Charles?

– Kiepsko to wygląda, kochana – powiedział Ferguson.

– Charles, wprowadzcie jesteście nieznośny, ale zawsze cię lubiłam. Posłuchaj mnie. Oni wszyscy zapłacili za swoje zbrodnie. Szef personelu trafił mi się na okrasę. Nie wiedziałam, że to on był Łącznikiem. Próbował mnie zastrzelić, ale to ja zastrzeliłam jego. Nieważne. Potem został rozerwany na kawałki w wyniku bardzo silnej eksplozji. Twój pan Dillon był niezwykle uprzejmy. Powiedział mi, że to już koniec. Próbował mi pomóc. To bardzo miły człowiek.

– Kiedy nie zabija ludzi.

– Mój drogi Charlesie, ty także robisz to od lat.

– Helen, wyjaśnij mi jedno. Skąd wiedziałaś?

– Och, od biednego Tony’ego Emswortha. Umierał na raka i dręczyło go poczucie winy. Miał nielegalną kopię akt tajnego wywiadu, w których znalazłam całą tę historię. Przekazał mi je tuż przed śmiercią. Zawierały dane wszystkich. Również twoje, pana Dillona, tej sympatycznej policjantki. Barry’ego. Synów Erin.

– Rozumiem – powiedział Ferguson. – I co teraz?

– Wracam do Compton Place. Muszę przywitać gości: pana Jacka Barry’ego i jego przyjaciół. Nie mógł odrzucić zaproszenia. Niedawno z nim rozmawiałam. Obiecał, że przyleci tam do mnie. Nie sądzę, żeby skorzystał z usług regularnych linii lotniczych.

Ferguson był oszołomiony.

– Nie możesz tego zrobić, Helen.

– Ależ tak, mogę. On jest ostatni i to on osobiście zamordował mojego syna. Jeśli chcesz się przyłączyć, Charles, to będziesz mile widziany, ale chcę stanąć z nim twarzą w twarz, choćby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobię w życiu.

Zimny dreszcz przeleciał Fergusonowi po krzyżu.

– Dlaczego tak mówisz?

– Moje serce, Charles, jest w kiepskim stanie. To zdumiewające, jak

bardzo alkohol i pigułki dodają sił. W każdym razie jeśli ja nie zdołam go dostać, to na pewno uda się to twojemu panu Dillonowi.

– Na Boga, Helen!

– Nie robię tego w Jego imieniu, ale we własnym, Charles.

Rozłączyła się, a Hannah powiedziała:

– I co pan o tym sądzi, panie brygadierze?

– A jak myślisz, co powinienem? Nie mamy niczego, włącznie z zabójstwem Tima Pata Ryana, co pozwoliłoby nam ją aresztować.

– A więc?

– Zaczekam na nią na Gatwick. Wtedy zobaczymy.

W Doonreigh Docherty właśnie jadł śniadanie, kiedy zadzwonił telefon.

– Nieźle dziś zarobisz – powiedział Barry. – Chcę polecieć do Norfolk. Do wioski zwanej Compton, posiadłość Compton Place. Tam i z powrotem.

– Ilu pasażerów?

– Czterech, może pięciu. Dziś po południu.

Docherty zawahał się.

– Sam nie wiem. Nad północną częścią Norfolk biegnie wojskowy korytarz powietrzny.

– Posłuchaj, śmierdzieliu. Dostaniesz za to dziesięć tysięcy funtów w reklamówce z supermarketu. Zdecyduj się.

– Daj mi chwilę czasu, Jack – powiedział Docherty. – Muszę sprawdzić mapy. Wkrótce wrócę.

– Kiedy?

– Za godzinę.

Barry z trzaskiem odłożył słuchawkę i zamiast nalać sobie drinka, zaparzył herbatę. Potem zapalił papierosa i stał przy oknie, patrząc na deszcz. Nie był zły, lecz podekscytowany. Co za kobieta.

Prezydencki samolot wystartował z Westhampton. Dillon jak zawsze podziwiał luksusowe wyposażenie. Ogromne klubowe fotele, stoły z klonowego drewna. Rolę stewarda pełnił żołnierz sił powietrznych, sierżant Paul. Przyniósł kawę dla Blake'a, a dla Dillona whisky marki Bushmills i przenośny telefon.

– Do pana, panie Dillon. Brygadier Ferguson.

– Wczesne śniadanko, brygadierze?

– Zamknij się i słuchaj – powiedział Ferguson. – Dopiero co rozmawiałem z nią przez telefon.

– I co?

– Dowiedziała się o wszystkim od Tony'ego Emswortha tuż przed jego śmiercią. Miał nielegalną kopię akt. Zawierały dane nas wszystkich, włącznie z tobą. Wszystkie szczegóły strasznej śmierci jej syna, ukrywane przez Tajną Służbę Wywiadowczą. Powiedziała mi, że zastrzeliła Thorntona, zanim nastąpił wybuch. I zawiadomiła Barry'ego, że wraca do Compton Place. Chce go tam zwabić.

Dillon pokiwał głową.

– Tak, to do niej podobne. Rozumie pan, on jest ostatni. Thornton trafił jej się ekstra. Mówiła poważnie?

– Powiedziała, że jest chora na serce – dodał Ferguson. – Podobno tylko proszki i whisky trzymają ją przy życiu, Ona nie żartuje, Dillon. Taka cudowna kobieta ma się zmierzyć z taką świnią.

– Hej, spokojnie.

– Wiesz, co mi powiedziała? „Jeśli ja nie zdołam go dostać, to na pewno uda się to twojemu panu Dillonowi”.

– Naprawdę? – zapytał Dillon lodowatym tonem.

– Bóg wie, co zrobię na Gatwick.

– Mogę powiedzieć to panu już teraz – rzekł Dillon. – Nic, ponieważ tam jej nie będzie. Niech pan odda słuchawkę pani inspektor.

– Dobrze, tylko że teraz już nadinspektor.

Dillon powiedział Hannah:

– W końcu awansowałaś. Gdybym ci pogratulował, uznałabyś to za paternalizm.

– Przestań, Dillon.

– Przed odlotem z Westhampton sprawdziłem prognozę pogody. Nad Zjednoczonym Królestwem będzie bardzo kiepska. Rozległy front burzowy, mgła, na pewno zamkną Gatwick. Dlatego powiedziałem szefowi, że jej tam nie będzie, ale sądzę, że wcale nie zamierzała tam wylądować. Sądzę, że leci na inne lotnisko.

– Dobrze, zaraz to sprawdzę.

– Zrób to. Porozmawiamy później.

Docherty zadzwonił do Barry'ego i oznajmił:

– W porządku, mogę to zrobić. Znów polecimy chieftainem. Lądowisko podobne do tego ostatniego. W Północnym Norfolk znam faceta, niejakiego Clarke'a. Prowadził szkółkę lotniczą w miejscu zwanym Shankley Down. To stary magazyn paliw z czasów drugiej wojny światowej. Szkołka splajtowała. Wykonuje nielegalne przeloty do Holandii cesseną 310.

– Nic mnie to nie obchodzi. Może sobie nawet latać na Marsa. Wchodzi w to?

– Tak, już z nim rozmawiałem. Shankley Down leży najwyżej o godzinę jazdy od Compton Place.

– Dobrze. Jesteśmy umówieni. Będę tam za dwie godziny.

Barry trzasnął słuchawką w widelki, znów ją podniósł i wybrał numer. Usłyszał męski głos:

– Quinn.

– Barry. Mam robotę. Prywatny przelot do Norfolk i z powrotem.

– Rany boskie, Jack. Norfolk?

– A co masz do roboty? Tarzać się jak goryl we własnym gównie, bo dni chwały minęły? Dwie godziny lotu na odludne lotnisko i dwie godziny z powrotem.

– A w międzyczasie?

– Zrobimy, co się da.

Quinn ożywił się.

– Ilu?

– Ty, ja, Dolan, Mullen, McGee. Jesteś ze mną?

– Chryste, jestem.

– Spotkamy się u Docherty'ego w Doonreigh, za dwie godziny. Jeśli chłopcy nie zdążą, załatwimy to we dwóch. Armalite i krótka broń.

– Będziemy tam wszyscy, Jack, przysięgam. Niech żyją Synowie Erin! Odłożył słuchawkę, a Barry powtórzył ponuro:

– Niech żyją.

Tym razem nalał sobie nie herbaty, lecz whisky.

Helen Lang słuchała drugiego pilota, który podawał komunikat meteorologiczny dla Zjednoczonego Królestwa.

– A więc niezbyt dobrze – podsumowała.

– Och, możemy skreślić Gatwick, lady Helen. Nad wyspy nadciąga gęsta mgła, ale gdzieś wylądujemy.

– Może nad lotniskiem East Midland są lepsze warunki?

Skinął głową.

– Na pewno lepsze niż nad Gatwick.

Od początku chciała tam wylądować, ale tylko uśmiechnęła się.

– A więc wylądujemy tam. I tak udaję się do Norfolk. Będę miała bliżej.

– Jak pani sobie życzy.

– Proszę zamówić przez radio limuzynę. Nie potrzebujemy kierowcy. Hedley będzie prowadził.

Pilot odszedł.

– Wszystko pani zaplanowała – powiedział Hedley.

– Oczywiście. – Wyjęła papierosa. – Proszę o ogień. – Kiedy podał jej, wygodnie wyciągnęła się w fotelu. – Żałuję tylko jednego. Nie pozostawiam ci wyboru.

– Nie miałem żadnego, od kiedy panią poznałem – uśmiechnął się. – Pozwoli pani, że przyniosę pani filiżankę herbaty.

Barry przyjechał do Doonreigh, gdzie już czekał Quinn i pozostali. Stłoczyli się w biurze Docherty'ego, sprawdzając karabiny i krótką broń. Docherty miał zdecydowanie nieszczęśliwą minę. Wchodzącego Barry'ego powitał szmer podniecenia, klepanie po plecach i głośne śmiechy.

– Co to za sprawa, Jack? – zapytał Quinn.

Barry, jak zawsze, doskonale wiedział, jak poradzić sobie z sytuacją. Miał przed sobą grupkę ludzi, których nie powstydziałaby się mafia, ale jak wielu irlandzkich terrorystów z obu stron barykady, ci również chcieli wierzyć, że są dzielnymi bojownikami o wolność.

– Koledzy, walczyliśmy ramię w ramię o wolność dla Irlandii i wielu z nas zginęło za sprawę, często w wyniku zdrady i nieuczciwości. Nigdy wam o tym nie mówiłem, ale miałem w Nowym Jorku oddział Synów Erin i przedstawiciela w Londynie. Czterej z nich zostali zastrzeleni. – Wszyscy zamilkli. – Odpowiedzialna za to jest pewna kobieta. To ją mamy odwiedzić w Norfolk. Odplacimy jej za śmierć naszych towarzyszy. Załatwimy ją i natychmiast wracamy. Jeśli ktoś chce się wycofać, niech powie.

Quinn zabrał głos.

– Jesteśmy z tobą, Jack, i dobrze o tym wiesz.

Barry klepnął go w ramię.

– Porządny z ciebie gość. No, ruszajmy.

Poszedł pierwszy.

Front niskiego ciśnienia nadciągał nad Anglię jak morowa zaraza, zasnuwając wszystko mgłą. Ferguson i Hannah czekali na lotnisku Gatwick w poczekalni dla VIP-ów. Ferguson spojrzął za okno.

– Coś za cicho.

– Sprawdź – powiedziała Hannah. Wyszła, po kilku minutach wróciła i skrzywiła się. – Wstrzymano ruch powietrzny.

– Niech to licho. Czy któreś lotnisko przyjmuje?

– Och tak. W Manchesterze i East Midlands.

– Sprawdź u nich. Zobacz, czy zgłosili tam swój przylot.

Hannah poszła, a po chwili zadzwonił telefon. Hostessa powiedziała:

– Telefon do pana, brygadierze.

Usłyszał wyraźny głos Helen Lang.

– Drogi Charlesie, przykro mi, że się miniemy. Paskudna pogoda. Właśnie wylądowaliśmy na East Midlands. Mieliśmy szczęście. Jedziemy do Norfolk. Na drogach jest mgła, ale niezbyt gęsta. Hedley to wspomniały kierowca.

– To szaleństwo, Helen, Posłuchaj, lecą do ciebie Dillon i Johnson. Zostaw to nam.

– Zostań z Bogiem, Charles.

Rozłączyła się.

– I co teraz? – zapytał Hedley.

– To zależy od pana Barry’ego.

– Nawet nie zbliży się do Norfolk, nie w taką pogodę.

– Nie liczyłabym na to, Hedley. To bardzo uparty człowiek i ma ogromne poczucie winy. – Wytrząsnęła na dłoń dwie pastylki. – Poproszę butelkę.

Podał jej.

– Zabije się pani.

– Jeśli tylko najpierw zabiję Barry’ego, umrę szczęśliwa.

Było późne popołudnie, gdy chieftain przeleciał nad linią brzegową opodal Morecambe. Padał deszcz i chmury wisiały nisko, ale Docherty i tak leciał poniżej ich pułapu. Barry siedział obok niego.

– Dolecimy?

– Nie wygląda to najlepiej, ale myślę, że tak. Zawsze możemy zawrócić.

– Tylko spróbuj, to po wylądowaniu cię zabiję – uśmiechnął się złowrogo Barry. – Widzisz, udaję się na spotkanie. Najważniejsze w moim życiu.

Docherty był przerażony.

– Jezu, Jack, wszystko będzie dobrze. Daj mi tylko szansę.
Skupił się na pilotowaniu.

Przyszedł sierżant Paul, niosąc przenośny telefon.

– Brygadier Ferguson, panie Dillon.

– Jestem tu – rzekł Dillon.

– Kiepska pogoda, mgła. Wylądowała na East Midlands. Jedzie samochodem do Norfolk.

– A więc?

– Posłuchaj. Mówiła mi, że Barry zapowiedział swój przylot. To oznacza, że on skorzysta z nielegalnego transportu, zapewne bezpośrednio do Norfolk.

– Chce pan powiedzieć, że w Compton Place może być zdana na własne siły?

– Mniej więcej.

– Zawsze może pan zadzwonić do szefa policji w Norfolk i...

– Nie mów głupstw, Dillon. Przynajmniej raz zapomnij o irlandzkiej skłonności do wisielczego humoru i bądź poważny.

– No cóż, ona potrzebuje wsparcia – rzekł Dillon. – Ma tego zacnego starego Hedleya, który nieźle się spisał w Wietnamie, ale to było wiele lat temu. Jeśli Barry tam przyleci, to nie sam. Znam go na tyle dobrze, żeby to wiedzieć.

– Dillon, Północne Norfolk to jeden z ostatnich naprawdę rolniczych zakątków Anglii. Dojazd zajmie nam kilka godzin, a ona już tam jedzie. Co możemy zrobić?

– Przede wszystkim sprawdźcie, czy możemy wylądować na Farley Field. Potem niech pan porozmawia z porucznikami Laceyem i Parrym. Proszę im powiedzieć, że wybieramy się na wojnę.

– O czym ty mówisz, do licha?

– Znam trochę wybrzeże Północnego Norfolk. Ma szerokie plaże, szczególnie podczas odpływu. Mogą mnie tam zrzucić na spadochronie.

Już to robiliśmy. Proszę wszystko pozostawić Laceyowi.

– Wielki Boże, Dillon!

– On nie ma z tym nic wspólnego. Blake każe pilotowi skrócić do Farley. Zadzwoń.

– Farley? – spytał Blake.

– No, na pewno pamiętasz Farley, szkolne lotnisko pod Londynem. Nasz Wydział ma tam zawsze lear jeta, pilotowanego przez poruczników Lacey'a i Parry'ego. Przeżyliśmy razem kilka interesujących chwil. Teraz mamy inny problem.

– Jaki?

– Lady Helen Lang chce dostać ostatniego żyjącego przeciwnika, Jacka Barry'ego. Dlatego go zwabiła. On nie mógł się oprzeć pokusie, więc powiedział jej, że przyleci. W Compton Place lady Helen będzie w kiepskiej sytuacji. Ta posiadłość leży na kompletnym odludziu. Dlatego wylądujemy na Farley. Mają tam zbrojownię i wszystko, co potrzeba. Słuchaj i ucz się.

Ponownie zadzwonił do Fergusona.

– Proszę powiedzieć Laceyowi, żeby znalazł mi odpowiednią plażę w pobliżu Compton Place. Jak już powiedziałem, skoczę ze spadochronem. Przynajmniej będzie miała jakieś wsparcie. Przygotujcie potrzebny sprzęt i uzbrojenie.

Blake nachylił się i rzucił do słuchawki:

– Przepraszam, ale przygotujcie wszystko dla dwóch.

Dillon roześmiał się i powiedział do Fergusona:

– Hej, mam tu stukniętego Amerykanina w średnim wieku, który chce sobie poskakać. To jakiś korespondent wojenny przysłany przez prezydenta.

– Obaj jesteście stuknięci – mruknął Ferguson.

– Oczywiście, dlatego pracujemy w tym fachu – zakończył rozmowę Dillon.

Chieftain wylądował na starym i podniszczonym pasie dla bombowców w Shankley Down, po czym podkołował pod rozpadający się hangar i blaszany barak z dymiącą rurą komina. Opodal stała cessna 310, obok niej stary ford transit, a przy nim mężczyzna w lotniczej kurtce.

Wszyscy wysiedli.

– Hej, Clarke, fajnie wyglądasz! – zawołał Docherty.

– Gdzie moja forsa? – zapytał tamten.

Docherty podał mu wypchaną kopertę.

– Dwa kawałki gotówką.

Clarke przeliczył pieniądze, a Barry klepnął go w ramię.

– W porządku?

Clarke spojrzął na Irlandczyka i pozostałych i - jak zawsze - postanowił nie zadawać żadnych pytań.

– Jasne, wszystko gra. Kluczyki w stacyjce. Barry poklepał go po policzku.

– Grzeczny chłopczyk. Wrócimy tu.

Skinął na swoich ludzi. Wsiedli do transita, Quinn usiadł za kierownicą i odjechali.

Gulfstream wylądował na lotnisku Farley, zatrzymał się i Dillon z Blake'em natychmiast wysiedli. Nieopodal stali Ferguson i Hannah, a za nimi Parry i Lacey.

– Wszystko przygotowane? – zapytał Dillon.

– Wejdźmy do środka i omówmy to – odparł Ferguson.

W pomieszczeniu nie było nikogo oprócz nich. Na drewnianym stole leżały spadochrony, dwa karabinki automatyczne AK47 i dwa browningi z tłumikami.

– Widzę, że pamiętaliście, co lubię. – Dillon odwrócił się do Lacey: – Jak wygląda sytuacja?

– Pokażę panu na mapie. – Lacey zaprowadził ich na koniec stołu. – To mapa sztabowa. Compton Place leży prawie nad samym morzem.

Tutaj jest Horseshoe Bay. Bardzo szeroka podczas odpływu, który niedługo się zacznie. Moglibyśmy poczekać, ale...

– Nie ma mowy. Jeśli wystartujemy zaraz, kiedy tam dotrzemy?

– Za czterdzieści minut.

– Chcę ci powiedzieć, że lecimy z wami – oznajmił Ferguson. – Wskoczycie, a my polecimy do bazy paliwowej RAF-u w Bramley, która znajduje się czterdzieści kilometrów dalej. Stamtąd przyjedziemy samochodem.

– Ładnie z waszej strony. – Dillon ponownie spojrział na mapę i obrócił się do Blake'a. – A zatem do Horseshoe Bay.

Razem z Blake'em oddali się w ręce zbrojistrza, starszego sierżanta, który z zawodową wprawą obejrzał ich wyposażenie. Wzięli tylko po jednym spadochronie, bez rezerwowych, oraz kałasznikowy i browningi z zapasowymi magazynkami.

– Słuchaj, Blake, Wietnam był już dawno temu – powiedział Dillon.

– Wypchaj się, Dillon.

– Hej, ja jestem po twojej stronie!

Włożyli kombinezony, założyli kabury z browningami i sprawdzili kałasznikowy. Wszedł Ferguson z Hannah.

– Lacey mówi, że jeszcze jest trochę mgły, ale głównie w okolicach Horseshoe Bay. W Bramley powinniśmy wylądować bez trudu.

– No to ma pan szczęście, brygadierze. – Dillon uśmiechnął się do Blake'a. – Ruszajmy.

– Czemu nie? – odparł Blake, wziął spadochron i wszedł.

NORFOLK

ULSTER

W fordzie panował nastrój podniecenia graniczącego z euforią. Barry, siedząc obok prowadzącego furgonetkę Quinna, przedstawił im plan działania.

– Kobieta, którą odwiedzimy, to lady Helen Lang, z pochodzenia Amerykanka, ale nie dajcie się zwieść pozorom. Zabiła już kilka razy. Jest pewien problem. Ma wielkiego czarnego szofera, niejakiego Hedleya.

– Jeszcze jeden czarnuch – rzekł Dolan i poklepał karabin. – Zajmę się nim.

– Już popełniłeś błąd, który mógłbyś przypłacić życiem – ostrzegł go Barry. – Jak wszyscy wiecie, jestem weteranem z Wietnamu i Hedley Jackson też. To były komandos sił specjalnych, wielokrotnie odznaczony. Ten człowiek może sprawić nam kłopoty.

– A więc to zły czarnuch – prychnął Dolan.

– Twoje zmartwienie, stary. – Barry wyjął mapę sztabową i podał siedzącym z tyłu. – Znajdziecie na niej Compton Place. Na samym brzegu morza. Jest tam też wioska Compton, ale leży osiem kilometrów dalej. To jedna z tych małych, na pół wyludnionych miejscowości, najwyżej pięćdziesięciu mieszkańców. Nie będzie problemów.

Mullen, rosy, nieprzyjemny typ z ogoloną głową, powiedział:

– To prosta robota, Jack, więc po co nas zabrałeś? Mógłbyś to zrobić sam.

– Zabrałem was, ponieważ ona mnie tu zaprosiła. Trzy lata temu zabiłem jej syna, brytyjskiego oficera pracującego dla tajnego wywiadu. Dlatego załatwiła Tima Pata Ryana w Londynie i moich przyjaciół w Nowym Jorku. Teraz chce dostać mnie. Coś jak w jednym z tych telewizyjnych westernów, w których bohater wyzywa przeciwnika na pojedynek o wschodzie słońca.

– Musi być stuknięta – mruknął Mullen.

– Pięciu zabitych, wszyscy z tej samej broni. To znaczy, że zna się na robocie. Na Park Avenue załatwiła też dwóch oprychów, którzy w nocy chcieli zgwałcić jakąś dziewczynę.

– Skasujemy ją – zapowiedział Quinn. – Ją i czarnucha.

– Cholera, mam nadzieję – powiedział Barry. – Nie chcę, żeby do końca życia deptała mi po piętach, a będzie, jeśli jej nie załatwimy.

Mówił to z pewnym żalem, którego przyczyny sam nie potrafił zrozumieć.

– Łatwizna, Jack – pocieszył go Quinn. – Będziemy z powrotem, zanim mrugniesz.

– Miejmy nadzieję – rzekł Barry. – Przyjrzyjcie się mapie. Zapamiętajcie układ terenu.

Było późne popołudnie, mgliste i deszczowe, gdy mercedes przejechał przez Compton i pomknął dalej krętymi wiejskimi drózkami. Hedley zajechał na dziedziniec i zgasił silnik. Lady Helen już zdążyła wysiąść i otwierała kuchenne drzwi. Hedley wniósł do środka bagaże.

– I co dalej?

– Przebiorę się, a potem się przygotujemy.

– Na co, lady Helen?

– Na przyjęcie Jacka Barry’ego. – Uciszyła go machnięciem ręki. – Och, on przyjedzie, Hedley, nie oprze się pokusie. Natomiast Charles Ferguson, pan Dillon i Blake Johnson...

– Mogą przyjechać tu pierwsi i mam nadzieję, że tak będzie.

Spojrzała na mgłę za oknem.

– Nie mów głupstw, Hedley. Jazda z Gatwick w takiej mgle zajmie im kilka godzin. Zobaczymy się za piętnaście minut.

Weszła do sypialni, rozebrała się, wyjęła z szafy jednoczęściowy kombinezon i włożyła go. Znalazła buty z miękkimi cholewkami, a potem otworzyła torebkę i wyjęła colta 25. Rozładowała go, nakręciła tłumik na lufę, a potem na nowo włożyła magazynek. Otworzyła szufladę, wyjęła jeszcze cztery magazynki i wsunęła po dwa do kieszeni.

Oddychała z trudem, więc wzięła fiolkę z proszkami i wytrząsnęła dwa, zawahała się, a potem wysypała na dłoń jeszcze dwa. Poszła do łazienki, napełniła szklanek wodą i popiła nią lekarstwo.

– Do diabła z tym – mruknęła. – Mam się teraz martwić przedawkowaniem? I tak wkrótce będzie po wszystkim.

Zeszła na dół i znalazła Hedleya w kuchni. Parzył herbatę. Miał na sobie dres. Podał jej filiżankę.

– Jesteś gotowy na wojnę, Hedley?

– Dawno o niej zapomniałem.

– Sądzę, że pewnych rzeczy się nie zapomina – uśmiechnęła się. – Byłeś dobrym przyjacielem.

– Wobec pani przychodziło mi to bez trudu. – Napił się herbaty. – Do diabła, nawet piję to zamiast kawy, żeby sprawić pani przyjemność.

– Odstawił filiżankę. – No cóż, jeśli nie zmieniła pani zdania, to proponuję, żebyśmy się udali do stodoły.

Tym razem nie posłużyła się coltem, chociaż miała go w małej kaburze przypiętej do pasa. Hedley dał jej dziewięćmilimetrowy browning z tłumikiem i magazynkiem mieszczącym dwadzieścia naboii.

– Z tym naprawdę mam wrażenie, że wybieram się na wojnę – powiedziała.

– Bo tak jest, proszę mi wierzyć. Proszę rozstawić nogi, ręce razem.

Kolejno strzelała do każdej tarczy, zmieniając je w strzępy.

– Och. I co teraz, Hedley?

– To proste – odparł. – Zaczekamy i zobaczymy, kto dotrze tu pierwszy.

Zaparkowali forda transita w kępie sosen, z której mieli doskonały widok na Compton Place. Mgła kłębiła się w podmuchach wiatru, chwilami odsłaniając posiadłość. Widzieli wtedy budynki, pola i morze, zanim znów przesłonił je gęsty opar.

– Zostawcie tu samochód – polecił im Barry. – Kluczyki pod wycieraczkę. Podejźmy pieszo.

– Jesteśmy z tobą, Jack – zapewnił go Quinn.

– Dobrze wiedzieć. Możesz pójść jako szpica, jak mówiliśmy w Wietnamie.

Kiedy zeszli ze wzgórza i zbliżali się do budynków, znów zaczęło padać. Hedley, leżąc na szczycie schodów prowadzących na poddasze stodoły, był uzbrojony w karabinek automatyczny AK47 z tłumikiem i noktowizorem. Wycelował w Quinna i nacisnął spust. Przypadkiem Quinn w tej samej chwili obrócił się, żeby powiedzieć coś Barry'emu. Zamiast trafić go w serce, pocisk uderzył w kolbę karabinu. Quinn zatoczył się.

– Jezu Chryste!

– Padnij! – krzyknął Barry i wszyscy go posłuchali. Podczołgał się do Quinna. – Żyjesz?

– Tak mi się zdaje.

– Poznaję ten dźwięk. To AK47 z tłumikiem. Często słyszałem go w Wietnamie. – Powiedział cicho do pozostałych: – Ona tam jest i czeka na nas. Uważajcie. Rozproszyć się i naprzód.

Lear jet zszedł w dół i na wysokości trzystu metrów wyszedł z mgły. W dole rozpościerała się Horseshoe Bay, pokryta kremowymi grzywami fal i szara w świetle wieczoru. Porucznik Lacey powiedział przez interkom:

– Niedobrze. Odpływ dopiero się zaczął. Lepiej zrezygnujcie.

Dillon i Blake siedzieli z przypiętymi spadochronami, uzbrojeni w pistolety i karabinki AK. Spojrzeli na Fergusona i Bernstein.

– Wybór należy do was, panowie – rzekł brygadier.

– Do diabła z tym – mruknął Dillon. – Któż by chciał żyć wiecznie? – Chwycił dźwignię i otworzył drzwi. Uśmiechnął się do Blake’a. – No cóż, ty jesteś starszy. Możesz skakać pierwszy.

– Twoja uprzejmość mnie wykończy – powiedział Blake i gdy Lacey zszedł na dwieście pięćdziesiąt metrów, rzucił się głową naprzód.

Niebo aż po horyzont było zasnuwane kłębamii mgły i szybko zapadał zmierzch. Dillon, pamiętając, że musi zachować odstęp od Blake’a, spokojnie podszedł do drzwi lear jeta i skoczył. Obrócił się w powietrzu, pociągnął za linkę spadochronu i spojrzał w górę. Dostrzegł samolot szybko nabierający wysokości.

Blake wylądował na piasku, tuż poza zasięgiem fal. Dillon, który wyskoczył chwilę później, wpadł w głęboką na dwa metry, bardzo słoną wodę i z trudem dopłynął do brzegu, ciągnąc za sobą spadochron. Uderzył w zatrzask zwalniający uprząż, wyplątał się z niej i brodząc w wodzie, wydostał się na plażę.

Blake wyszedł mu na spotkanie.

– Wszystko w porządku?

Dillon przytaknął.

– Bierzmy się do roboty.

Wspięli się na wysoki brzeg, przystanęli w cieniu sosen, a potem ruszyli w kierunku domu. Szli ostrożnie, trzymając się blisko siebie, gdy usłyszeli głośny huk i zobaczyli kłęby dymu.

– Mam wrażenie, że to był granat dymny – powiedział Dillon. – Chodźmy.

Zbiegli ze wzgórza.

Instynkt kazał Barry’emu trzymać się z tyłu. Quinn poprowadził atak na stodołę. Hedley wycelował i strzelił Mullenowi w głowę. Potem rzucił granat dymny. Terrorysty padli na ziemię i zaczęli ostrzeliwać piętro stodoły. Hedley leżał na brzuchu, na szczycie schodów. Jedna z wystrzelonych na oślep kul trafiła go w prawe ramię.

Lady Helen kuliła się tuż za nim.

– Wszystko w porządku?

– To draśnięcie. Nic mi nie będzie.

– Wykończ ich, Quinn – powiedział Bany.

Quinn podniósł się.

– Do roboty! – ponaglił.

Wszyscy wstali i ruszyli za nim. Lady Helen wycelowała i wypaliła kilkakrotnie z browninga, trafiając Quinna. Pozostali wycofali się, a ona chwyciła Hedleya za rękę.

– Schowaj się.

Dolan i McGee odczołgali się do tyłu.

– No, chłopcy, do stodoły – popędził ich Barry. – Oni nie mają dokąd uciec.

– Chryste, Jack, to szaleństwo – powiedział Dolan. – Odstrzelą łeb pierwszemu, który tam wejdzie.

Barry wycelował w niego berettę.

– Wejdiesz tam, do kurwy nędzy, albo sam ci rozwalę łeb! No już, na schody!

Przerażony Dolan wbiegł na schody, a Blake, który w tym momencie wpadł na dziedziniec, przeszył go serią z kałasznikowa. Terrorysta runął na bruk.

Blake przyczaił się, a Barry podczołgał się do McGee'a.

– Bez obawy, poradzimy sobie.

Dillon pojawił się na drugim końcu podwórza i puścił krótką serię.

– Jesteś tam, Jack?

– A więc to ty, Sean! – odkrzyknął Barry. – Zawsze przychodzisz za późno.

Blake wypalił w kierunku miejsca, z którego dochodził głos, a przeciwnicy odpowiedzieli ogniem. Poczul palący ból, jakby ktoś smagnął go po lewym ramieniu rozżarzonym do czerwoności pogrzebaczem, i upadł. Dillon wystrzelił trzy pociski i trafił McGee'a w twarz.

Zapadła cisza. Mgła tłumiała szum deszczu. Barry podczołgał się do stodoły, uchylił drzwi i wślizgnął się do środka. Zobaczył ją na stryszku stodoły. Siano sypało się na dół, gdy odciągała Hedleya w bezpieczne miejsce.

– Tu jestem! – zawołał Barry.

Odwróciła się, puszcżając rękę szofera. Barry wycelował, a ona bez wahania sięgnęła po colta. Nacisnął spust, beretta się zacięła. Rozpacźliwie szarpał za suwadło, a lady Helen starannie wzięła go na muszkę. Wtem stało się coś dziwnego. Zaczęła spazmatycznie łapać ustami powietrze, zachwiała się i opadła na kolana. Barry wyrwał magazynek, wepchnął drugi, wycelował, a w tym momencie do stodoły wpadł Dillon.

– Nie! – krzyknął i wystrzelił.

Kula drasnęła twarz Barry'ego, który wrzasnął i zatoczył się w tył. Natychmiast się opanował i odpowiedział ogniem, a gdy Dillon rzucił się na ziemię, terrorysta wybiegł przez tylne drzwi. Zapadła cisza. Dillon wstał i wszedł po schodach na górę.

Znalazł tam Hedleya z zakrwawionym ramieniem, a obok niego lady Helen. Miała twarz szarą jak popiół. Dillon przyklęknął przy niej.

– Co pani jest?

– Serce, panie Dillon. Od dawna żyłam na kredyt. Dostaliśmy ich? – Dillon zawahał się. – Proszę powiedzieć prawdę.

– Wygląda na to, że wystrzelaliśmy całą bandę, ale Barry zwiął.

– Jaka szkoda.

Zamknęła oczy.

Po chwili na dziedziniec wjechał landrover RAF-u, wiozący Charlesa Fergusona i Hannah Bernstein.

Dillon oglądał jedno ciało po drugim. Kilkakrotnie postrzelony Quinn ledwie dychał.

– Jezu, Quinn, kopę lat!

– Dillon?

– Wszyscy twoi kumple wyciągnęli nogi.

– A Jack?

– Och, diabeł zawsze dba o to, co jego. Wymknął się, jak zawsze.

– Drań.

– Dokąd uciekł?

Quinn zdobył się na upiorny uśmiech.

– To będzie cię kosztowało papierosa.

Dillon wyjął srebrną papierośnicę. Pomimo przymusowej kąpieli, papierosy w niej były suche. Dał Quinnowi jednego i podał mu ogień.

– Przylecieliśmy z Doonreigh chieftainem Docherty’ego. Pamiętasz go z dawnych czasów?

– Pewnie.

– Wylądowaliśmy na starym pasie startowym, niedaleko stąd. Shankley Down, własność niejakiego Clarke’a. Docherty miał na nas czekać – mówił znużonym głosem Quinn. – Ten drań Jack zawsze myśli tylko o sobie. Poleci do Ulsteru i do diabła z nami. – Gaśł w oczach. – Wróci do Spanish Head. To zawsze była jego kryjówka. – Szybko uchodziło z niego życie.

– Spokojnie, Quinn, jeszcze go dopadnę – powiedział Dillon. – Pamiętasz, co umiem? Potrafię latać na wszystkim, co ma skrzydła. W tym Shankley Down był jakiś inny samolot?

Quinn skinął głową.

– Mały, dwusilnikowy. Taki, do którego wsiada się po skrzydle.

– Cessna 310 – rzekł Dillon.

– Załatw tego pieprzonego drania, Dillon.

Głowa opadła mu na ramię i wypuścił z palców papierosa. Dillon podszedł do Fergusona, który rozmawiał z kimś przez telefon komórkowy. Właściwie zakończył rozmowę.

– Wezwałem tu sprzątaczy. Sądzę, że przy tej pogodzie dotrą tu za cztery godziny. Co z nim?

Ruchem głowy wskazał Quinna, a Dillon odparł:

– Nie żyje, tak jak tamci trzej.

– Znam któregoś z nich?

– Och, będzie pan zachwycony. Może pan skreślić czterech ze swojej listy najbardziej poszukiwanych.

Hannah Bernstein przyniosła apteczkę z landrovera RAF-u i obandażowała ramię Blake’a. Klęczący przy lady Helen Hedley też przyciskał opatrunek do ramienia. Dillon przyklęknął przy niej, a ona uśmiechnęła się.

– A więc uciekł, panie Dillon. Jaka szkoda.

Ujął jej dłoń, zimną i bezwładną.

– Tylko tak mu się wydaje. Dostanę go, kochana, obiecuję.

Wstał i pomógł postawić ją na nogi.

– Zabierzcie ją do środka – powiedział do Fergusona. Popatrzył na nich, na Hedleya i Blake’a, na Fergusona i lady Helen, podtrzymywaną przez Hannah. Rana Blake’a była bolesna, a Hedley też nie wyglądał dobrze.

– Straszny tu bałagan, Charles – powiedziała lady Helen. – To nie będzie dobrze wyglądało w gazetach.

– W gazetach nie będzie o tym ani słowa – odparł Ferguson. – Moja ekipa sprzątaczy zabierze te śmieci do Londynu, gdzie ciała zostaną spalone w krematorium. Do rana zostanie z nich tylko kilka garści popiołu. Jeśli o mnie chodzi, mogą je wsypać do Tamizy.

– Wiem, że możesz to zrobić, Charles.

– Oczywiście, że mogę.

Delikatnie odsunął Hannah i objął ramieniem lady Helen.

– A więc niech pan to zrobi – rzekł Dillon. – Mnie tu nie będzie. Wezmę landrovera.

– Dokąd się wybierasz? – spytał Ferguson.

– Quinn mi powiedział, że wylądowali w miejscu zwanym Shankley Down. Przylecieli chieftainem pilotowanym przez mojego starego znajomego, niejakiego Docherty’ego. Sądzę, że Jack właśnie startuje, jeśli jeszcze tego nie zrobił.

– A więc nie zdołasz go zatrzymać.

– Shankley Down to własność faceta nazwiskiem Clarke. Jest tam cessa 310. Będę ścigał Jacka Barry’ego aż na koniec świata. Och, trzystka dziesiątka jest wolniejsza od chieftaina, ale nic nie szkodzi. Widzi pan, ja wiem, dokąd on zmierza.

Blake domyślił się.

– Do Spanish Head?

– Masz punkt.

– Byłby szaleńcem, gdyby to zrobił.

- On jest szaleńcem.
- A gdzie wylądujesz, Sean?
- Dobrze znam to miejsce z dawnych czasów. Za cyplem są szerokie plaże, szczególnie podczas odpływu.
- W taką pogodę? – zaprotestował Ferguson. – Jesteś szalony.
- Zawsze byłem, brygadierze.
- W tych okolicznościach będzie lepiej, jeśli polecę razem z nim, panie brygadierze – powiedziała Hannah Bernstein.
- Akurat – warknął Dillon.
- Pozwól, że coś ci powiem, Dillon. Aby odjechać stąd landroverem, potrzebne ci są kluczyki, a to ja je mam. Po drugie, nie masz prawa działać bez asysty policji, którą mogę ci zapewnić, będąc nadinspektorem Służby Bezpieczeństwa. Irlandia Północna jest częścią Zjednoczonego Królestwa.
- Jezu, ależ z ciebie nieznośny babsztyl.
- Myślałem, że już dawno to zauważyłeś – stwierdził Ferguson. – Mogę wam tylko powiedzieć, żebyście utrzymywali ze mną kontakt.

Kiedy Barry dotarł do Shankley Down, Docherty i Clarke stali w jednym z dwóch hangarów. Palili. Transit zahamował z piskiem i wysiadł z niego Barry. Po twarzy ciekła mu krew z rany po kuli Dillona.

- Dobra, zbierajmy się – rzekł.
- Gdzie reszta? – zapytał Docherty.
- Nie przyjdą – odparł Barry. – Wszyscy nie żyją.
- Chwileczkę – powiedział Clarke – o co tu chodzi?

Barry wyjął beretę i strzelił mu między oczy, a potem pochylił się, przeszukał jego kurtkę i znalazł kopertę z dwoma tysiącami funtów. Kiedy podniósł głowę, zobaczył bladą jak ściana twarz Docherty'ego.

- Jack?
- Nie udało się. Wpadliśmy w gównno. Ruszajmy.
- Popchnął Docherty'ego w kierunku chieftaina.

Po chwili samolot z rykiem przemknął po pasie startowym i wzniósł się w ciemniejące niebo.

Czterdzieści minut później Dillon i Hannah byli na miejscu. Dillon prowadził. Zatrzymał wóz obok ciała Clarke'a i wysiadł.

– Niewątpliwie tu był – zauważył. – Zadzwoń do Fergusona i powiedz mu, że mamy jeszcze jedno ciało do uprzątnięcia.

Wszedł do drugiego hangaru, wdrapał się na skrzydło cessny, usiadł na fotelu po lewej i sprawdził przyrządy. Wkrótce nadeszła Hannah i również zajęła miejsce w samolocie.

– Wszystko w porządku?

– Zbiorniki są pełne, jeśli o to pytasz. Posłuchaj, on wystartował wcześniej, a chieftain jest znacznie szybszy od cessny. Lądowisko Docherty'ego w Doonreigh leży mniej więcej sześćdziesiąt kilometrów od Spanish Head, a Quinn uważał, że tam się uda ten drań. Dogonię go, gdy wyląduję na plaży, tak jak mówiłem.

– Teraz jest przypływ czy odpływ?

– Sprawdzimy po drodze. – Włączył zasilanie. – Jeśli ci to nie pasuje, możesz wysiąść.

– Idź do diabła, Dillon.

Zamknęła drzwi kabiny, przypięła się do fotela i sięgnęła po zapasowe słuchawki.

– Przekręć to pokrętko na piątkę – powiedział. – Najpierw sprawdź prognozę pogody dla Zjednoczonego Królestwa, potem dla Ulsteru.

Założył swoje słuchawki, uruchomił najpierw prawy, a potem lewy silnik i pokołował w deszcz, na koniec pasa. Hannah powiedziała do mikrofonu:

– Jak długo potrwa lot?

– Półtorej godziny z wiatrem, dwie przy niesprzyjającym wietrze. Dlaczego pytasz?

– Według prognozy meteo, za godzinę zaczyna się tam przypływ. Mgła się unosi i wschodzi księżyc.

– Zapowiada się ciekawie.

Uśmiechnął się do niej, dodał gazu i wystartowali.

Było już ciemno, gdy chieftain wylądował w Doonreigh i podkołował do hangarów i blaszanego baraku. Po drodze Barry dobrał się do przenośnego barku Docherty'ego i siedząc samotnie w kabinie, opróżnił pół butelki whisky. Nie opatrzył sobie twarzy plastrami z apteczki, tylko przemył ranę czystą whisky. Samolot się zatrzymał, Barry otworzył drzwi i zszedł po schodkach. Mgła podniosła się, ale padał deszcz.

– Z powrotem na starych śmieciach – mruknął.

Docherty stanął za nim.

– Obiecałeś mi dziesięć tysięcy funtów w reklamówce z supermarketu, Jack.

– I zapomniałem ją zabrać. Czy to nie okropne?

Barry wyjął beretkę i strzelił mu dwa razy w serce. Potem odjechał.

Gdy zapadła noc, chmury się rozeszły i Dillon przeleciał nad Morzem Irlandzkim przy blasku księżyca. – Uda nam się, Dillon? – zapytała Hannah.

– Więcej wiary, dziewczyno!

Czuli się sobie dziwnie bliscy.

Samolot leciał nisko, nie wyżej niż pięćset metrów nad ziemią, i w świetle księżyca było już widać urwisty brzeg Irlandii Północnej. Dillon zerknął na rozłożoną na kolanach mapę i lekko skręcił w prawo.

– O, tam. Wprost przed nami. – Zszedł na dwieście metrów. – Jest tylko jeden problem. Szybko nadchodzi przypyływ.

Przeleciał nad brzegiem, niedaleko zamku.

– Czy to tu? – zapytała.

– Spanish Head, nie inaczej.

Poleciał z powrotem nad morze, wykręcił na wiatr i wypuścił podwozie.

– Zaczynamy. Spróbuj się pomodlić. To może pomóc.

Grzywacze były o brzeg, na którym został tylko wąski pas suchej plaży. Dillon wyrównał piętnaście metrów nad wodą, a potem przyziemił. Koła dotknęły mokrego piasku zaledwie pół metra od wody, cessa potoczyła się jeszcze kawałek i znieruchomiła na pasku suchej plaży.

Kiedy zgasił silniki i zdjął słuchawki, zrobiło się bardzo cicho. Oglądane z ziemi morze wydawało się dziwnie spokojne w blasku księżyca.

– Ładny widok – uśmiechnął się Dillon.

– Nie rób mi tego więcej – powiedziała Hannah Bernstein. – Już nigdy. Możemy wysiąść?

– Dobry pomysł. Jeszcze chwilka i zamoczyłabyś sobie nogi, więc lepiej chodźmy.

Przeszli przez plażę i znaleźli ścieżkę biegnącą w górę między dwiema skałami. Kiedy tam weszli, okazało się, że zamek jest niedaleko.

– I co teraz? – spytała Hannah.

– Myślałem, że to oczywiste – odparł Dillon. – Pójdziemy do stróżówki.

Poszedł przodem.

Stary John Harker siedział w kuchni, czekając, aż zagotuje się woda w czajniku, kiedy poczuł na policzku zimny podmuch. Obrócił się i zobaczył stojącego w otwartych drzwiach Dillona, a tuż za nim Hannah.

– Pamiętasz mnie? – zapytał Dillon.

– Mój Boże! – jęknął Harker.

– Czy jego lordowska mość raczył się pojawić?

– Dziesięć minut temu. Skąd pan wie?

– Ja wiem wszystko. Oto co zrobimy. Weźmiesz latarnię i przeprowadzisz nas przez ogród. Kiedy dotrzemy do zamku, zdecyduję, co dalej.

– Jak pan każe. – Harker zawahał się. – Chce pan z nim skończyć?

– Jeśli tylko będzie to w mojej mocy.

– Dzięki Bogu. – Harker zdjął z kołka elektryczną latarnię. – To sekretne przejście prowadzi z biblioteki do holu. Chodźmy.

W gabinecie przy frontowym holu Barry nalał sobie dużą szklaneczkę whisky, opróżnił ją, a potem poszedł na górę, do biblioteki. Stał tam, popijając i spoglądając na portrety przodków. Wszyscy oprócz niego byli podobni do Francisa. Popatrzył na tego w mundurze konfederatów. Mężczyzna zdawał się uśmiechać z rozbawieniem.

– Drań – mruknął Barry. – Arogancki drań, ale dobry żołnierz.

Wzniósł toast do portretu, a wtedy za jego plecami otworzyły się drzwi i weszli Dillon i Hannah. Dillon był nieuzbrojony, ale ona trzymała w lewej ręce walthera.

– Sean, czyżby diabeł był po twojej stronie?

– Tylko czasami.

Barry uśmiechnął się.

– Nie mam pojęcia, jak się tu dostaliście.

– Tak samo jak ty, tylko wylądowałem na plaży.

– A jak wyglądają sprawy w Compton Place?

– Wszyscy twoi ludzie nie żyją, Blake i Hedley Jackson lekko uszkodzeni, nic więcej.

– A lady Helen? – Dillon wzruszył ramionami, a Barry rzekł z dziwnym pośpiechem: – Nic jej nie jest, prawda?

– Jej serce jest w kiepskim stanie. Miała atak.

– Jezu Chryste – rzekł Barry. – Miała mnie na muszce, zaciął mi się pistolet, a wtedy nagle upadła.

Hannah Bernstein wtrąciła:

– Jestem nadinspektor Hannah Bernstein z Wydziału Specjalnego Scotland Yardu i muszę pana ostrzec...

Barry rzucił w nią szklaneczką, uskoczył w bok, unikając kuli, i znikł za ukrytymi drzwiami.

– Ruszamy – krzyknął Dillon i wybiegł z biblioteki, a Hannah pobiegła za nim.

Kiedy dotarli do holu, zobaczyli otwarte na oścież drzwi. Na ganku stał Harker z latarnią w ręku.

– Przebiegł obok mnie. Uciekał tamtą ścieżką między drzewami, w kierunku brzegu.

Dillon pobiegł, a Hannah i Harker za nim.

Barry biegł z głową wtuloną w ramiona, ściskając w lewej ręce berettę. Właściwie sam już nie wiedział, dokąd ucieka. Niebo znów zasnuło się chmurami, w górze przetoczył się grzmot i na horyzoncie zamigotała błyskawica.

Helen Lang. Nie mógł przestać o niej myśleć. Dlaczego? Zbiegał ścieżką prowadzącą do Soak Hole. Dillon ścigał go, a za nim podążała Hannah i stary Harker z latarnią.

W migotliwym świetle błyskawicy ujrzał bijące o brzeg fale i stojącą w wodzie cęsnę. Potykając się, dotarł do Soak Hole, która z głuchym rykiem trysnęła pióropuszem białej piany. Barry przystanął na szczycie schodów, obrócił się i spróbował wycelować, ale Dillon już go dopadł. Błyskawicznym uderzeniem odbił mu ramię w bok i wszedł w zwarcie.

– Długo na to czekałem, psie – syknął Dillon, złapał go za prawą rękę i wykręcił ją, aż trzasnęła kość. Barry wrzasnął, a Dillon bez namysłu zepchnął go ze schodów. Usłyszeli przeciągły, rozpaczliwy krzyk i w następnej chwili z Soak Hole znów trysnęła fontanna wody.

Stary Harker wysoko trzymał latarnię.

– Boże, miej nas w opiece! Cóż z pana za człowiek?

– Czasem sam się nad tym zastanawiam. – Dillon zwrócił się do Hannah: – Zadzwonź do Fergusonsona. Niech załatwi, żeby Lacet i Parry zabrali nas lear jetem.

– Oczywiście. – Położyła mu dłoń na ramieniu. – Dobrze się czujesz, Dillon?

– Nigdy nie czułem się lepiej. – Z Soak Hole znów wystrzelił pióropusz piany. – Jack był parszywym draniem i pochłoneńo go morze. Dostał to, na co zasłużył.

Odwrócił się i podążył ścieżką za Harkerem.

Następnego dnia po południu siedział z Hannah i Fergusonem na korytarzu w klinice w Londynie. Z pokoju wyszedł Hedley w eleganckim uniformie szofera i ręką na temblaku.

– Jak ona się czuje? – spytał Ferguson.

– Nie najlepiej. Pytała o pana Dillona.

Dillon wstał, zawahał się, a potem wszedł do pokoju. Leżała na wysoko ułożonych poduszkach. W jej lewej ręce tkwiła igła kroplówki, a wokół wiły się przewody elektronicznej aparatury. Pod ścianą siedziała pielęgniarka. Dillon podszedł do łóżka.

– Lady Helen.

Otworzyła oczy.

– Słyszałam, że go dostałeś? Tak mówił mi Charles.

– Powiedział prawdę.

– A więc to już koniec z Synami Erin. Zginęli wszyscy, nawet Łącznik, i wie pan co? – Zamknęła oczy i znów je otworzyła. – To nie przywróciło życia Peterowi.

Ujął jej dłoń.

– Wiem.

Znów się uśmiechnęła.

– Panie Dillon, uważa się pan za takiego złego człowieka, a ja myślę, że jest pan jednym z najporządniejszych ludzi, jakich spotkałam w życiu. Proszę o tym pamiętać.

Zamknęła oczy i jej dłoń wysunęła się z jego dłoni, a jeden z aparatów wydał dziwny dźwięk. Pielęgniarka zabrała się do pracy i Dillon opuścił pokój. Ferguson i Hannah na jego widok wstali z krzesel.

– Odeszła? – zapytał brygadier.

– Została w naszej pamięci – powiedział Dillon. – Na zawsze.

Położył rękę na ramieniu Hedleya.

– Przejdźmy się po ogrodzie. Muszę zapalić.

EPILOG

Tydzień później Ferguson, Hannah i Dillon jechali z Londynu do Compton Place. Pogoda była okropna, lał rześisty deszcz.

– Co miał do powiedzenia premier na zakończenie ciężkiego dnia? – zapytał Dillon.

– Oczywiście, było mu niezmiernie przykro z powodu lady Helen.

– Tak jak nam wszystkim.

– Mimo to jest niezwykle zadowolony z zakończenia tej sprawy. Obawiał się, że może dojść do okropnego skandalu.

– A tymczasem to się w ogóle nie wydarzyło, prawda? – powiedziała ponurym i zimnym tonem Hannah Bernstein, ubrana w czarny płaszcz i spodnie.

– Pani nadinspektor, czasem musimy mieć na względzie dobro sprawy.

– Tak mówią faceci z IRA – przypomniał mu Dillon. – Wbijano mi to do głowy od kiedy skończyłem dziewiętnaście lat. – Opuścił szybę i zapalił papierosa. – Przepraszam, kochana – powiedział do Hannah.

Położyła dłoń na jego kolanie.

– Nie krępuj się, Sean.

– A zatem premier oraz prezydent odetchnęli z ulgą i podziękowali Bogu za zwykłych żołnierzy. Pan jeszcze raz zrobił ze mnie kata, tylko że tym razem Hannah i Blake też musieli odegrać pewną rolę w tym

spektaklu.

– Na tym polega ta gra, Dillon – rzekł Ferguson.

– Czy ty się czasem zastanawiasz, o co w tym wszystkim chodzi? – zapyta! Dillon Hannah. – Bo ja tak.

Właśnie wjeżdżali do wioski. Parking przed kościołem Najświętszej Marii i Wszystkich Świętych był prawie pełny, wzdłuż głównej ulicy też stał sznur samochodów.

– Wielkie nieba, chyba wszyscy mieszkańcy Norfolk przyszli ją pożegnać – zauważył Ferguson.

– Nic dziwnego. Dowiedziałem się o niej dość dużo i wiem, że była powszechnie lubiana. – Dillon spojrział na zegarek. – Pogrzeb za czterdzieści minut. Nie wiem jak wy, ale ja potrzebuję drinka. Wpadnę do pubu. Jeśli nie chcecie mi towarzyszyć, to spotkamy się w kościele.

– Nie, ja również sądzę, że drink nam się przyda. – Ferguson zerknął na Hannah. – Za pozwoleniem pani nadinspektor.

– Oczywiście, brygadierze.

Kierowca wysadził ich przed pubem i odjechał. Weszli do środka, gdzie zastali tłum gości, nie tylko odzianych w najlepsze ubrania mieszkańców wioski, ale też wielu przyjezdnych. Za barem stała Hetty Armsby w czarnej sukni, a pomagały jej dwie miejscowe dziewczyny. Stary Armsby siedział na stołku przy końcu baru, chuda szyja sterczała mu z białego kołnierzyka koszuli.

– Dobry Boże – mruknął Ferguson. – Widzę tu dwóch hrabiów, diuszese i niech mnie licho, jeśli tam nie stoi dowódca Gwardii Szkockiej z generałem Gwardii Królewskiej. Lepiej pójdę się przywitać.

– Dobry stary brytyjski system klasowy – rzekł Dillon do Hannah. – Spróbuję dopchać się do baru. Zaczekaj tu na mnie.

Dotarł do szynkwasu i zapytał Hetty:

– Może przypadkiem ma pani w lodówce butelkę szampana?

– Może znajdzie się jakaś. – Zmarszczyła brwi. – Szampana?

– Myśli pani, że to nie przystoi na pogrzebie? – Zapalił papierosa. – Chcę wznieść toast na cześć największej damy, jaką kiedykolwiek znałem.

Natychmiast uśmiechnęła się i pod wpływem nagłego impulsu przechyliła się przez bar i pocałowała go w policzek. Miała łzy w oczach.

– Ma pan rację, rzeczywiście była wspaniała.

Wyjęła z lodówki szampana.

– Dwa kieliszki – poprosił.

– Raczej trzy – dodał znajomy głos.

Dillon obejrzał się i zobaczył Blake'a Johnsona, z lewą ręką na temblaku.

– Mój Boże – rzekł Dillon. – A skąd ty się tu wzięłeś?

– W Crockley nadal znajduje się baza amerykańskich sił powietrznych. Prezydent podjął błyskawiczną decyzję i przysłał mnie tutaj z wieńcem.

Wziął jeden kieliszek, a Dillon pozostałe dwa. Blake pocałował Hannah w policzek.

– Pani nadinspektor, miło mi panią widzieć, jak zawsze.

– Cała przyjemność po mojej stronie, szkoda, że w tak smutnych okolicznościach. Za Helen Lang, wielką damę.

Podniosła kieliszek i trącili się, a potem wypili. Charles Ferguson przecisnął się do nich i powiedział:

– Wyraziłaś głośno to, co myślą wszyscy.

Kościół Najświętszej Marii i Wszystkich Świętych był tak zatłoczony, że musieli stać w kolejce, żeby wejść do środka. Przy katafalku stał mężczyzna po czterdziestce, w towarzystwie kobiety w tym samym wieku i Hedleya Jacksona. Szofer szepnął coś, para się obejrzała i mężczyzna podszedł do przybyłych.

– Brygadier Ferguson? Jestem Robert Harrison, kuzyn lady Helen.

– Oczywiście. Obejmie pan teraz zarząd nad rodzinnymi interesami? Harrison miał łzy w oczach.

– Była wspaniałą kobietą, po prostu wspaniałą. Kiedy byłem dzieckiem, często przyjeżdżała do Bostonu. Wszyscy ją kochaliśmy.

– To moi koledzy: nadinspektor Bernstein, Sean Dillon oraz Blake Johnson z Białego Domu.

Harrison wytrzeszczył oczy.

– Z Białego Domu?

– Reprezentuję tu prezydenta – powiedział Blake. – Przysłał jej wieniec.

– Mój Boże, nie wiem, co powiedzieć. – Harrison wyjął z kieszeni chusteczkę. – Chyba lepiej wrócę do żony.

Dillon nie był pobożny. Pamiętał rzymskokatolicki kościółek w County Down w Ulsterze, do którego chodził jako chłopiec, oraz wuja będącego księdzem i wspaniałym człowiekiem. Teraz jednak, gdy stał pod chórem starego angielskiego kościoła, msza żałobna nie robiła na nim żadnego wrażenia. Pieśni, muzyka organowa i słowa kapłana wychwalającego Helen Lang wydawały mu się bezsensowne. To dziwne, że – tak jak Dillon – była katoliczką, jedyną w rodzinie Langów. Chociaż jakie to miało teraz znaczenie?

Z ulgą wyszedł z kościoła, stanął z boku na deszczu i zapalił papierosa. Na chwilę stracił z oczu pozostałych, a wtedy pojawił się Hedley, niosąc wielki czarny parasol.

– Widzisz, Hedley – rzekł Dillon. – Nawet niebo dziś po niej płacze.

– Wyczuwam gniew w pana głosie, panie Dillon.

– Wydaje mi się, że zasłużyła na coś lepszego.

– Załatwił pan dla niej tego drania.

– Jedyne plus.

Stali z boku, gdy żałobnicy wynieśli z kościoła trumnę i ruszyli w kierunku grobowca rodziny Langów.

– Niesamowita kobieta – powiedział Hedley. – Czy pan wie, co dla mnie zrobiła?

– Niech pan powie.

– Dzwonił do mnie jej adwokat. Zapisła mi w testamencie milion funtów i dom przy South Audley Street.

Dillon szukał właściwych słów.

– Kochała cię, Hedley, i chciała twego dobra.

– To tylko pieniądze, panie Dillon – odparł ze łzami w oczach Hedley. – Tylko pieniądze, i co mi po nich, kiedy jej już nie ma?

Dillon poklepał go po ramieniu i dołączyli do podążającego za trumną tłumy. Kiedy zerknął przez ramię, zobaczył, że Ferguson, Bernstein i Blake idą za nimi.

Trumnę wstawiono do grobowca, ksiądz odmówił modlitwę i zamknęto masywne drzwi. Wciąż padał deszcz. Pod tabliczką z napisem „Major Peter Lang, odznaczony Krzyżem Zasługi, Gwardia Szkocka, Pułk SAS, 1966-1996. Spoczywaj w pokoju” umieszczono już nową. Głosiła: „Helen Lang, kochana przez wszystkich, zmarła w 1999 roku”.

Hedley powiedział do Dillona:

– To ja zaproponowałem taki napis. Wiedziałem, że nie chciałaby niczego wymyślnego.

– Znamienne – powiedział Ferguson. – Wieńce od premiera Wielkiej Brytanii i prezydenta Stanów Zjednoczonych. Nieczęsto widuje się coś takiego.

Tłum zaczął się rozchodzić. Poszli na parking przed kościołem. Stała tam limuzyna amerykańskich sił powietrznych z umundurowanym sierżantem za kierownicą.

– Już wracasz, Blake? – zapytał Dillon.

– Mam masę roboty, mój irlandzki przyjacielu. Wiesz, jak to jest.

– Och tak.

– Do widzenia, brygadierze.

Blake uściśnął im dłonie, ucałował Hannah, wsiadł do limuzyny i odjechał.

Ludzie rozeszli się, samochody odjechały.

– A więc to koniec – mruknął Ferguson.

Podeszli do daimlera, szofer otworzył drzwi i wsiedli. Dillon usiadł

tyłem do kierunku jazdy, naprzeciw Hannah i Fergusona. Zamknął szybę oddzielającą ich od kierowcy.

– Czy czasem czujesz się zmęczona, kochanie? – zapytał Hannah. – Naprawdę zmęczona?

– Wiem, co czujesz, Sean. Wiem.

Daimler ruszył.

– I co teraz? – zapytał Dillon.

– Nadal mamy sporo roboty, Dillon – powiedział Ferguson. – Środkowy Wschód, Afryka, Bośnia.

Wzruszył ramionami.

– Tylko w Irlandii będzie teraz spokojniej dzięki rokowaniom pokojowym.

– Brygadierze, jeśli pan w to wierzy, to jest pan bardzo naiwny.

Dillon wyciągnął się wygodnie w fotelu, założył ręce na piersi i zamknął oczy.